

124786 512.112

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/301

1972



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

AI. SOŁŻENICYN :

NIEWYGŁOSZONE PRZEMÓWIENIE

CZ. MIŁOSZ :

DUŻE CIENIE

J. MIEROSZEWSKI :

DOKTRYNY I LOJALNOŚCI

SPIS RZECZY

| | | |
|----------------------------|---|----|
| Aleksander Solżenicyn: | <i>Niewygłoszone przemówienie</i> | 3 |
| Czesław Miłosz: | <i>Duże cienie</i> | 19 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Dziennik pisany nocą</i> | 34 |
| Korab: | <i>Bliźniak (dok.)</i> | 49 |

ARCHIWUM POLITYCZNE

| | | |
|-----------------------|------------------------------------|-----|
| Juliusz Mieroszewski: | <i>Doktryny i lojalności</i> | 83 |
| Brukselczyk: | <i>Widziane z Brukseli</i> | 91 |
| Józef Lewandowski: | <i>Nie wiedzą sąsiedzi</i> | 100 |

SĄSIEDZI

| | | |
|---------------|----------------------------------|-----|
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 101 |
|---------------|----------------------------------|-----|

K R A J

| | | |
|--------------|--------------------------------------|-----|
| Jan Nowicki: | <i>Mówi Warszawa... (dok.)</i> | 107 |
|--------------|--------------------------------------|-----|

KSIĄŻKI

| | | |
|-----------------------|---|-----|
| Janina Katz: | <i>Nikczemna, smutna planeta</i> | 139 |
| Aleksander Zabrzecki: | <i>Uwagi duńskiego ekonomisty</i> | 145 |
| — | <i>Subskrypcja na „Tekę językową” śp. dr. Stanisława Westfala</i> | 147 |



| | | |
|---|----------------------------------|-----|
| — | <i>Wydarzenia miesiąca</i> | 148 |
|---|----------------------------------|-----|



| | | |
|---|---------------------------------|-----|
| — | <i>Kronika kanadyjska</i> | 154 |
|---|---------------------------------|-----|



| | | |
|--|--------------------------------|-----|
| M. Rudnicka, J. Łobodowski, ks. W. Sojka, B. Toporska, E. Pomerantz: | <i>Listy do Redakcji</i> | 156 |
|--|--------------------------------|-----|

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1972

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

| | |
|---|------------|
| Tadeusz Błazejowski, Wallingford, Conn. (USA) | F. 100,00 |
| Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz szósty | F. 250,00 |
| Aleksander Grzonka, Gossau, S.G. (Szwajcaria), po raz 20-ty | F. 21,40 |
| Marek Hurvic, Paryż, po raz piąty | F. 23,00 |
| Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty .. | F. 100,00 |
| J. W. S. z Los Angeles, Cal. (USA) — pamięci Tadeusza Wy- szogrodzkiego | F. 50,00 |
| Mieczysław Kowalski, Clifton, N.J., po raz trzeci | F. 25,00 |
| Lech Krysiwicz, Montreal, Que. (Kanada), po raz ósmy | F. 25,00 |
| Kazimierz J. Logay, Oak Park, Ill. (USA) — zamiast kwiatów na grób kolegi śp. Henryka Cyby | F. 100,00 |
| Zdzisław Pechnik, 92-Meudon (Francja), po raz piąty | F. 100,00 |
| Dr Jan Sokołowski, Stockholm, po raz drugi | F. 400,00 |
| Dr Marian Turski, Belleville, Ont. (Kanada), po raz 26-ty .. | F. 125,50 |
| Beziemiennie z Filadelfii, Pa. (USA), po raz trzeci | F. 100,00 |
| Beziemiennie z Bose Bay, N.S.W. (Australia), po raz szósty | F. 6000,00 |

DZIĘKUJEMY!

DO PRENUMERATORÓW «KULTURY»

*Na skutek stale wzrastających kosztów produkcji zmusze-
ni jesteśmy podwyższyć cenę prenumeraty Kultury na
rok 1972.*

Prenumerata roczna będzie wynosiła:

*F. 95 lub dol. 20,00 lub Ł. stg. 7.75 lub równowa-
rtość w innych walutach.*

Prenumerata półroczna:

*F. 50 lub dol. 11,00 lub Ł. stg. 4.00 lub równowa-
rtość w innych walutach.*

REDAKCJA

Imprimé en France.

Niewy ogłoszone przemówienie

(Z OKAZJI PRYZNANIA NAGRODY NOBLA ZA R. 1970)

1.

Niczem dzikus co ze zdumieniem obraca w rękę dziwne znale-
zisko — ni to z oceanu wyłonił się? ni to z piasków wyklute?
ni to z nieba spadł? — zawiłego kształtu, raz mieniące się
mdłym lśnieniem, raz ostrym blaskiem — oziera je z różnych
stron, dziwuje mu się, próbuje użyć go do byle czego, szuka
dlań najprostszego zastosowania, nie zdając sobie sprawy z jego
wyższych przeznaczeń —

— tak też my, mając w zasięgu ręki Sztukę, uważamy się
zarozumiałe za jej panów, śmiało wytyczamy jej drogi, nadajemy
jej nowe kształty — reformujemy, posyłamy na demonstracje,
sprzedajemy za pieniądze, przyprawiamy ją wedle smaku moż-
nych tego świata, czynimy z niej już to zabawkę — aż do pio-
senek estradowych, aż do nocnych barów — już to zatkajdziurę,
albo pałkę, jak popadnie, gwoli chwilowych potrzeb politycz-
nych, czy wąskich zadań społecznych. Sztuka zaś nie daje się
tymi naszymi zabiegami pokalać, nie traci przy tym swoich ko-
rzeni, raz po raz w każdym narzuconym kształcie darząc nas
cząstką swego wewnętrznego, tajemnego blasku.

Ale czy ogarniamy cały ten blask? Kto ośmielił się rzec,
że odgadł SENS sztuki? porachował wszystkie jej kształty?
A może już niegdyś odgadł był i porachował je dla nas ktoś,
ale przez chwilę tylko potrafiliśmy się skupić: posłuchaliśmy
tego i zaraz puścili mimo uszu, odrzucili, jak to zwykle, pragnąc
niecierpliwie zastąpić rzecz — najlepszą nawet — jakąś inną,
byle nową! I kiedy znów nam ktoś teraz to samo powie, nawet
już sobie nie przypomnimy, że już była o tym mowa.



P. 9786 Chr. Arch.

Jeden rodzaj ludzi sztuki uważa się za twórców niezawisłego świata duchowego i bierze na swoje barki ciężar tworzenia świata, zapełniania go żywymi istotami, ciężar odpowiedzialności za ten świat — ale tu przychodzi załamanie, bo takiego, ciężaru nie jest w stanie unieść geniusz śmiertelny: człowiek obwołał się sam osią wszechświata, lecz nie potrafił stworzyć wyważonego systemu idei. I kiedy nadchodzi klęska, gdy rzecz kończy się fiaskiem — ludzie próbują zwać winę na odwieczną dysharmonię zjawisk, na rozszczepienie duszy współczesnej szarpiącej się wśród zawiłości, albo na tępotę opinii publicznej.

Drugi rodzaj czuje nad sobą obecność wyższej siły. Taki artysta trzusi się, jak skromny czeladnik pod niebem Stwórcy, radośnie, chociaż jeszcze surowiej odpowiada za wszystko co napisał, narysował i czym napełnił cudze dusze. Za to: nie on stworzył ten świat, nie on nim kieruje, nie ma wątpliwości co do podstaw jego istnienia. Artyście takiemu dane jest tylko ostrzejsze niż u innych odczucie harmonii świata, jego urody, i szpetoty ludzkiego wkładu weń — by mógł z kolei wyrazić jej przekaz to wszystko innym ludziom. Nawet wśród klęsk, nawet na dnie istnienia — w nędzy, w kajdanach, w chorobie — nie opuszcza go poczucie obecności tej przemożnej harmonii.

Ale irracjonalność charakteru sztuki, jej olśniewające meandry, jej zaskakujące odkrycia, jej zdolność wstrząsania ludźmi — wszystko to zbyt jest cudowne, by dało się objaśnić tylko światopoglądem artysty, jego koncepcjami lub zręcznością jego niegodnych palców. Archeologowie nie odkryli dotąd stadium rozwoju ludzkości tak wczesnego, by nie było w nim już dowodów istnienia sztuki. Jeszcze w mrokach przedświtu człowieczeństwa otrzymaliśmy je z Rąk, których nie zdążyliśmy rozpoznać. I nie zdążyliśmy zapytać: p o c o nam ten dar? jak sobie z nim poczynać?

Mylili się i mylić się będą nadal wszyscy ci prorocy, co twierdzili, że sztuka ulegnie rozkładowi, że jej formy strupieszają, że umrze. To my umrzemy, ona zaś przetrwa. I czy aby zdołamy pojąć przed własnym końcem wszystkie oblicza sztuki, wszystkie jej zadania?

Nie wszystko da się określić prostym mianem. Są rzeczy, którym nie mogą sprostać słowa. Sztuka zagrzewa duszę — nawet oziębłą, zamroczoną — do wysokich duchowych prób. Dzięki sztuce docierają do nas niekiedy — choćby nawet niejasno i na okamgnienie — takie objawienia, jakich nigdy rozsądek się nie dochrapie.

Jak w owym baśniowym lusterku: zerkniesz w nie i zobaczysz — nie siebie wcale, lecz na chwilę ukaże ci się widomie

Nieosiągalne, to, czego nie dogoniłbyś ani biegiem, ani lotem. I tylko ćmienie w duszy zostaje...

2.

Dostojewskiemu wymknęły się niegdyś te zagadkowe słowa: „Świat zbawiony będzie przez piękno”. Co to znaczy? Długo uważałem to za zwykły frazes. Jak to możliwe? Kiedyż to w ciągu całych krwiożerczych dziejów, kogóż to i od czego zbawiło piękno? Owszem, uszlachetniało, podnosiło na duchu — ale co tu mówić o zbawieniu?

Jest jednak pewna osobliwość w samej istocie piękna, osobliwość funkcji sztuki: prawdziwe dzieło sztuki odznacza się tym, że przekonywa w sposób nieodparty i zdolne jest podbić najbardziej nawet odporne serce. Przemówienie polityczne, zawiądycki artykuł publicystyczny, program społeczny, system filozoficzny — wszystko to można, jak się zdaje, skonstruować spójnie i gładko także na podstawie błędu i kłamstwa: nie od razu da się rozpoznać co się za tym kryje, gdzie tu fałsz. Niech z kolei wstąpi w szranki przeciwstawna opinia, publicystyka, program, inna filozoficzna konstrukcja — a znów ma się wrażenie spójności i gładkości, znów wszystko się zgadza. Dlatego wierzą w to wszystko ludzie — i zarazem nie wierzą.

Gębę tylko strzępi, kto mową swoją serc nie jedna.

Dzieło zaś sztuki jest samo dla siebie kamieniem probierczym: koncepcje sztuczne, naciągnięte nie wytrzymują próby tłumaczenia na język obrazów: wałają się w gruzy, rozsypują się w oczach, wychodzi na jaw cała ich wątłizna i bladeść, nie mogą przekonać nikogo. Utwory zaś przepojone duchem prawdy i przedstawiające ją nam w kształcie stężonym i żywym, porywają nas, przywiązują do siebie z przemożną siłą i nie zjawi się nikt, nigdy, nawet po upływie stuleci, kto by im zaprzeczył.

Więc może owa stara trójca Prawdy, Dobra i Piękna — nie jest tylko zwierzęcą formułką od parady jak to nam się zdawało za czasów dufnej naszej młodości materialistycznej? Jeśli wierzchołki tych trojga drzew zbiegają się, jak utrzymywali badacze — a tylko zbyt proste, zbyt rzucające się w oczy pędy Prawdy i Dobra zostały stłamszone, zrąbane, nie dopuszczone wyżej — to może splątane, nieobliczalne, nieprzeczone pędy Piękna przebijają się i wrosną W TO SAMO MIEJSCE, wykonując w ten sposób pracę za całą trójcę?

I wtedy okaże się, że słowa Dostojewskiego „Świat będzie zbawiony przez Piękno” nie są przejęzyczeniem, lecz przepowiednią. Przecież JEMU dane było widzieć daleko, przebłyski miał niepospolite.

3.

Na tę mównicę, z której wygłaszane są mowy z okazji przyznania nagrody Nobla, na mównicę dostępną nie dla każdego bynajmniej pisarza i to raz tylko w życiu, wdrapałem się nie po dwóch, trzech wymoszczonych chodnikiem schodkach, lecz po setkach, ba, po tysiącach nawet stopni stromych, urwistych, oślizłych, z głębin mrocznych i zimnych, w których inni — bardziej może utalentowani, silniejsi ode mnie — zginęli. Tylko nie-licznych z nich sam spotkałem na Archipelagu GUŁag, dzielącym się na mnóstwo drobnych wysp obozowych, nadto zaś nie z każdym mogłem pozwolić sobie na rozmowę między młyńskimi kamieniami szpicłowstwa i nieufności. O niektórych tylko słuch mnie doszedł, obecności innych ledwo się domyślałem. Kto runął w tę przepaść mając już literackie nazwisko, ten zostawił przynajmniej ślad — ale ilu w ogóle nikt nie rozpoznał, iluz nikt nie wymienił publicznie! i nikomu, prawie nikomu nie udało się stamtąd wrócić. Cała literatura narodowa tam została, pogrzebana nie tylko bez trumny, ale bez koszuli, goła, z metką przywiązaną do palca u nogi. Rosyjska literatura nie przestała istnieć ani na chwilę! — postronny zaś obserwator mógł ją uważać za pustynię. Tam gdzie miał wyrósć gęsty las — zostały na karczowisku po wszystkich wyrębach dwa-trzy zapomniane przypadkiem drzewa.

I oto jakże mam dzisiaj ja, otoczony cieniami tych co padli, ja, z opuszczoną głową pragnący w tych drzwiach puścić przodem innych, co dawno już na to zasłużyli, jakże mam więc odgadnąć i wyrazić to, co by oni chcieli powiedzieć?

To zobowiązanie dawno już nam ciążyło i zdawaliśmy sobie z niego sprawę. Słowem, jak u Włodzimierza Sołowiowa:

*Nawet w kajdanach trzeba zatoczyć
Ów krąg, przez bogów nam zakreślony.*

Wlokąc się w trakcie nużących obozowych przemarszów w kolumnie więźniów, w mroźnej, wieczornej mgłę spiętej świecącymi łańcuchami latarni — nie raz czuliśmy w gardle napór tych słów, które chcieliśmy krzyknąć całemu światu, gdyby ów świat mógł kogokolwiek z nas usłyszeć. Wszystko wydawało się wówczas zupełnie jasne: co krzyknie wybraniec losu, nasz wysłannik — i z jaką gotowością, jak szybko świat mu odpowie. Nasz widnokrąg zapełniały zupełnie określone, konkretne przedmioty oraz odruchy i w naszym niedwuznacznym świecie nie było dla nich żadnej przeciwwagi. Tych myśli nie braliśmy z książek, nie dla ozdoby nam były potrzebne: w celach więziennych

i przy leśnych ogniskach wysnuły się z rozmów z ludźmi, którzy już nie żyją, przeszły próbę tamtego życia, na tamtym gruncie wyrosły.

Kiedy zaś zelżało ciśnienie zewnętrzne — rozszerzył się mój — nasz wspólny — widnokrąg i stopniowo, choć tam tylko przez szparkę, dał się ujrzeć i poznać ów „cały świat”. I ku naszemu największemu zaskoczeniu okazało się, że „cały świat” jest zupełnie odmienny od naszych wyobrażeń: wcale nie „to” jest treścią jego życia, nie „w tamtą stronę” idzie, widząc grząski moczar woła: „Jakaż to czarująca polanka?”, kamienne dyby nazywa „misternym naszyjnikiem”, a tam gdzie jedni leją łzy nieutulone, drudzy podrygują w takt wesołej muzyczki.

Jak do tego doszło? Co sprawiło, że taka przepaść ziele? Czy to my byliśmy bez czucia? Czy świat jest nieczuły? Może to za przyczyną różnicy języków? Ale czemu ludzie nie każdej zrozumiałej mowy skłonni są wysłuchać? Słowa rozbrzmiewają i spływają jak woda — bez smaku, bez barwy, bez zapachu. Bez śladu.

W miarę tego, jak to pojmowałem, zmieniał się z upływem lat coraz bardziej układ, sens i ton mojej przemowy. Mojej dzisiejszej przemowy.

I coraz mniej już przypomina ona tamtą, com ją układał niegdys w mroźne, łagrowe wieczory.

4.

Jak świat światem człowiek taką miał naturę, że jego światopogląd — jeśli tylko nie jest on owocem sugestii — motywacje jego działań i skala ocen, jego uczynki i zamiary są uwarunkowane przez jego własne i grupowe doświadczenie życiowe. Jak powiada rosyjskie przysłowie: „Nie wierz bratu rodzonemu, wierz własnemu ślipiu krzywemu”. I to jest w końcu najzdrowszy punkt wyjścia do rozumienia otoczenia i właściwego zachowania się w nim. Wszak przez całe wieki, kiedy nasz świat był głuchym obszarem tajemnic, gdy jeszcze nie był przecięty wspólnymi liniami łączności, gdy nie przemienił się jeszcze w jeden kurczowo pulsujący kłęb — ludzie potrafili już kierować się nieomylnie swoim doświadczeniem życiowym w granicach swojej małej osady, gminy, społeczności, swego terytorium narodowego wreszcie. Mogło wówczas oko poszczególnego człowieka ogarnąć i przyjąć jakąś wspólną skalę ocen: co uznać za przeciętne, a co za niewiarygodne; co jest okrucieństwo — a co przekracza miarę podłości, co jest rzetelne, co zaś fałszywe. I chociaż odosobnieni ludy żyły na bardzo różny sposób, chociaż skale ich ocen

społecznych mogły krańcowo nie zgadzać się ze sobą, podobnie jak różniły się ich systemy miar, to przecież te różnice dziwiły tylko rzadkich podróżników, albo trafiały do działu ciekawostek w czasopismach nie grożąc niczym ludzkości, jeszcze nie scalonej.

Ale oto w ciągu ostatnich dziesięcioleci ludzkość niepostrzeżenie, z dnia na dzień stała się całością — ta jedność budzi i nadzieję, i obawę, tak, że wstrząsy i zapalne procesy zachodzące w jakiejś jej części, w oka mgnieniu udzielają się innym, często nie mającym jeszcze żadnej odporności. Ludzkość stała się jednością, ale nie tak, jak dawniej, gdy jednoczyła się trwale gmina albo nawet naród; nie dzięki stopniowo narastającemu życiowemu doświadczeniu, nie dzięki własnemu OKU, dobrodusznemu uznaniu za „krzywe”, nawet nie dzięki wspólnemu, zrozumiałemu językowi — lecz ponad wszystkimi barierami, za sprawą międzynarodowego radia i prasy. Wali w nas fala wydarzeń, pół świata w ciągu minuty dowiaduje się o tym szturmie, ale miary — by poznać proporcje tych zdarzeń i ocenić je wedle praw znanych w naszej części globu nie podają nam — i nie mogą jej podać na falach eteru ani na stronicach gazet: miary te zbyt długo i w sposób zbyt szczególny były ustalane i przyswajane w samoistnym życiu poszczególnych krajów i społeczeństw, nie da się ich przenieść. W poszczególnych krajach stosuje się do wydarzeń własną, z męką wypracowaną skalę ocen — i stosują tam nieustępliwie, ze ślepym przekonaniem tylko własną skalę, nie żadną inną.

Takich rozmaitych skal jest w świecie jeśli nie bez liku, to w każdym razie kilka: skala dla niedawnych zdarzeń i skala dla dalekich; skala społeczeństw starych i skala młodych; skala żyjących w dobrobycie i skala tych, którym się nie wiedzie. Podziałki tych skal są niewspółmierne w sposób skrajny, ostry, rażący i żeby nie kłuło to nas w oczy — odzegnujemy się od wszystkich cudzych skal jak od szaleństw, od herezji, a cały świat mierzymy śmiało naszym domowym łokciem. Dlatego też zwykliśmy sądzić, że większe, dotkliwsze i trudniejsze do zniesienia jest nie to, co istotnie jest od innych większe, dotkliwsze i trudniejsze do zniesienia, lecz to, co mamy pod nosem. Wszystko zaś to, co dalekie, co nie grozi bezpośrednio, już dzisiaj przegom naszego domostwa — uznajemy za dopuszczalne i na ogół nie wykraczające poza przeciętność, biorąc nawet pod uwagę wszystkie zawarte w tym jęki, zdławione krzyki i zgnojone istnienia, a nawet milionowe ofiary.

W jednej stronie świata — w trakcie prześladowań nie ustępującym starorzyskim, nie tak dawno oddały w milczeniu życie za wiarę i za Boga setki tysięcy chrześcijan. Na drugiej zaś półkuli pewien szaleniec (a nie jest na pewno jedynym takim)

przeleciał ocean, żeby ciosem noża, wymierzonym w: arcypasterza UWOLNIĆ nas od religii! Wedle własnej skali tak to sobie za nas wszystkich wykalkulował!

To, co wedle jednej miary wydaje się z daleka godnym zazdrości, błogosławionym przejawem wolności, to wedle innej miary, tej miejscowej, odczuwa się jako dotkliwy przymus, prowokujący do przewracania autobusów. To, co w jednym kraju byłoby przedmiotem marzeń o niewiarygodnym szczęściu, to w innym kraju oburza ludzi jako przykład dzikiego wyzysku, wymagający natychmiastowego strajku. Rozmaite są też skale dla klęsk żywiołowych: powódź porywająca gdzieś dwieście tysięcy ofiar wydaje się czymś mniej ważnym od wypadku z naszej kroniki miejskiej. Rozmaite są miary obrazy prywatnej: pod jednym niebem uchodzi za obelgę już ironiczny uśmiech i niechętny gest, pod innym — nawet chamskie pobicie uznaje się za wybacalne, za niefortunny żart. Rozmaitym łokciem mierzy się kary, czy przestępstwa. Wedle jednej skali — miesięczny areszt, wysyłka na wieś albo „karcer” w którym aresztanta karmią białymi bułkami i mlekiem — już pobudzają wyobraźnię i powodują wylew oburzenia na gazetowych szpaltach. Wedle drugiej zaś skali — są czymś zwyczajnym i wybaczalnym i wyroki po dwadzieścia pięć lat więzienia, i karcery, gdzie na ścianach zamróz lodowy, ale siedzi się tam w samej bieliźnie, i domy wariatów dla zdrowych ludzi, i strzelanie na granicy do tych niezliczonych dziwaków, którzy nie wiedzieć czemu wciąż gdzieś próbują uciekać. A najmniej już głowę sobie zaprzatamy tym egzotycznym krajem, o którym w ogóle nic u nas się nie wie, skąd żadne do nas nie dochodzą odgłosy, prócz spóźnionych i płaskich domysłów nielicznych korespondentów.

Ale nawet za tę dwoistość, za tę zdrewniałą nieczułość wobec cudzego, dalekiego nieszczęścia niesposób winić ludzkiego oka: taka jest natura ludzka. Tyle, że całej ludzkości, ściśniętej teraz na kształt jednego, wielkiego kłębu, ta niezdolność do rozumienia się wzajemnego grozi bliską już i gwałtowną katastrofą. Albo sześć, cztery, dwie nawet miary — albo wspólny świat, jedna ludzkość: rozsadzi nas ta różnica drgań. Nie potrafimy współżyć w ten sposób na wspólnej ziemi, tak, jak nie może długo pożyć człowiek o dwóch sercach.

5.

Ale kto i jak uzgodni te różne skale? Kto stworzy dla ludzkości powszechny system mierników — dla złych i dobrych uczynków, dla spraw znośnych i nieznośnych, wedle dzisiejszego rozumie-

nia? Kto ludziom wyjaśni, co istotnie jest ciężarem nie do zniesienia, a co tylko skórę nam drażni — bo jest pod bokiem? — i kto skieruje ludzki gniew przeciw temu, co najstraszniejsze, nie zaś przeciw temu, co najbliższe? Kto potrafiłby takie przekonanie przerzucić przez barierę własnego życiowego doświadczenia? Kto zdolny byłby nieruchawym, upartym istotom ludzkim dać pojęcie o dalekich, obcych troskach i radościach, wpoić zrozumienie dla cudzych mierników i dla błędnych dróg, którymi ci ludzie sami nie kroczyli? Nic tu nie poradzi ani propaganda, ani przymus, ani wywód naukowy. Ale na szczęście jest na świecie taka siła! Jest nią sztuka. Jest nią literatura.

Potrafiają one sprawić cud: mogą dać przeciwwagę dla pewnej nieszczęsnej właściwości ludzkiej: oto człowiek zdolny jest uczyć się tylko na własnej skórze, tak, że cudze doświadczenie idzie na marne. Z jednych ludzkich rąk do drugich, pomnażając skarb krótkiego ziemskiego żywota, sztuka przenosi cały ładunek ludzkich doświadczeń życiowych — razem ze wszystkimi niedolami, barwami, sokami, odtwarza widomie to, co inni przeżyli — po czym pozwala nam przyswoić to sobie, jak przeżycie własne.

I więcej nawet, znacznie więcej: całe kraje, całe kontynenty powtarzają cudze omyłki z opóźnieniem, czasem o wieki całe: podczas gdy wydaje się, że sprawa jest tak jasna! A właśnie, że nie: to, co jeden naród już przeżył, przemyślał i odrzucił nagle zaczyna się innemu narodowi wydawać największą nowością. I tu znów to samo: tym, co jedynie zastąpić może doświadczenie własne — jest sztuka, literatura. Dana im jest cudowna zdolność: ponad barierami różnic językowych, obyczajowych, społecznych potrafią przenosić ładunek doświadczenia życiowego od jednego narodu do drugiego: doświadczenia wcale tu nieznanego, będącego owocem całych trudnych dziesięcioleci, co przy szczęśliwym zbiegu okoliczności może ów inny naród uchronić od wejścia na drogę jałową, mylącą, albo nawet wiodącą do zguby, skracając tym samym kręte szlaki historii.

Tę właśnie błogosławioną właściwość sztuki chcę dziś przypomnieć najgłośniej, jak umiem z tej trybuny.

Jeszcze w jednym niezwykle ważnym kierunku przekazuje literatura stężone i niezbite niczym doświadczenie ludzkie: od pokolenia do pokolenia. Tak staje się ona żywą pamięcią narodu. Tak oto ogrzewa ona swym oddechem i ratuje zapomniane dzieje narodowe w kształcie nieskażonym i niezłażanym. Oto czemu literatura wraz z językiem jest schroniskiem duszy narodu.

(Ostatnimi czasy stała się modna gadanina o niwelacji narodów, o stapianiu się ludów w jedną całość w kotle współczesnej cywilizacji. Nie zgadzam się z tą tezą — ale dyskusja nad nią

to osobny temat, tu zaś jest miejsce tylko na to, by rzec, że zniknięcie różnic narodowych zubożyłoby nas nie mniej, niż upodobnienie się poszczególnych ludzi, nadanie wszystkim jednego charakteru, jednego oblicza. Odrębne cechy narodowe — to skarb ludzkości, to wzbogacenie jej cech osobowych: najmniejszy z ludów przynosi w darze swoje szczególne barwy, tai w sobie osobliwy rys bożego zamiaru).

Ale biada temu narodowi, w którym bieg literatury przerywany jest przez interwencje siły: nie jest to zwykłe wykroczenie przeciw „wolności druku”, lecz wstrzymanie ruchów serca narodu, odcięcie dopływów pamięci narodowej. Naród traci pamięć własnych spraw, naród zostaje pozbawiony więzi duchowej — i członkowie narodowej wspólnoty, choć dalej posługują się wspólnym językiem, nagle przestają rozumieć się wzajem. Rodzą się i umierają oniemiałe pokolenia, nie zostawiając przekazu o swoim życiu ani sobie samym, ani potomstwu. Jeśli tacy mistrzowie jak Achmatowa lub Zamiatin zamurowani są żywcem i dożywotnio, jeśli skazani są aż do grobowej deski na pisanie w milczeniu, jeśli nie słyszą żadnego echa swojej twórczości — wówczas to nie tylko ich osobiste nieszczęście, lecz krzywda dla całego narodu i groźba dla całego narodu.

A niekiedy — nawet dla całej ludzkości: gdy przez takie milczenie przestaje być zrozumiały cały bieg HISTORII.

6.

W rozmaitych epokach, raz w tym kraju, raz w owym toczono z żartem, z gniewem, czasem z gracją — spór, czy sztuka, czy artysta istnieć powinien dla siebie jeno samego, czy też powinien zawsze pamiętać o swoich obowiązkach wobec społeczeństwa i służyć mu bez uprzedzeń.

Co do mnie, nie widzę tu miejsca na spór, ale i nie będę tu nizać argumentów. Jednym z najświetniejszych przemówień na ten temat był wykład, z teje mównicy wygłoszony przez Alberta Camus — i do jego wniosków z radością się przyłączam. Toż literatura rosyjska przez dziesięciolecia miała szczególną tendencję, by nie przejmować się zbytnio swoimi własnymi sprawami, nie oddawać się motylej beztroscie — i ja nie wstydzę się być kontynuatorem tej tradycji w miarę mych sił. W literaturze rosyjskiej od dawna zakorzenione jest przekonanie, że pisarz ma niemało do roboty wśród swoich rodaków i powinien tę robotę wykonać.

Nie powinniśmy deptać PRAWA artysty do wyrażania wyjątkowo własnych uczuć i do obserwowania tylko tego, co się

w jego własnym wnętrzu dzieje, bez względu na to, co zachodzi w świecie dookolnym. Nie powinniśmy ŻADAĆ niczego od artysty — ale upomnieć go, ale poprosić, ale przywołać i zachęcić — niech nam będzie wolno. Przecież tylko część swego talentu sam on doprowadza do rozkwitu, większa część, wrodzona, jest niejako z góry gotowa, a jego wolna wola obarczona zostaje odpowiedzialnością równą talentowi. Powiedzmy, że artysta nic dla nikogo robić NIE MUSI, ale żal patrzeć, jak MOŻE on — uciekając w swoje samowite światy, albo w dziedziny subiektywnego kaprysu — oddawać realny świat w ręce ludzi żądnych zysku, albo i marnych, albo nawet szalonych.

Nasz wiek dwudziesty okazał się okrutniejszy od poprzednich i nie wszystko to, co w nim było strasznego, skończyło się wraz z jego pierwszą połową. Te same stare, jaskiniowe pasje — chciwość, zawiść, skłonność do gwałtu, wzajemna niezyczliwość — przyjmując mimochodem nader godne pseudonimy w rodzaju walki klasowej, rasowej, masowej, związkowej — szarpia i rwą na strzępy nasz świat. Jaskiniowa wrogość do kompromisów została podniesiona do rangi teoretycznej zasady i uchodzi za największą cnotę ortodoksji. Dla tej zasady giną miliony ofiar w nieskończonych wojnach domowych, to ona przesądza się w nasze dusze naszeptując, że nie ma powszechnych i trwałych pojęć dobra i sprawiedliwości, że są one płynne, zmienne, z czego wynika, że zawsze trzeba postępować tak, jak to jest korzystne dla twojej partii. Ta, czy inna grupa zawodowa, gdy tylko widzi okazję, aby wydrzeć dla siebie dodatkowy kęs, choćby nawet nie zapracowany, choćby nawet zbędny — natychmiast go wydziera, a czy społeczeństwo pójdzie w gruzy, to mniejsza. Amplituda wahań społeczeństwa zachodniego, jeśli przyjrzeć jej się z boku, zbliża się do tej skrajności, poza którą system staje się metastabilny i musi ulec rozpadowi. Coraz mniej się licząc z wymogami wiekowej praworządności, beczelnie i triumfalnie kroczy przemoc przez cały świat, ani się troszcząc, że jej bezpłodność po wielokroć już ujawniła się i potwierdziła w ciągu dziejów. Triumfuje nie tyle nawet brutalna siła, co jej gromkie usprawiedliwianie: zalewa świat fala czelnej pewności, że siła może wszystko, zaś racja — nic. BIESY Dostojewskiego — jak mogło się zdawać — koszarne plody zesłowiecznej, prowincjonalnej fantazji — w naszej przytomności rozpełzają się po całym świecie, nawiedzając takie kraje, gdzie niesposób było sobie nawet tego wyobrazić — i oto przez uprowadzanie samolotów, porywanie ZAKŁADNIKÓW, przez bomby i pożary ostatnich lat dają nam znać, że są zdecydowani roztrząść i unicestwić cywilizację! I może im to się świetnie udać. Młodzież — będąc w wieku, gdy brak jeszcze innego doświadczenia, prócz seksual-

nego, gdy nie ma się jeszcze za plecami lat osobiście przeżytych cierpień i przemyśleń, z entuzjazmem wraca na nasze rosyjskie, tylekroć wyklinane, zaułki XIX wieku — a wydaje się jej, że odkrywa coś nowego. Nowomodne, hunwejbiniowskie równanie w dół, do nicości, zyskuje w jej oczach rangę zachwycającego przykładu. Płytki to brak zrozumienia dla wiecznego losu ludzkiego, naiwna to dufność, właściwa sercom bez bagażu: wygońmy tylko precz tych okrutnych, chciwych gnębicieli i władców, a już ich następcy (tj. my!), odłożywszy na bok granaty i automaty, będą wcieleniem sprawiedliwości i serdeczności. A jakże!... Kto zaś poznał i zrozumiał w życiu to i owo, kto mógłby oponować — często NIE OŚMIELA się tego uczynić, ba, nieraz tę młodzież podszczuwa, byle tylko nie okazać się „konserwatystą”. Też rosyjskie to zjawisko, znane w XIX wieku. Dostojewski nazywał takich NIEWOLNIKAMI POSTĘPOWYCH IDEJEK.

Duch Monachium wcale nie należy do przeszłości, to nie był wcale krótki epizod. Ośmielę się nawet rzec, iż duch Monachium w XX wieku ma coraz większe pole do popisu. Świat cywilizowany — ośupiły wobec nacisku odrodzonego nagle, szczerzącego zęby barbarzyństwa — nie potrafi przeciwstawić mu nic innego, prócz ustępstw i uśmiechów. Duch Monachium jest chorobą woli ludzi którym dobrze się wiedzie, jest stanem codziennym tych, którzy oddali się pogoni za szczęściem za wszelką cenę i w zdobyciu dostatku widzą naczelny cel życia na ziemi. Ludzie tacy — a jest ich mnóstwo w dzisiejszym świecie — decydują się raczej na bierność i rejteradę, byle by tylko kontynuować życie, do którego się przyzwyczaili, byle by nie dziś jeszcze zetknąć się z surową prawdą, bo przecież do jutra wszystko może rozejść się po kościach... (Ale nigdy się nie rozejdzie! — trzeba będzie tylko drożej płacić za tchórzostwo. Męstwo i sukces stają się naszym udziałem tylko wtedy, gdy decydujemy się na ofiarę).

I stąd jeszcze grozi nam zguba, że naszemu światu, tak fizycznie scalonemu, stłoczonemu — nie pozwalają scalić się w dziedzinie ducha, nie dają molekułom wiedzy i uczuciowego porozumienia przeskakiwać z jednej jego połowy na drugą. Groźne to niebezpieczeństwo: PRZERWANIE TOKU INFORMACJI między poszczególnymi częściami planety. Współczesna nauka wie, że zatamowanie toku informacji otwiera drogę entropii, powszechnemu rozpadowi. Przecięcie toku informacji odbiera realność wszystkim międzynarodowym umowom i porozumieniom: wewnątrz zony OGŁUSZONEJ nie ma żadnego kłopotu z przekroczeniem treści dowolnej umowy. Jeszcze prościej — skazania jej na zapomnienie, jakby nigdy nie istniała (doskonale rozumiał to Orwell). Wnętrze zony ogłuszonej zamieszkałe jest

jakby nie przez ludzi z tej ziemi, lecz przez korpus ekspedycyjny z Marsa: istoty te dobrze nie wiedzą co dzieje się na terytorium reszty naszej planety i gotowe są stratować ją w świętym przekonaniu, że idą „wyzwalać”.

Cwierć wieku temu, oczekiwana z wielką nadzieją przez całą ludzkość, narodziła się Organizacja Narodów Zjednoczonych. Niestety, w naszym amoralnym świecie, ona też stała się zjawiskiem amoralnym. To nie Organizacja Narodów Zjednoczonych, lecz Organizacja Zjednoczonych Rządów, gdzie równouprawnione są zarówno rządy wybrane swobodnie, jak narzucone siłą, i te, co zdobyły władzę orężem. Interesowna stronnicość większości każe Organizacji dbać o wolność jednych narodów i lekceważyć jednocześnie wolność innych. Służalczym głosowaniem Organizacja odzegnała się od rozpatrywania PRYWATNYCH SKARG — jęków, krzyków i błagań poszczególnych, maleńkich ZWYKŁYCH LUDZI — istotek snąc zbyt drobnych dla tak wielkiej organizacji. Najlepszego z dokumentów, uchwalonych w ciągu 25 lat — Deklaracji Praw Człowieka — ONZ nie postarała się uczynić OBOWIĄZKOWYM dla rządów WARUNKIEM członkostwa — i w ten sposób oddała drobiazg ludzki na łaskę i niełaskę niewybranych przezeń władz.

Zdawałoby się, że oblicze dzisiejszego świata zależy całkowicie od uczonych, że wszystkie techniczne posunięcia przez nich są decydowane. Zdawałoby się, że właśnie od światowej wspólnoty naukowców, nie zaś od polityków zależeć powinno dokąd świat ma kroczyć. Tym bardziej, że przykład dawany przez niektórych z nich świadczy, ile mogliby zrobić działając wspólnie. Otóż nie, uczeni nie przedsięwzięli zdecydowanej próby zostania ważną, samodzielnie działającą siłą. Całymi kongresami odwracają się w panice od cudzych cierpień; wygodniej wszak nie wykraczać poza granice nauki. Wciąż ten sam duch Monachium rozpostarł nad nimi swoje dławiące skrzydła.

Jakaż tedy jest rola i miejsce pisarza w tym sroгим, dynamicznym, grożącym eksplozją świecie? Toć my nie wysyłamy żadnych rakiet, nie ciągniemy nawet najłżejszego jaszczka, toteż mają nas w pogardzie ci, co liczą się tylko z materialną siłą. Czy nie godzi się nam także wycofać się, porzucić wiarę w niezachwianą siłę dobra, w niepodzielność prawdy i zwierzać światu półgębkiem tylko nasze gorzkie żale — jak beznadziejnie spaczona jest człowieczeństwo, jak zmarnieli ludzie i jak trudno wytrzymać wśród nich subtelny piękno duchom?

Ale i tej ucieczki — nie mamy. Skoro człowiek raz wzięty się za pióro, już potem nigdy nie zdoła się uchylić: pisarz nie jest żadnym postronnym sędzią swoich współczesnych, swoich współobywateli, jest natomiast współwinowajcą całego tego zła,

które wyrządzone zostało w jego ojczyźnie, albo przez jego naród. I jeżeli czołgi jego kraju zalały krwią asfalt cudzej stolicy — to bure plamy na zawsze już znaczyć będą twarz pisarza. I jeśli jakiejś fatalnej nocy zaduszo we śnie ufnego Przyjaciela, także na rękach pisarza ten sznur zostawił sine pasma. I jeżeli młodzi jego rodacy bezceremonialnie głoszą wyższość rozpasania nad skromnym trudem, oddają się narkomanii albo porywają ZAKŁADNIKÓW — to smród ten miesza się z oddechem pisarza.

Czy ośmielimy się twierdzić, że nie my odpowiadamy za plagi współczesnego świata?

7.

Z tym wszystkim — dodaje mi otuchy żywe poczucie istnienia LITERATURY ŚWIATOWEJ jako jednego wielkiego serca tłukącego się w świadomości trosk i nieszczyść naszego świata, choć pod każdą szerokością widzi się je i przedstawia odmiennie.

Obok odwiecznych piśmiennictw narodowych, już w dawnych wiekach istniało pojęcie literatury światowej — jako hiperboli przebiegającej wzdłuż szczytów narodowych literatur i jako całości kształtu wzajemnych wpływów literackich. Ale działał czynnik opóźniający: czytelnicy i pisarze poznawali obcych pisarzy z opóźnieniem, nieraz wiekowym, tak że owe wpływy wzajemne też były spóźnione i hiperbola łączące odległe szczyty stawała się widoczna dopiero dla potomków, nie dla współczesnych.

Dziś zaś między pisarzami jednego kraju, a pisarzami, i czytelnikami, drugiego istnieje wzajemne oddziaływanie, widoczne jeśli nie natychmiast, to nader szybko — i ja sam doświadczam tego na sobie. Nie drukowane, niestety, u nas w kraju moje książki, mimo że tłumaczono je w pośpiechu i często marnie — szybko znalazły sobie przychylnych czytelników w świecie. Krytycznym omówieniem tych książek zajęli się tak wybitni pisarze Zachodu, jak Heinrich Böll. Jeżeli w ciągu tych ostatnich lat moja praca i moja wolność nie zostały obrócone w niwecz — zawieszono, wbrew prawom ciężenia, w powietrzu, jakby NICZYM nie podtrzymane — to dlatego, że podtrzymywała je niema, naciągnięta struna społecznej sympatii. Wtedy to z gorącą wdzięcznością przyjąłem zupełnie nieoczekiwane dla mnie dowody poparcia ze strony międzynarodowego bractwa pisarzy. W dniu mojego pięćdziesięciolecia wprawiły mnie w zdumienie powinszowania nadesłane przez znakomitych pisarzy Europy. Żadne naciski, których byłem przedmiotem, nie uchodziły odtąd uwagi publicznej. W ciągu groźnych dla mnie tygodni, gdy usuwano mnie ze związku literatów, MUR OBRONNY wzniesiony

przez wybitnych pisarzy innych krajów uchronił mnie przed jeszcze gorszymi prześladowaniami, a norwescy literaci i artyści szukowali dla mnie gościnne schronienie na wypadek grożącego mi wygnania z mojej ojczyzny. A wreszcie moją kandydaturę do nagrody Nobla wysunięto nie w kraju, gdzie mieszkam i piszę, lecz uczynił to François Mauriac ze swoimi kolegami. A później jeszcze całe literackie związki różnych krajów wyraziły mi poparcie.

W ten sposób zrozumiałem i doświadczyłem sam, że pojęcie literatury światowej to już nie oderwana hiperbola, już nie abstrakcyjny termin ukuty przez literaturoznawców, ale jedno ciało i jeden duch, żywa wspólnota serc, w której znajduje odbicie rosnąca jedność duchowa ludzkości. Jeszcze czerwienią się granice państw rozżarzone prądem biegnącym po drutach kolczastych i seriami z automatów, jeszcze tu i ówdzie ministerstwa spraw wewnętrznych utrzymują, że również literatura jest „wewnętrzną sprawą” podległych im krajów, jeszcze wybija się w gazetowych nagłówkach: „wara im wtrącać się do naszych wewnętrznych spraw!”, a tymczasem żadnych WEWNĘTRZNYCH SPRAW już na naszej ciasnej ziemi nie ma! I ratunek ludzkości zależy tylko od tego, ażeby każda sprawa była sprawą wszystkich ludzi: aby ludziom Wschodu nie było całkowicie obojętne, co o nich myślą na Zachodzie; aby ludziom Zachodu nie całkiem było obojętne, co dzieje się na Wschodzie. I literatura piękna jako jedno z najczulszych, najsubtelniejszych narzędzi, jakimi człowiek rozporządza, omal czy nie pierwsza już przyswoiła sobie, opanowała i przekazała dalej to uczucie rosnącej jedności człowieczeństwa. I oto ja z całym przekonaniem zwracam się dziś do przedstawicieli współczesnej literatury światowej, do setek przyjaciół, których nigdy nie poznałem osobiście i być może nigdy nie ujrzę.

Przyjaciele! Spróbujmy wziąć się do dzieła, jeżeli jesteśmy coś warci! W poszczególnych krajach, rozdzieranych przez dysharmonię między partiami, ruchami społecznymi, kastami i grupami, któż był od wieków siłą nie dzielącą, lecz łączącą? Sama istota pisarskiej pracy czyni z nas rzeczników i narodowego języka, który jest główną spójnią narodu, i samej ziemi przez ów naród zamieszkałej, a — w szczególności okolicznościach — również spoiwem duszy narodowej.

Myślę, że piśmiennictwo światowe jest w stanie w tych groźnych dla ludzkości dniach dopomóc jej poznać własne jej oblicze — wbrew temu, co powtarzają stronnicy ludzie oraz ich partie: jest w stanie przenieść esencję doświadczenia zdobytego przez jedne kraje do drugich, tak aby przestało nam się dwoić i troić w oczach, aby podziałości rozmaitych skal etycznych

stały się współmierne i aby dzieje jednych narodów zostały w sposób rzetelny i zwięzły doprowadzone do świadomości innych z taką dobitnością i bolesną ostrością, jakby ci inni sami to przeżyli, i aby w ten sposób uchronieni zostali od powtarzania starych błędów. A my sami, być może, zdołamy rozwinąć w sobie zdolność *widzenia globalnego*: w centrum pola widzenia, jak to z każdym bywa, mając to co bliskie — kątem oka zaczniemy postrzegać także i to, co się w reszcie świata dzieje. Gdy zdobędziemy się na porównanie, zyskamy pojęcie o proporcjach wydarzeń.

I któż inny, jeśli nie pisarze powiedziec mają słowa gorzkiej prawdy, nie tylko swoim niefortunnym władcom (są państwa, w których jest to zajęcie najmniej kłopotliwe; bierze się do niego każdy, kto ma chęć), lecz także — własnemu społeczeństwu jeśli grzeszy tchórzliwą pokorą, albo samouwieleniem maskującym słabość, a również skorej do łatwych przeskoków młodzieży i niedorośłym piratom ze wzniesionymi do ciosu nożami?

Ktoś nam odpowie: co poradzi literatura przeciw bezlitosnemu natarciu otwartej przemocy? Nie zapominajmy wszelako, że przemoc nie jest sama, bo nie potrafi sama utrzymać się przy życiu: koniecznie musi być spleciona z KŁAMSTWEM. Istnieje między nimi związek krwi, związek najgłębszy i najbardziej naturalny. Przemoc niczym prócz kłamstwa nie może się osłonić, a kłamstwo nie utrzyma się inaczej niż w oparciu o przemoc. Każdy, kto przyjął kiedyś przemoc jako swoją METODĘ skazany jest nieuchronnie na to, aby przyjąć kłamstwo jako swoją ZASADĘ. W pierwszej chwili przemoc działa z otwartą przyłbicą i nawet jest z siebie dumna. Ale ledwie umocni się i poczuje się pewniej — już odczuwa, że powietrze dookoła niej rzednie i że niesposób utrzymać się dalej przy życiu inaczej, jak okazując się kłamstwem, osłaniając się za jego słodkimi pieniami. Przemoc niezawsze już dobiera się ludziom wprost do gardła, częściej teraz żąda od poddanych tylko świętej zgody na fałsz, tylko uczestnictwa w kłamstwie.

I stąd najprostszym krokiem prostego, męznego człowieka jest — nie przykładając ręki do fałszu — nie popierać akcji opartych na kłamstwie! Niech tam to przenika w głąb świata, niech nawet w nim panuje — ale nie za moją sprawą. Pisarzom zaś i artystom więcej jest dane: mogą POKONAĆ KŁAMSTWO! W walce z fałszem sztuka zawsze zwyciężała, zawsze zwycięża! Widomie, w sposób niezbity! Jest wiele rzeczy w świecie, którym fałsz może się oprzeć — ale przecież nie sztuce.

I gdy tylko fałsz się rozwieje — odsłoni się cała naga ohyda przemocy i strupieszwały gwałt rozpadnie się w proch.

Oto dlaczego, przyjaciele, sądzę, że zdolni jesteśmy dopomóc światu w tej gorącej chwili. Nie zasłaniać się bezbronnością, nie składać dani zyciowej beztrósce, ale podjąć walkę!

PRAWDA jest ulubioną bohaterką rosyjskich przysłów. Wielkie i ciężkie doświadczenia ludu wyrażają one nadzwyczaj dobitnie, a niekiedy w sposób aż uderzający:

JEDNO SŁOWO PRAWDY CAŁY ŚWIAT ZA SOBĄ POCIĄGNIE.

Na takim oto, pozornie fantastycznym odchyleniu od prawa zachowania masy i energii oparta jest i moja własna działalność i ten oto mój apel do pisarzy całego świata.

Aleksander SOŁŻENICYN

(Tłumaczył Michał Kaniowski)

Copyright © The Nobel Foundation 1972.

Duże cienie

Kiedy przeczytałem grubą, niemal 400-stronicową powieść Stalińskiego *Cienie w pieczarze**, spodziewałem się, że dużo będzie się o tej powieści pisać i mówić. Nic takiego jednak się stało i tom podzielił losy wielu innych tomów, które ktoś tam czyta i na których ktoś tam coś myśli, ale nic o tym nie wiadomo. Moje nadzieje wydawały mi się uzasadnione, a to ze względu na niezwykłość autorskiego zamiaru, bez analogii w światowej literaturze. Ale w Polsce, gdzie może by to zostało zauważone, nie można tej książki recenzować, emigranci są widocznie na nią mało wrażliwi, natomiast nie jest ona chyba przetłumaczalna na obce języki, bo nawet z tuzinami odsyłaczy niewiele by z niej zrozumiał obcy czytelnik. Jej smętna treść i także losy mają sens głębszy, ku któremu będę zmierzał, zachynając tylko od rzeczonyj powieści i posuwając się ku innym tematom.

Tytuł *Cienie w pieczarze* jest aluzją do tzw. jaskini Platona, alegorii, jaką znajdujemy w siódmej księdze *Republiki*. Już to, że autor nie uważał za stosowne o jej szczegółach przypomnieć, o czymś (socjologicznie?) świadczy. Oto on, inteligent, przyjmuje za pewne, że wszyscy ludzie wykształceni tę przypowieść znają, a jeżeli są niewykształceni, tym gorzej dla nich. Można się jednak założyć, że niewielu czytelników potrafiłoby przekazać swoimi słowami o co tu chodzi, więc podajmy krótki opis. Platon opowiada o ludziach, którzy siedzą przykuci, tak że nie mogą nawet szyją poruszać, w wielkiej jaskini, a ważne jest że nie dochodzi do nich zupełnie dzienne światło. Gdzieś za ich plecami pali się ognisko, między nimi i ogniskiem wznosi się niezbyt

* Instytut Literacki, Paryż, 1971.

wysoka przegroda, za którą jacyś inni ludzie noszą posążki zwierząt, ludzi i bogów, tak że światło rzuca ich cienie na ścianę pieczary. Jedyną wiedzą o rzeczywistości dla tych więźniów dostępną jest ów teatr cieni. Co by się zdarzyło, gdyby któryś z nich został nagle rozkuty, wstał i popatrzył na same rzeczy, nie na ich odbicia? Nie mógłby uwierzyć w ich realność. Oślepiiony blaskiem ognia odwróciłby się do swojej ściany, bo do tego co na niej widać został przyzwyczajony. Jeszcze gorzej byłoby gdyby wywleczono go z pieczary na światło dnia — zupełnie by go ono oślepiło. Dajmy na to, że przyzwyczajony się wreszcie widzieć normalnie i przejęty współczuciem dla swoich towarzyszy, wrócił i próbował ich przekonać o złudności ich wiedzy. Wyśmieliby go, a gdyby chciał ich rozkuć i wlec ku wyjściu, pewnie by go zabili.

Ta nieco przydługa i trochę sztuczna alegoria służy Platoniowi do wprowadzenia podziału na prawdziwe, czyste Idee dobra, i na nędzne namiastki, jakimi zadawalają się śmiertelnicy. Autor ukrywający się pod pseudonimem Tomasz Staliński, jak to Polak, metafizyczny sens zmienił w historycznie-społeczny. Dla niego życie w pieczarze to życie w całkiem konkretnej społeczności ludzkiej, w całkiem konkretnym państwie, PRL, i w określonym momencie. A niezwykłość pomysłu na tym polega, że bohater-narrator próbuje naprawę, szczerze, z najlepszą wolą, zrozumieć piekielną mieszanekę jaką w nim samym wytwarza pamięć połączona z tym, co dla młodszych pokoleń jest najzupełniej zwyczajne. On sam należy do pokolenia całkowicie ukształtowanego przed wojną, zna przedwojenną politykę, brał udział w kampanii wrześniowej i powstaniu warszawskim. Romans jego z Białą Bluzeczką, wychowaną w nowym ustroju i lojalnie-partyjną, wprowadza go w osłupienie przez to, co dowiaduje się od niej o jej braku historycznej pamięci. Otóż zauważmy, że fakt, iż młoda Francuzka nie pamięta roku 1936 i Front Populaire, że młoda Amerykanka nie pamięta Depresji czy wielkiego ekonomicznego kryzysu nie obchodziłyby zachodniego powieściopisarza. Miejsc na świecie gdzie tak nagle i tak całkowicie zmieniało się życie ludzi jak w Polsce jest dziś niewiele. Wyłączyć wypada Rosję, bo pokolenie Pasternaka to ostatnie jakie przedrewolucyjną erę pamiętało. Analogii trzeba byłoby szukać chyba w Chinach, gdzie na jedno życie przypadła okupacja japońska, powrót Czang Kai-szeka, wojna domowa, kolektywizacja. Rzeczywistym bohaterem jest więc czas historycznie przyspieszony, a główne niepokojące pytanie powieści dotyczy cieni na ścianie pieczary: czy w ogóle można poznać przedmioty ukazujące się jako cienie i dowiedzieć się, kto

nimi porusza? Narrator był świadkiem czarodziejskiego przekształcania umysłów przez obowiązujący język (bo właśnie język rzuca cienie na ścianę pieczary) i sam częściowo w tym pomagał jako dziennikarz z zawodu. Zapoznawszy się z *Doktorem Żiwago* Pasternaka** i biorąc przykład z rosyjskiego poety, postanawia siebie „odszmacić” czyli kłaść na papierze słowa wolne od wewnętrznej cenzury, wygarniać wszystko co dotychczas śmiało tylko myśleć. I to mu się udaje. Otrzymujemy ogromny monolog człowieka, który w swoich sądach o wypadkach dwudziestego wieku byłby reprezentacyjnym polskim przedwojennym inteligentem o uniwersyteckim wykształceniu, gdyby nie rys szczególny, nawet w jego sądy wprowadzający nieco inną tonację. Tym rysem jest tak wielka ciekawość tego co się dookoła, i między ludźmi i w ludziach, dzieje, że po prostu oczy wyłażą mu z głowy. Chce rozwikłać zagadkę i przystępuje do zadania bezprzyjętych z góry pewników. Ale podczas gdy mówić swobodnie potrafi, cała społeczna, polityczna, ekonomiczna rzeczywistość ukazuje mu się jako absolutnie nieprzejrzysta, jako coś, o czym tyle tylko da się powiedzieć, że to jest, takie a nie inne, czy ktokolwiek, na górze albo na dole, tego sobie życzy czy nie — a kto porusza przedmiotami, gdzie zapadają decyzje, właściwie nikt nie wie. Poszukiwanie kończy się więc bezradnym rozłożeniem rąk, co niemało ma wspólnego z faktem, że narrator jest patriotą a właśnie od strony patriotyzmu, podobnie jak inni, został „zagięty”. Co sam przyznaje:

„Czy można kochać syntetyczną dziewczynę, mającą dwoje oczu z jednej strony? Otóż to — właśnie o miłość tu chodziło, o miłość ojczyzny, którą to miłość tak ogromnie teraz w Polsce reklamowano i polecano, przemysłnym jednak sposobem identyfikując ją z miłością do Partii, a ponieważ rzeczywistość nikt w Polsce nie miał nic do gadania oprócz Partii, więc sylogizm, że miłość ojczyzny równa się miłości do Partii stawał się nieodpartym i nikt w młodym pokoleniu nie znajdował narzędzia myślowego, aby taki aksjomat podważyć: trzeba by na to podważyć i przewartościować wszystko od dołu, no a któż zdecyduje się dla własnych wątpliwości zakwestionować całe życie narodu, życie, w którym przecież sam jakoś uczestniczy. W ten więc sposób spojony był i mocno, jak wodoszczelny kadłub okrętu zanitowany system totalnego *perpetuum mobile*, gdzie wszyscy, jak ów kot zajęci wyjadaniem sobie musztardy spod ogona, nie mieli na nic innego czasu ani uwagi, każdego zaś, który chciał robić co innego (choćby tylko myślał) łatwo było ogłosić wszem i wobec jako zbrodniarza, wicherzyciela, nihilistę i wroga narodu”.

Porażka bohatera, owego Romana, który późną jesienią wyjeżdża z Warszawy do Sopotu, żeby tam rozmysłać i pisać swoje dzieło, mogłaby być wygrana artystyczną autora, ale ta powieść o pisaniu powieści zmienia się zaraz w rodzaj (pasjonującego co

** Instytut Literacki, Paryż, 1958, 1967.

prawda) traktatu. Wygląda jakby myśl była za blisko ust i nawet cieni na ścianie nie ma, jest refleksja nad cieniami przekazywana przy pomocy umownych znaków i skrótów — dlatego też cudzoziemcy nie dowiedzieliby się wiele, ale wątpliwe też czy dwudziestolatek w Polsce znalazłby w książce jakiś obraz przemiany dawnego w nowe. Tym niemniej każda niemal stronica *Cieni w pieczarze* naładowana jest problemami aż do pęknięcia i to nie byle jakimi. Dlaczego więc, zwłaszcza że czas, emigrantów złowrogą mentor, jest tu główną postacią, zabrakło sprzeciwów, pochwał, polemik? Za trudne? A jeżeli za trudne, to dlaczego?

Co to było?

Rówieśnik bohatera powieści, o podobnym wykształceniu i zawodzie, wdzięcznym byłem czytelnikiem. Nie potrzebowałem żadnych zaczynów od pieca, wystarczały mi skróty, napomknięcia mimochodem, tu i ówdzie rzucony inicjał, pod którym rozpoznawałem nazwisko. Niemniej zachodziła między nami różnica zasadnicza, bo ta nowa Polska w której się poruszał była dla mnie krajem nieznanym i nie zamierzałem o niej cokolwiek mniemać albo i nie mniemać. Nie znaczy to, że alegoria platońskiej jaskini nie miała do mnie zastosowania, ale udrećzała mnie i nadal udrećza zagadka zupełnie innych cieni. Ścisłej, dwie zagadki. Pierwsza dotyczy warstwy społecznej zwanej polską inteligencją. Druga, rzeczywistości i pozorów moich własnych, tutaj gdzie dopadł mnie czas, czyli w Ameryce.

Inteligencja przechowywała w ciągu wieku dziewiętnastego ideę niepodległości i cel osiągnęła w roku 1918, tworząc państwo, które przetrwało do 1939 roku. Ale kiedy chcemy wypowiedzieć jakąś opinię o tej grupie czy tym rodzie, o jego obyczajowych nawykach, wyobrażeniach, reagowaniu na wypadki, nie umiemy nic dokładnie uchwycić. Bo przypuścimy, że zapisane jego głosy czyli literaturę uznamy za źródło informacji. Nawet jeżeli jesteśmy tak przebiegli, że potrafimy wróżyć z czyjejś nieświadomości tj. z mimowolnych, zaszyfrowanych, wyznań, powstaje zaraz pytanie jakie daty wybrać, skoro przecież inteligencja i literatura służąca jej obrzędowi była inna w 1900, inna w 1920, inna w 1939. I jak odróżnić pod-środowiska, i te tylko na niby w niezgodzie z ogólnym nurtem, i te naprawdę w niezgodzie, jak też uniknąć błędu jaki pochodzi z wzięcia wyjątków za zjawiska typowe? Gdzie, w jakich ludziach, w jakich dziełach do dzisiaj zachował się inteligencki wzorzec w swojej nieskażonej postaci? Nie w Polsce chyba. Bohater Stałińskiego trafił w taki młyn, tak nim tam obracało, że jest już,

jeżeli wolno tak się wyrazić, inteligentem reformowanym tzn. wiele pojęć dawniej dla niego oczywistych trochę się zamgliło. Co prawda dopuszczam możliwość, że gdyby się ucieleśnił i gdyby doszło do rozmowy między nami, trudno by nam było się porozumieć nie z powodu jego doświadczeń w Polsce Ludowej, ale dlatego, że pamięć podsuwa mu stan rzeczy sprzed 1939 jako względnie „normalny” czyli dopiero z jego zniszczeniem miały się zacząć wszelkie brewerie. Co chyba nie jest moim wypadkiem. Gotów jestem przyznać się do niewiedzy całkowitej tzn. również przedwojenna Polska jest w mojej pamięci platońską pieczarą, właśnie przez zagadkowość wierzeń i obyczajów inteligencji.

Jest prawdopodobne, że to co nazywa się „mentalnością”, „formacją”, „strukturą umysłową” itd. da się rozpoznać po kierunku w jakim zwraca się *uwaga*. To znaczy patrząc na to samo, biorąc udział w tych samych wydarzeniach, dwaj ludzie należący do różnych „formacji” widzą co innego, bo uwaga wychwytuje i układa w całość szczegóły przez inny typ uwagi pomijane. Nigdy nie dowiem się 1) ilu ludzi czytało książki Jerzego Stempowskiego — *Eseje dla Kassandry*¹ i *Od Berdyczowa do Rzymu*² 2) czy tylko mnie czy jeszcze kogoś tak przejęła lektura pewnych stronic odnoszących się do Polski sprzed 1939 roku. Zauważmy, że jeżeli trudno orzec czym była polska inteligencja przed 1939 rokiem, kto do niej należał, kto nie należał, „inność” już jest bardziej wyczuwalna. Otóż moim zdaniem Stempowski utrzymywał ze swoim czytelnikiem stosunki oparte na towarzyskim dystansie, jeżeli nie na lekkim fałszu. Jako człowiek bardzo ostrożny i stary już chyba w młodości, wiedział, że najbardziej niemiłe prawdy można w polskim języku zamaskować wytwornością stylu. Właściwie był kosmopolitą rodem z Ukrainy, przekonany, że historia Europy skończyła się w roku 1914, ale, jako że zdomowił się w swoim sceptycyzmie, nikogo nie chciał pozbawiać złudzeń, wędrując po ziemi krokiem „niepiesznego przechodnia”. Czasami jednak wypowiadał się dość otwarcie, np. w tym co notuje o swojej przyjaźni z profesorem Szymonem Askenazym. Rola Askenazego w dziejach polskiej inteligencji — i jej niepodległościowych marzeń — jest powszechnie znana. Był on przeciwnikiem zbyt bolesnych rozrachunków z przeszłością i jednym z odnowicieli politycznego romantyzmu. Wartość czynu zbrojnego była przez niego wciąż podkreślana w jego pracach historycznych. Cóż się nagle od Stempowskiego dowiadujemy? Nie tylko, że inteligencja, odzyskawszy państwo, okazała umiarkowaną tylko wdzięczność swemu wychowawcy. Ustępo-

1. Instytut Literacki, Paryż, 1961.

2. Instytut Literacki, Paryż, 1971.

niższy wart jest zresztą cytowania jako przykład stylowych upodobań Stempowskiego:

„W 1914 Askenazy wyjechał za granicę. Po powrocie do kraju, w odrodzonym uniwersytecie warszawskim słusznym tytułem pretendował do katedry historii. Obudzona do nowego życia Polska była jednak młoda, rozrzutna i kapryśna. W 1920 senat akademicki odrzucił kandydaturę Askenazygo. Powołany wkrótce potem na stanowisko delegata do Ligi Narodów, Askenazy porzucił na dwa lata kraj. Złożywszy dymisję jesienią 1922 wrócił do Warszawy i pozostał tam aż do śmierci w 1935 roku”.

W 1931 roku, kiedy inny wydział (prawny) ofiarował mu katedrę, Askenazy delegatów senatu akademickiego wyrzucił za drzwi. Rozmowy z nim, zapisane przez Stempowskiego, datują się z roku 1932. Dowiadujemy się z nich, że Askenazy (sam Askenazy!!) w swoich dziełach naukowych *nie mówił prawdy*. Oto jego słowa:

„Historię pisałem w znacznej mierze *ad usum delphini*, dla młodzieży, którą starałem się wychować, przygotować moralnie do nowej walki o niepodległość. Dziś można by to oczywiście opowiedzieć na nowo, inaczej, ale dla kogo? Kto się tym interesuje? Komu taka wiadomość może być potrzebna?”

Inna cytata:

„W pogodny letni dzień 1932, obszedłszy utartym szlakiem starą część miasta, wyszliśmy w aleję 3-go Maja i usiedliśmy na ławce. Naprzeciw zakładano właśnie fundamenty pod jakiś wielki budynek. 'Co też tu zamierzają budować?' — zapytał Askenazy. 'Słyszałem, że Muzeum Narodowe'. 'Że też ludzie mają zdrowie i ochotę wznosić tak kosztowne budynki w mieście na zagładę przeznaczonym'”.

Zważmy, że działo się to przed dojściem Hitlera do władzy. Na teże ławce Askenazy wyłożył swój pogląd na przyszłą wojnę i na cały układ sił w trójkącie Niemcy-Polska-Rosja. Ponieważ wszystko się sprawdziło co do joty, nie ma potrzeby cytować. Z tych rozmów można wyciągnąć wnioski, które raczej będą pytaniami. Jeżeli prawda historyczna jest przekształcana przez badaczy w imię celów wychowawczych, jak to wpływa na *etos* inteligencji? I czy, choć może nikt nie widział tak jasno jak Askenazy złowrogich zarysów jutra, nie było w tamtych latach wiedzy podziemnej, właściwej zwłaszcza tym co dużo podróżowali albo pochodzili spoza polskiego etnicznego obszaru? Przecież Zdziechowski, Witkacy, sam Stempowski... Ta wiedza podziemna pozostawała w sprzeczności z nastrojami inteligencji, która o tym że Polska powinna mieć kolonie rozprawiała i nawet później, na samym dniu niemieckiej okupacji, układała mesjaniści-ckie rozprawy o polskim imperium. A jednak świadomość tej

drugiej, ciemnej, odmiany myślenia, nawet zepchnięta, nie mogła być całkiem nieobecna? Czy więc nie dotykamy tutaj jakichś zawiłości, nawet jeżeli politycy nieobcych, to sięgających znacznie głębiej, jakiegoś „na niby” do którego nie wolno było się przyznać?

Krótkie epitafium

Profesor Askenazy umarł bo chorował, jak mówi Stempowski, nie tyle na nerki ile na swoje czarne myśli. W kilka lat po nim, już w roku 1940, umarła jego żona. Jedyna ich córka, Janina Askenazy, żąda teraz ode mnie żebym jej nie pominął, muszę więc zrobić dygresję. Poznałem ją przed wojną, ale nieudane było to spotkanie, bo na bardzo wysoki intelektualny i poetyczny ton nastrojona, prowokowała tym do sprzeciwu. Dość często natomiast widywałem ją w okupacyjnej Warszawie. Była to duża, nieładna panna, odzywająca się głosem tak cichym że ledwo słyszalnym, nie pamiętam czy krótkowzroczna, ale zachowująca się trochę jak człowiek co niedowidzi. Otaczała ją aura osamotnienia, przyrodzonego staropanieństwa i, choć zakłócenie zmysłu rzeczywistości nie podlega łatwo podziałom na rodzaje, nie tylko ja skłonny byłem dopatrywać się w niej początków wręcz klinicznej schizofrenii. Nie stanowiło to razem zespołu cech pomagających przetrwać, zwłaszcza że Janina Askenazy, ze swoim raczej semickim wyglądem, poruszała się jak we mgłę ulicami Warszawy kolportując podziemną prasę. Jej przynależność do której należało sporo inteligencji żydowskiego pochodzenia „po tej stronie”, są zupełnym *abyssus*, do którego lepiej nie zaglądać. Zresztą nikt nie zaglądał i prawdopodobnie zaglądać nie będzie, znacznie to bardziej skomplikowane, niż słowo w druku przekazuje, bo kto był naprawdę kto i kto z czyjej ginał ręki żadne dokumenty nie poświadczą. I nawet ulga, tudzież satysfakcja, jak np. kiedy wśród gładko skoszzonej klienteli baru „Za kotarą” znalazł się K., spotykając się z którym trzeba było udawać, że go się nie podejrzewa, zaprawiona była wątpliwością, skoro paru Niemców mogło postradać tam życie tylko dlatego, że całkiem wyższą anty-hitlerowską uprawiało grę. I tak dalej. Janina Askenazy w niczym tam zawilszym nie brała udziału, jej przygody były makabryczno-komiczne po prostu przez jej osobowość trochę nie z tej ziemi. Jej własna to relacja: zdarzało się, że traciła poczucie miejsca i czasu, tak też raz, w tramwaju, obładowana drukami, przeniosła się niejako w inny wymiar i jeździła pół dnia tą samą linią, od pętli

do pętli, aż tramwajarz zauważył, że coś z nią nie w porządku i granatowa policja ją wzięła, ale jako pomieszana. Wtedy oprzytomniała, w klozecie pozbyła się ładunku podziemnej literatury i na niczym się skończyło. Czy później, kiedy znikła, powodem był taki sam stan znieprzytomnienia czy to innego i gdzie została zamordowana, brak wieści.

Dokument

Jak wyjaśnić, że eseista Jerzy Stempowski, niechętnie usposobiony do idei narodowości, relikwii patriotycznych niekoniecznie czciciel, a przy tym wolterianin, nie tylko anty-katolicki, ale zupełnie bezreligijny, był tolerowany, ba, nawet chwalony, podczas gdy mniejsze odstępstwa wystaczały nieraz żeby znaleźć się na polskim indeksie? Można powołać się na janusowe oblicze polskiej inteligencji, na jej dwie twarze, jedną, oświeceniowo-pozytywistyczno-socjalistyczno-masońską, drugą, katolicko-narodową. To jednak pomagałoby raczej zaklasyfikować Stempowskiego — ojca, działacza i autora pamiętników, który niewątpliwie do inteligencji pozytywistycznego pokroju należał. Dziwactwa odludka i muzyki tudzież literatury klasycznej konesera „pana Jerzego” wybaczano zapewne dlatego, że był człowiekiem z towarzysztwa, o dobrych manierach, a wiadomo że dobrze wychowany człowiek nie szarpie się i nie kłóci o jakieś filozofie, jeżeli natomiast kpi, to to zawsze wolno. I podczas gdy rozdzieraniom szat z byle okazji nie było końca, nikt z inteligencji emigracyjnej nie oburzył się na Stempowskiego kiedy w roku 1963 (gdzie, w eseju o mieście Turynie i architekturze barokowej!) pisał:

„Przyjaciele pytają mnie nieraz, czemu nie spisuję wspomnień z dwudziestolecia, które oglądałem dość blisko, z różnych stron, bez zaangażowania. Nasze dwudziestolecie posiada historię bogatą w malownicze i warte zastanowienia wypadki. Przeraza mnie jednak nędza i poniewierka obywateli Rzplitej tego czasu. Gdyby zaproponowano mi nowe życie w skórze robotnika lub chłopca dwudziestolecia, wybrałbym śmierć”.

„Weselszą stronę dwudziestolecia reprezentowałyby fotografie półpiętra Ziemiańskiej, Ipsu z freskiem Topolskiego, Miry Zimińskiej i Szopki Cyrulika Warszawskiego. Patrząc bez żalu, jak szczegóły tego okresu ulatniają się powoli z mojej pamięci”.

Niektóre eseje Pawła Hostowca czyli Jerzego Stempowskiego, emigranta przez całe właściwie życie, zaliczyć trzeba do najrzadszych osiągnięć polskiej literatury i powinny one jak najbardziej stać się przedmiotem rozprawy doktorskiej. Ale o umysłowości inteligencji nie świadczą, chyba pośrednio tzn. jako możliwość — a wysoko ją należy cenić — podobnych mutacji.

Jest jednak dokument, w którym utrwalił się umysł polskiej inteligencji w jego postaci wręcz esencjonalnej. Są to dwa tomy *Dziennika* Jana Lechoń³. Niełatwo jest uwierzyć, że Lechoń i Stempowski byli sobie współcześni, rówieśnicy niemal, że chodzili niegdyś ulicami tego samego miasta i spotykali się niekiedy w tej samej kawiarni.

Przyznaję się, że nie mogłem tego dzieła przeczytać w całości ale zaraz zacząłem przyciskać siebie do muru, zapytując dlaczego ta lektura jest dla mnie tak nudna i przygnębiająca. Lechoń uchodził za najbystrzejszego i najbardziej dowcipnego z poetów Skamandra, grupy inteligenckiej i przez inteligencję cenionej. A i życiorys jego inteligencko nienaganny, bez żadnych wątpliwości jakich przyczynia pochodzenie „z kresów”. Syn, jeżeli się nie myłę, drobnego urzędnika, na Starym Mieście bodaj urodzony, Rzeckiego z *Lalki* mógłby być krewny. Leszek Serafinowicz z nazwiska, może nie najlepiej, ale w młodym wieku zyskał rozgłos i w wyższe towarzystwo został przyjęty. A nawet wspiął się do elity wyższego towarzystwa, do MSZ i sporo lat spędził w Paryżu jako dyplomata. Po czym lat wiele, od upadku Francji aż do śmierci w 1956 roku mieszkał jako emigrant w New Yorku. Zdawałoby się, że jego osobiste pokręcenie seksualne (o którym pisze w *Dzienniku* dość szczerze i w którym trzeba szukać właściwych powodów jego samobójstwa) mogłoby go wyrzucić z orbity, ale gdzieś tam. Lechoń był światowcem, widział siebie jako postać z Prousta, śniadania i obiady w Paryżu wydawał, ale żył we Francji sfer dyplomatycznych tylko, żył w Ameryce ale jak wśród dekoracji, naprawdę ciągle w Warszawie, dokładniej, w Warszawce. I tutaj przyłapuję siebie na starym, tradycyjnym odruchu, za który nie jestem odpowiedzialny, bo wszystkim nam z Litwy wpoilo to rodzinne wychowanie: „Eee, czy może coś dobrego wyjść z Warszawy?” Dla dziejów inteligencji ten odruch nie jest bez znaczenia, bo dlaczego na przykład Gombrowicz raz na mnie prawie się obraził, kiedy powiedziałem, że przecież ze środka Polski pochodzi, dlaczego brat jego, Jerzy Szymkowicz-Gombrowicz, w swoim genealogicznym studium tak silnie podkreśla czysto żmudzki rodowód Gombrowiczów czyli Gombrysów, z samego serca Litwy, znad mojej rodzinnej rzeki, Niewiaży? Ale nie, choć droga Lechońowi Warszawa przedwojnia wydała mi się na jego stronicach prowincjonalna, musiałem drażyć dalej.

Lechoń ukazuje się nam w swoim *Dzienniku* jako człowiek moralnie obolały, stale oburzony na to co się ze światem w wy-

3. Nakładem „Wiadomości” i Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1967, 1970.

niku II wojny światowej stało. I czy miałbym jakąkolwiek chęć stosować do tej jego obolałości polityczne kryteria? Bynajmniej. Sam fakt podziału Europy, tak że po pokonaniu jednego morderczego imperium, sto milionów Europejczyków dostało się pod władzę drugiego morderczego imperium jest dostatecznie ohydny, żeby rozpatrywać go zupełnie niezależnie od politycznych opcji. Ostatnim aktem oporu polskiej inteligencji stało się powstanie warszawskie. Zapewne Lechoń nie potrafiłby żyć w ojczyźnie zmienionej, skoro nowa tamtej już nie przypominała. Nie to jest jednak istotne, ale jego gniew. Ten gniew jest gniewem człowieka sprawiedliwego i nie może być powodem mego z nim sporu.

Lechonia stosunek do poezji? Jeżeli uznamy jego poetykę za anachroniczną, to co z tego? Historia literatury i sztuki to historia współistnienia w czasie tendencji starzejących się i nowych, przybierających na sile. Pełna jest też przykładów przegranej nowatorów choć robili dużo szumu i artystycznej doskonałości osiągananej przez ostatnich przedstawicieli jakiejś szkoły, tak że wygląda to jakby ręka musiała się niekiedy ćwiczyć przez kilka pokoleń. „Klasycyzm” nie jest terminem, który dałoby się ściślej zdefiniować, na ogół jednak zawsze zakłada pewną rezygnację z wygórowanych pragnień dostrzegalnych u zwolenników dionizyjskiego „świętego szału”, tzn. z góry przyjmuje się, że język dużo wyrazić nie zdoła. Co jest natomiast do zdobycia, to czystość dźwięku i czystość proporcji. Lechoń w tym sensie był „klasykiem”. Dnie całe potrafił spędzać nad jedną liniijką wiersza, cyzelując ją stopniowo, tak żeby wyglądała wreszcie na wypowiedź jak najbardziej zgodną z duchem polszczyzny, jak najbardziej od niechęci. Owszem, kontrast pomiędzy jego zacną, arcy-polską, patriotyczną poezją, która nieświadomych ludzi swoją „szczerością uczuć”, i jego biografią jest już aż krzyżący. To jednak nierzadkie i badania nad psychologią twórczości nie upoważniają już dziś nikogo do ukucia argumentu z takiego nieprzylegania życia i sztuki.

Dlaczego więc *Dziennik*, którym poeta-emigrant, w kotle New Yorku smażony, próbuje się ratować zapisując swoje walki z sobą samym, w czterech ścianach, swoje modlitwy o poezję, swoje upadki i, choć tych przeważnie brak, pociechy, dlaczego ten testament ludzkiego cierpienia nie budzi we mnie żadnych uczuć prócz wstydu: że oto nie umiem w pełni współczuć, bo zwraca się do mnie z tych stronik człowiek i nieszczęśliwy i niemądry? Ależ Lechoń głupi nie był! Najzjadliwszy dowcip, postrach warszawskiej kawiarni! I wśród intelektualnych markiz brylował! I w tych salonach i ambasadach był podziwiany, dokąd

by nawet nie wpuszczono mnie, prostaka z Wilna! Nie, Lechoń w *Dzienniku* jest ograniczony nie swoim własnym, przyrodzonym ograniczeniem, ale ograniczeniem swojej struktury czy formacji. I gdybym umiał określić na czym ono polegało, wiedziałbym wszystko, ale nie umiem. A najgorsze, że wkrada się tutaj polityka i mogę od kogoś usłyszeć, że przeciwko inteligencji polskiej jestem dlatego że przegrała, straciła państwo etc., podczas kiedy ani mi to w głowie, skoro wiem, że są tragedie historyczne w których w ogóle nie ma żadnego dobrego wyboru i cokolwiek się wybierze będzie złe.

Dziennik Lechonia. To tak jakbym stanął do rozprawy z całą przedwojenną Warszawą i sondował siebie chcąc dowiedzieć się skąd wziął się zasadniczy konflikt mego żywota. Jak najdalszy od zamiarów racjonalnego wytłumaczenia losu, przyjmuję, że jesteśmy we władzy naszego dajmoniona i, nie od siebie zależni, robimy co on rozkazuje. Niemniej, kiedy los już jest gotowy, niby tkanina, rozróżniamy osnowę i wątek, nieświadomość i świadomość, a tej ostatniej tylko tutaj rozważania moje dotyczą. Ilez to razy później, wracając myślą wstecz, próbowałem siebie przekonać, że moje ówczesne poczucie wyłączenia, tak że ci nokoło mnie byli dla siebie nawzajem swoi, ja tylko obcy, pochodziło z ciemnych urazów, niechęci, urojeń i że poza moimi subiektywnymi stanami nic naprawdę takiego nie istniało. Albo próbowałem to ująć przy pomocy pojęć jakie każdy miał na podorędziu, a więc jako starcie literackich szkół czy pokoleń, to znów jako starcie politycznych skłonności, zaraz zdając sobie sprawę, że nie trafiam, że omijam sedno.

A tu, bach, Lechoń, który to w rzecz dotykając zmienia mi-mowoli i nad *Dziennikiem* siedząc przekonuję się, że nie, to nie było złudzenie. Ależ o co chodzi, na Boga?! W Mickiewiczu, we Fredrze, w Słowackim zakochany, a czyż nie na nich i ja się wychowałem? W polskości pogrążony, ale czyż to grzech i czy za Anglosasa kiedykolwiek chciałem uchodzić? Więc dlaczego on dla mnie jak Marsjanin i w jego osobie cała jedna wielka rodzina kulturalna, nagle się, by tak rzec, marsjanizuje? I czy, zważywszy, że niebardzo się wie co znaczy bez tej rodziny „polskość”, w jego osobie nie marsjanizuje się też i ona?

Coś mi zaczyna świtać kiedy Lechoń przystępuje do planu swojej zamierzonej powieści i sporo temu miejsca poświęca. Naturalnie, każdy piszący zna te ślepe tory na które wjeżdża się w chwili osłabienia i które później kosztują wiele straconej energii, tak że porażka tych powieściopisarskich prób nie przynosi Lechoniowi ujmy. Ale przy tej okazji dowiadujemy się co on w swoim stuleciu widział i okazuje się, że nic nie widział. Ilu-

zję, „weselszą stroną dwudziestolecia” brał za rzeczywistość i podczas kiedy Europa w spazmach, w konwulsjach długo dojrzewała do rzezi i rewolucji dwudziestego wieku, co zostało należycie odnotowane przez Nietzschego, Dostojewskiego, Kafkę, Manną, on usadowił się w przerwie pomiędzy jednym aktem i drugim, tak krótkiej jak otwarcie się i zamknięcie skrzydeł motyla, z niej czerpiąc miarę osądu. A potworów hodowanych przez cały wiek dziewiętnasty w ogóle nie zauważył, niby dziecko spacerujące po łące wśród dinozaurów. Postać nie z Prousta, jak mu się zdawało, ale z *Wesela* Wyspiańskiego. Zresztą nie przesadzajmy z tym mnożeniem „epok”. Wyspiański, gdyby nie zniszczyła go wcześniej choroba, miałby w 1918 roku zaledwie 49 lat i spotkałby się z młodym poetą spod Pikadora.

Można powziąć podejrzenie, że tutaj odmowa przyjęcia do wiadomości była sposobem ratunku, od dawna, jeszcze w dwudziestolecu. Ale też odcinała Lechonia od świata który go otaczał i *Dziennik* jest relacją o tym jak człowiek zamienia się w słup soli. Przysłowiowy emigrant? Cóż to jednak znaczy? Gdzie jak gdzie, ale w literaturze polskiej na emigracyjność wybrzdzać się nie wypada. Lechoń, stylizujący w Manhattanie swoje wiersze żeby wyglądały jak wiersze Lenartowicza i Or-Ota, nie był niczego prócz swojej polskiej wierności *ciekaw* i przez to tylko chyba jest reprezentacyjny. Dla mnie np. zagadkowy jest jego katolicyzm. Jacques Maritain, który przez wiele lat był emigrantem, w Kanadzie, później w Stanach, wspomina nieraz o swoim w Ameryce *zadomowieniu*, i to zaraz, bo wszędzie jest kościół katolicki i wszędzie odprawia się msza (wtedy co prawda w tej samej łacinie). Zastanawiając się czemu bystre przecie niekiedy zapisy Lechonia o książkach, o malarstwie pomniejszych i jego samego i to o czym mówi, skłonny jestem to przypisać i jego dyletantwu i wyrzeczeniu się przez niego szerzej ojczyzny. Choć czy mam rację, nie ręcę. Tyle że pamiętniki i diariusze sprzed lat stu pięćdziesięciu bardziej są dla mnie swojskie niż utwór poety którego osobiście, choć mało, znałem. Ach, na to wykrzykną, niepotrzebnie pan ze szczególnego wypadku wyciąga ogólne wnioski. Lechoń to Lechoń, a nie żadna formacja. Otóż nie. Bez swojej zapewne zasługi i winy musiałem zyskać wobec polskiej literatury ogromny dystans, a wtedy historia inteligencji, zaczynająca się gdzieś podczas Sejmu Czteroletniego, ukazuje się jako pewna całość, z węzłowymi punktami, które mają podwójne, zarówno indywidualne jak ogólne, znaczenie.

Żale, chyba daremne

Lechoń nie podejrzewał, że jego umysł może komuś, na przy-

kład mnie, wydać się tak dziwny, jak umysł Sarmaty na sejmiku. Wzmianki jego o mnie są nieprzychylnie i świadczące najwyżej o jego sztuce zażegnania zmyru. Nie podejrzewał, że właśnie on sam był przyczyną mego sprzedania się, jak to sobie i innym tłumaczył, komunistom. Bo jeżeli, jak wówczas doskonale pojmo- wałem, tacy jak on byli na najwyższych umysłowych szczeblach, to cóż mówić o niższych i do kogo za granicą pisząc po polsku mógłbym usta otworzyć? Gdybym miał temperament Jerzego Stempowskiego, o, wtedy z zupełnym spokojem, niejako ze wzruszeniem ramion, układałbym eseje o kataklizmach i szóstego i dwudziestego wieku, o drzewach kantonu Bern, o łaźniach rzymskich, choć, przynajmniej, w tym mądrym gawędziarstwie, które nie walczy, nie żąda, nie wzywa, tak zrównoważonym że nawet poza ironią, jest coś starczego. Ja jednak pełen byłem rozpaczliwych zamiarów, np. wpływania na czyjaś świadomość, żeby wyrwała się z przyzwyczajzeń które ją na zupełną porażkę wśród nowych planetarnych układów skazywały. Teraz, kiedy minęło dużo lat, myślę, że jedną tylko odniosłem z tego korzyść: nie przyłączyłem się do Emigracji, niby wiewiórka w klatce obracającej swój młynek. Emigrant przecież i pisarz emigracyjny? Tak, ale polityka — a wcale za a-politycznego to stwierdzając nie chcę się podawać — była ich klatką, ich zgubą, bo dostarczała im nazw, etykietek, tam gdzie trzeba było o nich zapomnieć i sięgnąć do sprzeczności poważnych. Wstępując z nimi w alianse byłbym winien fałszu i to bardziej niż Stempowski, bo jego fałsz był, że się tak wyrażę, salonowy. Później trochę z zazdrością śledziłem nowe fale wędrowek z Polski. Nikt ich jakoś za specjalnych wysłańców „żeby emigrację rozłożyć” nie podawał jak mnie podawano, nikt ich do ambasad nie denuncjował jako rosyjskich agentów i sodomitów. A przypominając to jestem tylko lojalny wobec siebie i czytelnika, bo na próżno bym stroił się we wszech-przebaczającą dobroć i udawał, że np. Londyn przestał być na mojej mapie miastem wyjątkowo niebezpiecznym.

Przecież cały problem był zakłamanym i nie chodziło wcale o jakiś spór z emigracją jako emigracją, o podział na mniej-nie- złośliwych i bardziej-niezłośliwych, tylko o spór z polską przedwo- jenną inteligencją przeniesiony za granicę. Nie ma powodu ukry- wać udziału w tym zranionej ambicji. Człowiekowi przykro kie- dy jest sądzony przez innych na podstawie swojej przynależności do kategorii np. rudy: jak rudy, to jakkolwiek się zachowa, zawsze będzie rudy przede wszystkim. Niektórzy sądzili, że Mi- łosz to pseudonim, że na nazwisko mam Goldberg, co by wiele ułatwiło. Nie Lechoń, ale ten znowu był przykładem zamuro-

wanych, wobec których flaki można sobie wypruć, a nic do nich nie przeniknie. W *Dzienniku* ze stycznia 1951 pisał: „Czy ci ludzie naprawdę powariowali? Czy naprawdę wierzą, że po dwudziestu latach ktoś będzie czytać Czechowicza i Miłosza?” Otóż zraniona nasza ambicja na tym polega, że przecież każdy z nas chciałby być czysty, wzniosły, i genialny, ale, niestety, wie, że jest nie całkiem czysty, nie całkiem wzniosły i nie całkiem genialny, że jest słaby, zależny od swego obrazu w oczach innych czyli że ich pogarda go dotyka. Kiedy później ta ich pogarda (czyżby dawna szlachecka buta?) nie przyniosła pożądanych skutków i zostałem profesorem w Ameryce, jeden z Lechonia rówieśników i duchowych pobratymców rzekł, jak mi powtórzono: „Nigdy, proszę pana, w to nie uwierzę”. Więc ludzka praca się nie liczy i książki moje dla niego się nie liczyły? Więc tajemnicze jakieś kryteria, ortodoksji niemożliwej do ujęcia w słowa, miały przesądzać o tym, kto ma prawo zostać profesorem? Nie będę ukrywać: z tym, że książki się nie liczyły i nie liczą, mnie, obcemu, który obchodził niedawno swoje emigracyjne dwudziestolecie, ciągle trudno się pogodzić. A żeby nie posadzano mnie tylko o „głód sławy”, dam jeden przykład. W roku 1958 wyszedł *Wybór pism Simone Weil** w moim przekładzie i z moją przedmową. Książka ta została, jak wrócić się dowiedziałem, zalecona jako lektura w kilku seminariach duchownych w Polsce. Na emigracji, w większości przecie katolickiej, nic, najzupełniejsze milczenie.

Przywołuję te urazy nie po to żeby tkwić w przeszłości. Raczej dlatego, że *Cienie w pieczarze* Stalińskiego otworzyły rachunki zdawałoby się zamknięte, stawiając na nowo problem inteligencji. I stać mnie na to, żeby po swoich żalach nagle zrobić woltę. Z całkowitym okrucieństwem wobec siebie wyłożę teraz jak się ten problem bohaterowi powieści przedstawia czy raczej jak musi się przedstawiać, bo na nic innego w swojej bezradności nie natrafi. I kto wie czy nie streszczę tutaj poglądów samego Stalińskiego. Oto, jeżeli nie damy się uwieść pozorom, cieniom, zobaczymy rzeczywistość, tę samą i dwadzieścia i sto lat temu: zabór rosyjski. Jakkolwiek ktoś zachowuje się, co myśli, co pisze, będzie to zawsze *funkcją* albo upodlenia albo narodowego oporu. Inteligencja dążenie do niepodległości przeniosła poprzez wiek dziewiętnasty, wygrała w 1918 roku, prowadziła walkę w II wojnie światowej, pokonana wreszcie, torturowana, w swojej większości stała się narzędziem zaborcy, ale odnawia się przez dopływ nowych sił i, chce czy nie chce, nie wydostanie się poza wzór od upadku dawnej Rzeczypospolitej ustalony.

* Instytut Literacki, Paryż, 1958.

Ten wzór wszelkim ludzkim poczynaniom nadaje charakter utylitarny, w imię jednego celu, również badaniom historycznym (jak u Chrzanowskiego i Askenazego). Rosjanie wypuścili nacjonalistycznego dzinna z butelki odwołując się bez ustanku do pychy narodowej Wielkorusów i aplikując wzmocnione dawki szowinizmu zwłaszcza Polakom, jako że nauczyli się czym się ich najlepiej bierze. A kiedy masy wymiotują na sam dźwięk słowa „socjalizm” choć są zmuszone to słowo powtarzać, kiedy rozpedzono filozofów, a literatów i artystów zamknięto w ich, nikogo poza tym nie obchodzących, rezerwatach, wyszło na triumf tych trzeźwych, co od początku powtarzali, że te różne idee, te hegle, kafki i marksizmy to tylko zasłona dymna. Jeżeli Żydzi potrafili stworzyć państwo i zwyciężać zawdzięczając swoją energię tylko i wyłącznie nacjonalizmowi, czemuż by Polak w kraju narreszcie narodowo jednolitym nie miał czerpać siły z jedyne go skarbu jaki jest mu dostępny, jakiemu cała polska literatura zawsze służyła? Gdyż prawdą jest, że nie czas żałować róż gdy płoną lasy i jeżeli pretensjonalni intelektualiści zastanawiają się nad losami ludzkości w ogóle, to przyznajmy otwarcie, że to nie dla nas i nie udawajmy, że obchodzi nas to, co ponad nasz stan. A i katolicyzm drogi nam jest bo stanowi jedyną gwarancję naszego skutecznego oporu. Polak-katolik walczący o niepodległość: tak było i tak będzie. Rolą emigracji, podobnie jak w ubiegłym stuleciu, jest przechować „dawnych Polaków dumę i szlachetność”, czy i co ona myśli i tak niezbyt ważne, skoro dostępu do tego co się w kraju dzieje nie ma i nic od niej nie zależy.

Realizm bohatera-narratora *Cieni w pieczarze* tylko takie a nie inne propozycje autora zakłada i pierwsza to książka napisana w PRL, która otwarcie podejmuje wyzwanie nacjonalizmu administracyjnie stosowanego odpowiadając nacjonalizmem niepodległościowym, pierwsza też, która zapowiada, że ci, którzy próbowali Polaków z „opętania Polską” wyzwolic zostaną przez naród wypłuci.

Czesław MIŁOSZ

P.S. Artykuł ten został napisany zanim ukazała się w nrze 9 (300) *Kultury* recenzja z *Cieni w pieczarze* pióra Jacka Salskiego, pt. „Słowo Niepodległość”. Powtórzyła ona tylko moje tezy.

Dziennik pisany nocą

Dragonea, 8 lipca 1972

Od pierwszego wejrzenia można się także zadurzyć w rzeczach. *Casa Rossa*, Czerwony Dom położony samotnie za wsią Dragonea, zobaczyłem dwa lata temu z szosy która z Vietri-sul-Mare pnie się pod górę do San Vincenzo i do opactwa w Cava. Dzierżawił go stary chłop, przerobiwszy jedną parterową izbę na oborę, a całe pięterko na stodołę. Z ziemi na zboczu głębokiego wąwozu, który między domem i wsią opada stromo w dół i ciągnie się na wschód aż do autostrady Pompei-Salerno, wyciskał trochę wina i owoców dla siebie, dokoła drzew i krzaków kosił trawę dla trzech jałówek. O żadnej innej uprawie nie ma tu mowy, ziemia jest sucha jak pieprz, latem słońce praży od wczesnego świtu do zmierzchu, doprowadzanej skąpo wody nie wolno używać za progiem domu w długich okresach bezdeszczowych. Dzierżawa wygasła za kilka miesięcy, stary miał dosyć smażenia się na wzgórzu odciętym od wsi. Właściciel w Cava dei Tirreni marzył o jednym, o sprzedaży.

Na wprost mojego okna (w dawnej stodole) przyklepiona do przeciwległego zbocza wąwozu Dragonea: wieś miała, wyciągnięta w sznur brudno-szarych i różowych fasad, na płaskim wzniesieniu pod szczytem przywiązana węzłem dużego kościoła, z którego w każdą niedzielę rano msza sływa z hukiem przez megafony w zieloną zapaść. Tylko wtedy, w ciągu godziny, ludzkie głosy zagłuszają świerszczową wibrację powietrza. Z szosy i z autostrady słyhać też czasem klaksony, ale po Neapolu ucho ledwie je chwyta i z dziwną ulgą, jakby nie umiało już czy nie chciało się wyrzec przytłumionych ech świata. Po tamtej stronie autostrady, zasłaniając widok na Salerno, wysoka i dość gęsto

zalesiona góra San Liberatore z oświetlonym nocą krzyżem i (podobno) szałasem eremity. Bezruch letniego dnia jest doskonały, nie drżą nawet białe kolumny dymów z ognisk rozpalanych wśród krzewów winnej latorośli. Przed zapadnięciem nocy pojawiają się nietoperze, krążąc krótko i nisko nad ziemią chybottliwymi zakosami. Noc, mimo księżycy i gwiazd, wlewa się do wąwozu nieprzeniknioną ciemnością.

Tak więc, zatoczywszy koło, wróciłem do punktu wyjścia. Dokładnie w tych okolicach odbył się mój wojenny ingres do Włoch. Pamiętam zbombardowany dworzec kolejowy w Salerno, gdy mnie w grudniu 43 roku przewożono z Taranto do szpitala brytyjskiego w Nocera. Sama Nocera, gdzie przeleżałem przeszło trzy miesiące w tyfusowej gorączce, to stąd półgodzinny spacer pieszo. Sądząc z opowiadań Mastr'Angelo, majstra który mi odremontował Czerwony Dom, po lądowaniu aliantów na plażach Salerno i Vietri rozegrało się w naszym wąwozie miniaturowe Monte Cassino. Niemcy bronili się na „moim” zboczu wąwozu (przypuszczalnie wykorzystując dobrze wkopaną piwnicę *Casa Rossa* jako magazyn lub przelotny lazaret), Anglicy i Amerykanie nacierali z Dragonei. Bitwa była zaciepła, Niemcy liczebną słabość kompensowali zwinnością manewru, osiemdziesięciu żołnierzy alianckich poległo na stoku w bok od kościoła. Większość atakowanych zdołała się wycofać pod osłoną nocy w kierunku na Cava-Pagani, za szosą poddał się młody kapitan, obsługujący w pojedynkę karabin maszynowy w zagrodzie starej wdowy Rosalii. Kiedy wylazł ze swego gniazda z podniesionymi rękami, skosiła go seria *tommy-gun'a*. Rosalia, świeżo osierocona po stracie jedynego syna w Afryce, pogrzebała zwłoki młodego kapitana i przez parę lat doglądała jego grobu. Potem przyjechali jacyś Niemcy, ekshumowane resztki zgarnęli do metalowej skrzynki i wdrowie zaofiarowali sporą sumę pieniędzy. Odmówiła. *Sono una buona cristiana* — powtarzała z uporem, ukrywszy za plecami ręce.

Słuchałem Mastr'Angelo, przy wieczornej szklance wina, z nieoczekiwanym dla samego siebie uczuciem zmęczenia u kresu domykającego się koła.

9 lipca

Czytam ładną powieść Giuseppe Dessi o Sardynii *Paese d'ombre*. „Było jej łatwiej wyobrazić sobie ciemność bez granic, niż światło miłosierdzia. Światło i miłosierdzie były dla niej abstrakcją; podczas gdy ciemność, cisza, nieznanie, zlewały się w jedną całość, która identyfikowała się ze śmiercią”.

Śpi już ociemniała Dragonea, przed moim oknem wyrósł czarny mur, ani dźwięku, ani błysku. Skąd biorą się nocne stany lękowe? Skąd to nagłe zerwanie się z krzesła, gwałtowne bicie serca, szukanie oparcia w odgłosie własnych kroków? Nie mamy doświadczenia śmierci, mamy wyłącznie doświadczenie (mgliste) półśmierci czyli snu i ćwierćśmierci czyli absolutnej samotności. Ale wyobrażamy sobie istotnie ciemność bez granic łatwiej, niż światło miłosierdzia. Wyobrażnia bez doświadczenia, albo z doświadczeniem ułomnym i ulotnym, to jest lękodajna męka. Wszystkie ucieczki — do ludzi i do Boga — w niej posiadają swoje źródło. Nie byłoby zapewne kościoła — boskiego i międzyludzkiego — gdybyśmy w niekończącą się noc, w czystą czerń za oknem, potrafili patrzeć bez zmrużenia powiek. Umierać nie umierając: okrzyk Świętego Jana od Krzyża zna też jawna bądź zamaskowana mistyka laicka.

12 lipca

W 53 roku napisałem poszlakową historię otrucia Gorkiego na rozkaz Stalina (zwierzył mi się później u Zaubermanów w Londynie ekonomista L.S. że pod wpływem tego szkicu, widząc jak wiele można odkłamać w mrocznym obrębie samych poszlak, zdecydował się po doktoracie na badanie zaszyfrowanej ekonomii sowieckiej). Dziś fakt zamordowania „przyjaciela ludzkości” (jak oficjalnie nazywano Gorkiego) z woli jej „wodza i nauczyciela” trąci już banałem: z większymi czy mniejszymi ostrożnościami akceptują go Bertram Wolfe, Richard Hare, Melvin Lasky. W *The Great Terror* Conquesta znajduje następujący passus: „Latem 63 roku stary amerykański znajomy Gorkiego odwiedził w Moskwie jego osiemdziesięciosześcioletnią wdowę, Jekaterinę Pieszkową. Spokojnie stwierdziła, że jej syn zmarł śmiercią naturalną (o wyprawienie na tamten świat syna pisarza oskarżono Jagodę w ostatnim moskiewskim procesie Bucharina z 38 roku). Gdy gość napomknął że za naturalną uważa się teraz również śmierć Gorkiego, wykrzyknęła wzburzona: „Jest nie zupełnie tak, ale niech mnie pan o to nie pyta! Nie będę mogła spać trzy noce z rzędu, jeśli panu cokolwiek powiem”. Conquest wtrąca od siebie: „Wolno ten wybuch uznać za dowód definitywny. Najprawdopodobniej Stalin polecił Jagodzie zgładzić Gorkiego. Milczenie władz sowieckich o okolicznościach zgonu pisarza należy postawić obok ich powściągliwości w ujawnieniu pełnej prawdy o mordzie bardziej jeszcze politycznym, o zastrzeleniu Kirowa”.

Dwa typy wdów w królestwie „socjalizmu despotycznego”:

Nadzieжда Mandelsztam, która w bezsenne noce żyje myślą o tym, jak opowiedzieć światu o śmierci swego męża; i Jekaterina Pieszkowa, którą w bezsenne noce dręczy myśl o tym, że świat mógłby się dowiedzieć jak umarł jej mąż. Krótki *flash-back*, w celu żywszego podkolorowania mojej „typologii” ustroju, dla autorów przyszłych romansów o *nemesis* rewolucji rosyjskiej (wspomina o nim *Wtoraja Kniga*): z listy zapomóg dla gorzej sytuowanych kolegów po piórze Gorkij skreślił niegdyś osobiście nowe spodnie dla obdartego Mandelsztama (nie cenił jego „niezaangażowanej” poezji).

14 lipca

Było do przewidzenia, że *Sala Numer Sześć* Czechowa zmartwychwstanie po osiemdziesięciu latach na wystawach księgarskich z opaską reklamującą jej „aktualność”. Wznowienie włoskie poprzedził wstępem dysydencki rusycysta komunistyczny Vittorio Strada, ręczo wykonując obstalunek wydawcy: „Od Puszkina do Herzena, od Gogola do Tołstoja, od Garszina do Andrejewa, obłęd stawia pod znakiem zapytania struktury społeczne racjonalności abstrakcyjnej i pokonuje ją w imię wyższego zdrowia. Po rewolucji obłęd znika ze stronic książek, by wejść do życia polityczno-literackiego. W naszych czasach, jak informują kroniki, sowieckie Sale Numer Sześć przeznaczają się dla intelektualistów dotkniętych chorobą rewizjonizmu”.

Trzeba, w wypadku noweli Czechowa, popsuć zabawę amatom tropienia paralel i koligacji. Sowieckie zakłady „psychiatryczne” dla frondującej inteligencji wywodzą się w prostej linii z mikroajowskiego certyfikatu „wariactwa” przedłożonego za pośrednictwem „lekarzy” Czaadajewowi, nie mają natomiast nic wspólnego z *Salą Numer Sześć*. Jestem przekonany, że w tym właśnie opowiadaniu Czechow zawarł małą *summę* swojej filozofii życiowej. Wybór miejsca (oddział chorych nerwowo w obskurnym szpitaliku prowincjonalnym) odgrywa rolę drugorzędą, jak gdyby metaforycznego skrótu powszechnej sytuacji egzystencjalnej; istotny jest pojedynek rozpaczcy z nadzieją. Szestow przyczepił Czechowowi etykietkę „piewcy rozpaczcy”, krytyka „społeczna” dmuchała zawsze w jego „wąty lecz jasny płomyk nadziei”. W *Sali Numer Sześć* oba elementy są tak przemieszane, tak nawzajem w siebie wrośnięte, że raczej niż o pojedynku wypadłoby mówić o skłóconym, nieskładnym duecie (stąd samego lekarza internują w końcu razem z wariatami). W tymże 1892 roku Czechow napisał *Strach*, który da się odczytać jako odsyłacz petitem do *Sali Numer Sześć*. „Ja, mój drogi — wyznaje

przyjacieli narratora, — nie rozumiem życia, ja się go boję”. Najbliższe to poglądom Czechowa, po mistrzowsku zarysowanym w opowieści o doktorze Raginie i jego chorym na manię prześladowczą adwersarzu: *A tale told by an idiot, full of sound and fury*.

U Czechowa ostaje się tylko skromny ideał zwykłej ludzkiej przyzwoitości, tej samej *common decency* którą dzisiaj z pozycji „rewolucyjnych” wyśmiewają orędownicy *New Left*. Ale też ni kroku dalej, poza, w przeciwną stronę: wystarczy zestawić *Nieciekawą historię* — *Notatki starego człowieka ze Śmiercią Iwana Iljicza* Tołstoja.

16 lipca

Znany angielski krytyk poetycki Alvarez usiłował odebrać sobie życie. Odratowano go, wobec czego powstała książka *The Savage God. A Study of Suicide*. Prócz własnych doświadczeń, Alvarez zużytkował jako bezpośredni zapłon historię udanego samobójstwa zaprzyjaźnionej (znakomitej zresztą) poetki Sylvii Plath. Książka rozchwytywana jest w Anglii i w Ameryce.

Myli w niej podtytuł: to rzekome „studium samobójstwa” skompilował klasyczny literat, którego przede wszystkim interesuje problem „samobójstwa i literatury”. Nie widzę naturalnie nic złego w takim zawężeniu tematu, u Alvareza jednak odpycha mnie swoista irytująca nutka przypisywania monopolu na „prawdziwe samobójstwo” artystom; przeciętni zjadacze chleba pozbawiają się życia z powodów „trywialnych”, dla artystów samobójstwo jest konkluzją niepohamowanego „aktu twórczego”. Nad książką ciąży refleksja Kierkegaarda: „Cały świat można podzielić na tych co piszą i na tych co nie piszą. Ci co piszą reprezentują rozpacz, ci co czytają dezaprobuja ją i wierzą w swoją wyższą mądrość, a przecież gdyby byli zdolni do pisania, pisaliby jota w jotę to samo. W zasadzie są równie zrozpaczeni, lecz gdy się nie ma sposobności stania się kimś ważnym dzięki swojej rozpacz, nie warto jej przeżywać i okazywać. Czyżby na tym polegało przewyciężenie rozpacz?” Nie znałem tej uwagi, nie wiedziałem że Kierkegaard potrafił być tak głupi i meskineryjny. Tłumaczy go, choć nie usprawiedliwia, jedno: Rozpacz stała się dlań prawie odpowiednikiem Łaski u purytanów, przywilejem wybranych; „śmiertelną chorobę”, jak hemofilę Duchą, otoczył kordonem błękitnej krwi.

Przed wielu laty zdarzyło mi się spędzić w nędznym rzymskim hoteliku *ferragosto*, kulminacyjny i świętowany przez Włochów dzień lata (15 sierpnia). Miasto było wyludnione, żar nie-

samowity. Leżałem nago na mokrym barłogu, zwlekałem się z niego czasem by podstawić głowę pod kran i zajrzeć w ciemną studnię podwórka. Jedyny rzadki odgłos wydawała stękająca winda, gdy jakiś przejezdny żołdat przyprowadzał na godzinę dziewczynkę z Termini. Nawet miłość za ścianą odbywała się cicho i ospale, bez wrzasku i skrzywienia sprężyn. Nie umiem już dziś odtworzyć rozklejonego i leniwego biegu moich myśli, ale pamiętam że pełzały tam i na powrót przez obszar minionych lat, i że była w nich wzbierająca stopniowo wściekłość (według Kierkegaarda główna twarz rozpacz). Około szóstej wieczorem wyczułem coś trudnego do określenia, dziurę w czasie, wsysającą pompę otchłani. Stałem przy oknie, z odretwienia wyrwał mnie ból w rękach zaciśniętych kurczowo na klamkach żaluzji. Zaraz potem ulice zaszumiały gwarem, miasto ożyło, w sąsiedniej kamienicy ktoś śpiewał ile tchu w piersiach popularną piosenkę. W północnym dzienniku radiowym podano, że *alle sei della sera circa* cztery osoby odebrały sobie życie w różnych dzielnicach Rzymu.

W daremnym wysiłku przeniknięcia sekretów Dzikiego Boga taki sierpniowy dzień waży więcej od literackiego „studium samobójstwa”.

17 lipca

Z magnetofonowego pamiętnika Wata wyłania się idylliczny obrazek: elita sanacyjna przyjaźniąca się z salonowymi luminarzami komunistycznymi, Wieniawa przysyłający im do więzienia smakołyki od Hirszfelda. Wat rozczuła się po latach: „To jest Polska”. Wciąż ten sam błąd. Powinien był westchnąć: „To jest Warszawa”. Kto nie znał przed wojną prowincji, nie znał Polski. Coś podobnego, jak sądzę, istnieje i obecnie.

Należałem w Kielcach do gimnazjalnego kółka komunizantów, luźno chyba (przez pewnego studenta z Warszawy) afiliowanego do partii. Zbieraliśmy się co tydzień, wspólnymi siłami wgrzyzaliśmy się w zawiloci „świętych tekstów”, w pogodne niedziele wyprawialiśmy się za miasto na dyskusje pod gołym niebem. Policja miała nas przypuszczalnie od początku na oku, w każdym razie ja sam czułem na sobie nieruchomy wzrok tajniaka, ilekroć w głównym kiosku na Sienkiewicza zaopatrywałem się w legalne pisma „flankujące”. Nalot odbył się, gdy na zaproszenie brata wyruszyłem w pierwszą w moim życiu podróż do stolicy. Na stacji połamano meble, rozpruto obicia krzesel, pokłuto mój materac. Nie znaleziono jedyne *corpus delicti*, czyli *Manifestu Komunistycznego*, który był ukryty w piątym tomie peł-

nego niemieckiego wydania Szekspira (własność gospodarzy). Ostatni szczegół ujawniam nie bez wyrzutów sumienia: a nuż siedemnastoletni chłopcy na peerelowskiej prowincji ukrywają w pękatach tomiskach teksty wyrwane z *Kultury*, albo inne zbrodnicze druczki przemycane z zagranicy do nadwiślańskiego kraju...

Bardzo ciekawy jest u Wata fragment o intelektualistach komunistycznych, zafascynowanych „krwią abstrakcji”. „Jak czysta i wielka musi być sprawa, dla której przelewa się tyle krwi. I krwi niewinnej. To szalenie pociągają”. Warto uzupełnić Wata, przenosząc rzecz na nieznanym mu teren. Auden pisał w wierszu *Spain 1937*:

*To-day the deliberate increase in the chances of death,
The conscious acceptance of guilt in the necessary murder;
To-day the expending of powers
On the flat ephemeral pamphlet and the boring meeting.*

Orwell, któremu dane było oglądać jedno takie „niezbędne morderstwo” w Katalonii, skomentował strofę Audena w eseju o Henry Millerze: „Ta strofa jest pomyślana jako coś w rodzaju szybkiego szkicu węglem z życia „przykładowego członka partii”. Rano kilka politycznych mordów, dziesięciominutowa przerwa dla uciszenia „burżujskich” skrupułów, błyskawiczny obiad, po południu i wieczorem smarowanie hasel na murach i kolportaż ulotek. Bardzo budujące. Ale proszę zwrócić uwagę na zwrot „niezbędne morderstwo”. Mógł go napisać tylko człowiek, dla którego amoralizmu możliwa jest wówczas, jeśli się przebywa tam gdzie nie padają strzały. Takie myślenie lewicowe jest formą igrania z ogniem ludzi, nie wiedzących nawet że ogień parzy”.

Kiedy tuż po wojnie spotkałem w Rzymie pontyfikalnego Kotta i zgadało się o Katyniu, nie obrał oficjalnej linii zaprzeczenia. Wydał tylko wargi i syknął z uśmiechem: „Cóż znaczy kilka tysięcy oficerów wobec Historii w marszu?”. Tego nie jestem w stanie mu ciągle darować, chociaż dzisiaj z pewnością podpisałby się oburącz pod sentencją szekspirowskiego reżysera w powieści Maksimowa *Siem dnia tworenia*: „Krew przelana w imię sprawiedliwości nie przynosi światu niczego z wyjątkiem krwi”.

22 lipca

List od Z. ze Szwajcarii. Przyjechał służbowo do Genewy, wraca do Warszawy za tydzień. „Nie mogę się do ciebie nie odezwać”. Mógł jakoś nie odzywać się do mnie w ciągu ostatnich

czterech lat, mimo że sporo podróżował ze swoją prawie ministerialną teczką. List, pisany nocą w pośpiechu i chaotycznie na hotelowym papierze, uzasadnia ten nagły i nieodparty mus rewelacyjnością zaserwowanych „po przyjacielsku” informacji. „Mało kto u nas jest w to wtajemniczony, ale wydaje mi się że są sprawy, nie cierpiące relegowania do kasy ogniotrwałej”. Cały list utrzymany jest w takim stylu emocjonalno-ministerialnym, którego (jako admirał stylu wzorowanego na kodeksie cywilnym) nie noszę.

Wnętrze bomby, podrzuconej mi z Genewy do Dragonei *via* Neapol, przedstawia się w ogólnych zarysach następująco. Moczar nie został „zdjęty” przez Gierka z własnej inicjatywy, lecz na wyraźne żądanie Breżniewa. „Przechwycono korespondencję Generała z Szeliępinem”. Moczar, aspirując do stolca pierwszego sekretarza, alarmował Szeliępina że Polsce grozi „kontrewolucja na skalę czechosłowacką”, co *implicite* zawierało „autokandydaturę jedyne go człowieka zdolnego do opanowania sytuacji”. Pisał donosy najpierw na Gomułkę, potem na Gierka. Breżniew ostrzegł o tym jeszcze Gomułkę („bez skutku”), przy czym „najbardziej oburzał go fakt, że korespondencja nie szła drogą instancyjną, tzn. z pominięciem naszego i radzieckiego kierownictwa partyjnego”. Po grudniowej zmianie Breżniew „ponownie wyłożył na stół odpisy listów Generała do Szeliępina”, domagając się kategorycznie odwołania z moskiewskiej ambasady Ptasieńskiego (którego podejrzewał o spełnianie posług *postillion d'amour*) i w końcu likwidacji Moczara. „Wiesz kim jest Szeliępin, toteż zaoszczędzę sobie etc. etc.”.

Szczerze mówiąc, naprawdę rewelacyjny był dla mnie list Z. ze względu na samego Z. Słyszałem że od roku 68 grawitował ku moczarowcom, czyżby jednak brał rzeczywiście na serio „patriotyczny i narodowy program Generała”? Brakowało czasu na odpowiedź listowną, zadesperzowałem więc z Vietri do Genewy po włosku: *La miseria di tutto ciò*. Urzędniczka pocztowa zerknęła na mnie z ukosa jak na postrzelonego, ale *kuda* Włochom do naszych „spraw nie cierpiących relegowania etc. etc.”!

24 lipca

List od K., sprowokowany poprzednią partią mojego dziennika: „Specjalnie mnie zainteresował ustęp o Gombrowiczu i Dostojewskim. Oczywiście masz rację, jeśli chodzi o wierne odczytanie Dostojewskiego. Ale Gombrowicz mógłby odpowiedzieć że Dostojewski, który jak nikt przed nim przeniknął mechanizm świadomości i postępowania, po prostu „nie wytrzymał” bez

Pascalowego „zakładu” — wiary w istnienie Boga, bez której „odwieczne kategorie moralne” Tołstoja nie mogą mieć „obiektywnego” istnienia. Inna sprawa, że Gombrowicz nie jest wcale „redukcjonistą”. Niezawsze dopowiedzianą siłą jego dzieła jest przekonanie, że są rzeczy „święte” nawet jeśli ich „nie ma”. Tak jak Proust, którego nie lubił (bo nie rozumiał), Gombrowicz nie wierzy w „Boga”, ale wierzy w „cuda”. Kluczowa to zresztą sprawa naszych czasów, o której wspominasz pisząc o Nadzieździe Mandelsztam”.

Muszę się cofnąć jeszcze na chwilę do dramatu sumienia w *Zbrodni i karze*, który po swojemu zinterpretował Gombrowicz. W świeżym numerze krakowskiego czasopisma *Znak* opublikowano okruchy z przygotowanego w Moskwie tomu ineditów Dostojewskiego. Trzy notatki. Pierwsza: „Istnieją doznania i występki, nie podlegające sądom ziemskim. Jedyńm sądem może być własne sumienie, czyli Bóg mieszkający we mnie”. Druga, dobitniejsza: „Sumienie bez Boga jest straszliwe. Może doprowadzić człowieka do najbardziej niemoralnych postępów”. I trzecia: „Sumienie markiza De Sade jest niedorzecznością”. Nie ma zatem wątpliwości, że to ja (w polemice z Gombrowiczem) odczytałem wiernie historię studenta Raskolnikowa.

Czy Gombrowicz mógłby mi odpowiedzieć że Dostojewski po prostu „nie wytrzymał” bez Pascalowego „zakładu”? Tu sprawa staje się sporna. Dostojewski szalenie lubił powtarzać: „Lepiej pozostanę z pomyłką, z Chrystusem, niż z wami”. W ineditach ten *cri de cœur* zaopatrzony jest w wyznanie: „Nie wierzę w Chrystusa i Jego naukę jak dziecko. Hosanna moja przeszła przez ognisty piec zwątpienia, jak wyraża się w mojej powieści szatan”. Myślę, że prawda znajduje się po środku. Dostojewski „przeszedł przez ognisty piec zwątpienia” i „nie wytrzymał” bez „zakładu”, ale równocześnie był przekonany że autentyczna i czysta wiara („lepiej pozostanę z pomyłką, z Chrystusem, niż z wami”) jest wiarą dziecka, Alioszy Karamazowa. W szatańskim „piecu” wypalił się jako pisarz; natomiast jego „dusza chrześcijańska” nigdy nie przestała tęsknić do świata odbitego w „tę ufne dziecko”.

Wreszcie sam Gombrowicz. Gotów jestem zgodzić się z K., że mnie też lektura Gombrowicza wywoływała zawsze dość pokrewne reakcje. Posunąłbym się nawet dalej: „młodość”, „dzieło sztuki”, były dlań niezbitym dowodem istnienia jeśli nie Boga, to co najmniej rzeczy „świętych”, „cudów”. Nie wiem jednak w jakim stopniu K. uprzytamnia sobie, że dzieło Gombrowicza wyniosła fala przychylna mu zarazem i wroga. Przychylna, bo ubóstwienie „młodości” przybiera dziś formy zbiorowego paro-

ksyzmu; wroga, bo „boska młodość” Gombrowicza to grubo więcej, niż współczesny kult „młodzieńca” kopiujący kult „szlachetnego dzikusa” z końca osiemnastego stulecia.

25 lipca

Wczoraj, na konferencji prasowej w Mediolanie, Jiri Pelikan zaprezentował włoską edycję miesięcznika *Listy*: „Czy można domagać się uwolnienia Angeli Davis, antyfaszystów hiszpańskich i greckich, nie domagając się jednocześnie tego samego dla patriotów i socjalistów w Czechosłowacji? Czy można żądać by Amerykanie wynieśli się z Wietnamu, nie żądając jednocześnie by wojska sowieckie opuściły Czechosłowację? Czy możliwe jest zachować obojętność wobec zbrodni tylko dlatego, że popełniane są w krajach których obecne reżymy przywłaszczyły sobie bezprawnie sztandar socjalizmu?”. W zyczliwym sprawozdaniu *Corriere* tej diatrybie towarzyszy jedno jedyne zdanie od redakcji: *Evidentemente è possibile, caro Pelikan*.

Ex-dyrektor telewizji praskiej jest młodym emigrantem, wiele się jeszcze musi nauczyć zanim zrozumie, że jeden egzemplarz *Listów* przemycony do Czechosłowacji liczy się bardziej od setek dramatycznych odezw do „przyjaciół i towarzyszy na Zachodzie”. Za długo tutaj mieszkam, za dużo widziałem, aby dziwić się bywalcom saloników starej i nowej lewicy, których do orgazmu doprowadza nazwisko Angeli Davis, a o atak ziewania przyprawiają procesy w Pradze lub Warszawie. (Pierwszą lekcję pogładową dało mi posiedzenie *Fabian Society* w Londynie, zabrał mnie na nie Ciołkosz w roku bodaj 48. Pod przewodnictwem Laskiego trzech posłów labourzystowskich opowiadało z zachwytem o swojej podróży do Polski. Sławetny Crossman, przyciśnięty do muru polskimi przeważnie pytaniami z sali, warknął na odczepne bez ogródek: *Well, I would'nt like to live under this regime, but it is good enough for Poles*). Trzeba być wewnątrz, w zasięgu wspólnego losu, żeby występować z pełną świadomością o co toczy się walka. Toteż ja osobiście wzruszeniem ramion pokwitowałem obojętność zachodnich adresatów apelu Pelikana; obeszło mnie za to milczenie warszawskich kolegów praskich podsądnych. Gdzie te czasy, kiedy czytało się z przejęciem i ulgą list Andrzejewskiego do Goldstückera...

1 sierpnia

Spectator, dwustronicowy artykuł Tibora Szamuely o *Uncensored Russia* Reddawaya (angielski wybór z *Kroniki bieżących*

wydarzeń). Szamuely, podobnie zresztą jak Reddaway, zwraca uwagę na głębokie rozbieżności między rosyjskim Ruchem Praw Obywatelskich a ruchami opozycyjnymi w łonie pozostałych narodów ZSSR. W styczniu 70 roku zaczął wychodzić ukraiński *Wisnyk*, uniezależniając się z miejsca od *Kroniki*. W piątym numerze swego tajnego pisma Ukraińcy oskarżyli *Kronikę* o „uzurpowanie sobie pozycji ponadnarodowej i wszechzwiązkowej”, podczas gdy w rzeczywistości reprezentuje ona wyłącznie pewne kręgi liberalnej inteligencji rosyjskiej. *Wisnyk* dorzucił gorzko: „Odnosi się wrażenie, że członkowie rosyjskich grup opozycyjnych dążą co prawda do radykalnych zmian w wielu dziedzinach życia publicznego, lecz jeśli idzie o kwestię narodowościową pragną w takiej czy innej formie zachowania *status quo*”. Szamuely: „I tu docieramy do zgubnej słabości Ruchu Praw Obywatelskich. Jego adherenci są i liberałami i Rosjanami. Stają śmiało w obronie prawa Żydów do emigracji i prawa Tatarów do powrotu na Krym, i na tym koniec ich zaangażowania w problemy narodowościowe. Ani jedno ani drugie żądanie nie podważa w niczym *status quo*. Podstawowym celem Ruchu Praw Obywatelskich jest wyłonienie się zliberalizowanego ZSSR. A przecież trudno o większą fantazję polityczną, niż istnienie liberalnego i demokratycznego Związku Sowieckiego”.

Sporo w tym słuszności, o czym świadczy choćby pokaźny tom leżący u mnie od paru dni na stole. Jest to wydany przed miesiącem w Londynie *Nowy Kotokół*, sympozjon ożyłej dzięki świeżym zastrzykom emigracji rosyjskiej. Nie brak w nim tekstów wysmienitych, uderza zwłaszcza niemal wszystko co pisał Arkadij Bielinkow, zmarły niedawno w Ameryce eseista wysokiej klasy, przez trzynaście lat więzień łagrów sowieckich, autor kilkakrotnie wznawianej w ZSSR książki o Tynjanowie i utraconej z nakazu cenzorów książki o Olieszy (przeglądałem jej manuskrypt w Maisons-Laffitte, J.G. z bólem serca wyrzekł się myśli o polskim przekładzie ze względu na rozmiary zupełnie prohibicyjne w emigracyjnych warunkach wydawniczych). Pokłoniwszy się nisko ceniom Bielinkowa, co powiedzieć o zaprojektowanym przez niego jeszcze za życia Dzwonie? Że jest, niestety, odlany z nie najszlachetniejszego materiału. Gdybyż spadkobiercy i kontynuatorzy Bielinkowa wyciągnęli nauki z jego tragicznego szkicu (w tym właśnie numerze) o dekabrystach *Strana rabow, strana gospod*, gdybyż w końcu pojęli że istota Związku Sowieckiego, jak przed nią istota caratu, nie sprowadza się jedynie do ucisku „inaczej myślącej jednostki”...

Kotokół Herzena przewalił się wśród dziewiętnastowiecznej inteligencji rosyjskiej na sprawie Polski. Nie wykluczam, że *No-*

wy *Kotokół* przewaliłby się wśród podsowieckiej inteligencji rosyjskiej na sprawie powiedzmy Ukrainy. Ale porażki w imię jutra są cenniejsze od zwodniczych poklasków dzisiaj.

12 sierpnia

Około południa dopadł mnie krzyk z Dragonei: poszarpany, splątany, z wzajemnym nakładaniem się głosów, jak kiedy się wzywa pomocy lub woła na alarm. Wytężywszy słuch, złowiłem refren: *Bruca San Liberatore!*

Z mojego okna pożar lasu na pochyłości San Liberatore ogarniało się w całej pełni. Ognisty grzebień sunął szybko wzwyż, za nim wlokły się kosmate warkocz dymu. Na autostradzie, u podnóża góry, skakały dziecinne zabaweczki: czerwone samochodziki pompierów. Dosięgnie zębaty płomień szczytu, uwieńczonego krzyżem? Nie dosięgnął. W późnych godzinach popołudniowych zdołały go okopem zatrzymać oddziały saperów od strony Salerno. Z dragonejskiego placyku, przy stolikach baru, obserwowaliśmy pod wieczór dogasanie: dymną chmurę, snującą się bezkształtnie jak poranna mgła nad lasem, przebijaną od czasu do czasu ostatnimi wężykami ognia, odsłaniającą gdzie niegdzie rdzawo-popielate płyty pogorzelska. Właściciel baru miał takie tylko zmartwienie: czy nocą eremita (a więc jest!) zapali krzyż wysadzany żarówkami.

Katastrofalne letnie pożary lasów tłumaczy się bądź działalnością piromanów, bądź nieostrożnością piknikowych komityw, bądź zawieruszoną szkiełkiem które w wyrębach między drzewami ogniskuje żar słońca w jednym punkcie suchego poszycia. Przyznaję, że podoba mi się szkiełko. Jest trochę jak powieszony wróbel w *Kosmosie*.

Nocą zapłonął krzyż na San Liberatore. Jeżeli któregoś dnia eremita zaśni, zasłabnie albo umrze, dowie się o tym okoliczna ludność w promieniu dwudziestu-trzydziestu kilometrów. Bardzo osobliwa, współczesna raczej, odmiana pustelnicstwa.

13 sierpnia

Arcyzabawne są „scjentyficzno-modernizacyjne” kłopoty i ciągoty Kościoła. Wiekowa tradycja Neapolu przeżywa burzę w ampułkach krwi Świętego Januarego. Niedawno zdegradowano go edyktem watykańskim do drugiej kategorii świętych, czyli czczonych na osobistą odpowiedzialność adorantów. Już wtedy zaszumiało w neapolitańskim ulu, ale prawdziwy „skandal” wybuchł

dopiero teraz. Katolicka *Nuova Enciclopedia delle Religioni* oznażyła *urbi et orbi*, że cud Świętego Januarego — upłynianie się zakrzepłej krwi męczennika dwa razy do roku, w maju i we wrześniu — jest postacią chrześcijańskiego pogaństwa, kultem o posmaku barbarzyńskim. Arcybiskup Neapolu, kardynał Ursi, słusznie zawrzał świętym oburzeniem, zamiast jednak trzasnąć pięścią w pulpit ambony z okrzykiem: „Wypraszam sobie!”, rzucił watykańskim bluźniercom i ikonoklastom wyzwanie: „Proszę o natychmiastową ekspertyzę naukową!”. Zagnieżdżonym w Watykanie „scjentyficznym modernistom” w to graj, chwycili piłkę w locie: wkrótce ma się z udziałem wybitnych uczonych odbyć impreza, którą w zaułkach neapolitańskich ochrzczono mianem „wizyty lekarskiej u naszego świętego”, a w prasie antyklerykalnej mianem *check-up per San Gennaro*. Co laboratoryjni mędracy mogą ustalić? Że w ampułkach znajduje się krew ludzka? To jest sprawdzony ponad wszelkie wahania pewnik (w kraju, który nie zanadto obfituje w tego rodzaju pewniki, w którym nie wiadomo na przykład nigdy ze stuprocentową pewnością czy wino pochodzi z winogron a mleko od krowy). Ewentualne — mało prawdopodobne nawet przy dzisiejszym stanie nauki — wykrycie grupy krwi zda się psu na budę, skoro u progu czwartego wieku naszej ery, gdy po edykcje Dioklecjana dokonano w Pozzuoli dekapitacji biskupa Benewentu imieniem Januarius, policja nie rozporządzała jeszcze kartotekami klinicznymi kandydatów na męczenników.

W gruncie rzeczy i watykańscy „scjentyficzni modernści” i kardynał Ursi grzeszą letniością ducha, która nieświadomie ociera się o ateizm. Cudy są aktami wiary, „uwierzytelniać je naukowo” to tyle co odbierać im całkowicie sens, stawiać wóz przed koniem. Kto chce i potrafi, wierzy; kto nie chce i nie potrafi, nie wierzy. Z równym powodzeniem można by odtąd ostrzegać w Watykanie pielgrzymujących do Lourdes chromych i ślepych, że muszą poczekać aż odnajdzie się notarialnie potwierdzona fotografia Przenajświętszej Pani enki w momencie ukazania się zachwyconym i wniebowziętym oczom Bernadette Soubirous. Asystowałem raz przy wrześniowym cudzie Świętego Januarego w Neapolu. Jego przejmująca wymowa polegała nie na zagotowaniu się krwi zakrzepłej w ampułkach, lecz na zachowaniu się starych kobiet z zaułków neapolitańskich (tak zwane *vedove di San Gennaro*, już w określeniu ich przydomkiem „wdów” tkwi wskazówka godna zastanowienia). Nawoływały patrona miasta do spełnienia cudu to admonicjami i pokornymi suplikami, to wyzwiskami i przekleństwami. Wzbierająca pod kopułą katedry psalmodia była skrzyżowaniem chóru greckiego z eksplozją gniew-

nej desperacji: odwiecznym, niezniszczalnym rytuałem *oczekiwania* cudu.

20 sierpnia

Po tajemniczym i śmiertelnym ulotnieniu się (dosłownie) wodzireja „rewolucji kulturalnej” Lin Piao spotyka się coraz częściej na Zachodzie obolałych i poparzonych komunizantów obrządku chińskiego, którzy przypominają takichże obolałych i poparzonych komunizantów obrządku sowieckiego po procesach moskiewskich. Nie jeden z tych rozczarowanych kolejnego rzutu był w Pekinie, po każdym nowym pątnikowaniu promieniał gorętszym wciąż entuzjazmem, toteż natarczywie rozlega się dziś w kawiarniach nad Tybrem (nad Sekwaną, nad Tamizą, nad Renem) pytanie, czemu intelektualni pątnicy rewolucji dawali sobie tak łatwo mydlić oczy, ledwie wypadało im na klęczkach przekroczyć Mur Chiński. Odpowiada Moravia: „Dla wielu socjalistów i komunistów wstrząsem był tajny raport Chruszczowa na Dwudziestym Zjeździe; Chiny przywróciły im oddech. Polemika przeciw marksizmowi, przeciw komunizmowi u władzy, korzystała z półpórek dostarczonych jej przez stalinizm; maoizm, odmienna wersja komunizmu, rozbudził na nowo nadzieje. Weźmy człowieka, który całe życie postawił na kartę marksizmu: maoizm wydaje mu się nareszcie autentycznym wcieleniem humanizmu socjalistycznego. Jasne, że zapał musiał przyćmić krytykę”.

Obolałych i poparzonych ta odpowiedź orzeźwi pewnie aż do następnego załamania. Nie ozdrowieją na dobre, dopóki swoich „wschodnich peregrynacji” (pilotowanych przez gospodarzy) nie nasycą solidną odtrutką podejrzliwości. Na początek zalecałbym prosty zabieg leczniczy. Moravia przemierza właśnie po raz enty wzdłuż i wszere ZSSR, z jego ostatniego reportażu *Impressioni e riflessioni* należy odcedzić ekstrakt: „Jakie wrażenie nadaje ton krótkiej podróży do ZSSR? Wrażenie potęgi. Dodajmy prędko: potęgi Państwa. Owszem, w miarę upływu dni zarysowują się i inne wrażenia, ale w końcu potwierdzają, wzmacniają i uzupełniają to pierwsze i najważniejsze. W Związku Sowieckim Państwo jest wszędzie. Nie byłaby jednak ścisła uwaga, że jest wszędzie bo dysponuje ogromną machiną biurokratyczną. Inne kraje, poczynając od naszego, posiadają wcale okazałe biurokracje; a przecież nie stwarzają bynajmniej wrażenia wszechwładzy państwowej. Co w ZSSR decyduje o takim ciężarze Państwa to nie tyle jego potęga, jakkolwiek wielka, ile nieobecność w obliczu tej potęgi czegoś odmiennego, innego, autonomicznego, nie państwowego. Nie powiedziałyby się nic nowego, powtarzając raz

jeszcze że życie codzienne, prywatne, indywidualne w ZSSR nie stanowi i nie mogłoby stanowić — w swojej skromności, ciasności i słabości — przeciwwagi dla Państwa. Może odrobinę nowsze byłoby spostrzeżenie, że skromność, ciasność i słabość sowieckiego życia codziennego są jednym z aspektów potęgi państwowej. Państwo nie odstępuje jednostki na krok, jak cień nie odstępuje na krok ciała. Ale cień, jeśli się tak wolno wyrazić, jest tutaj bardziej cielesny od samego ciała”. Ekstrakt Moravii powinni zażywać — trzy razy dziennie po łyżce stołowej przed posiłkami — zachodni amatorzy wojażów ideologicznych na Wschód, gdy w cieniu cienia bardziej cielesnego od samego ciała nie potrafią ni w ząb zrozumieć co myślą i czują obce ciała poruszające się dokoła nich jak cienie. W przerwach między jednym zażyciem a drugim wskazana jest również, po uprzednim i dokładnym zamknięciu drzwi na klucz w pokoju hotelowym, regularna doza powieści Maksimowa *Siedem dni stworzenia*. Powieść nie jest co prawda najlepsza, ale za to niezmiernie pouczająca. Trafia się w niej nawet żywa ilustracja *Wrażen i refleksji* Moravii: stojący nad grobem stary bolszewik Łaszkwow odkrywa u kresu swej rewolucyjnej wędrówki „obecność jakiejś ciemnej i nieuchwytniej siły, która na podobieństwo waty tłamsiła wszelki opór, wszelki niezależny odruch umysłu i serca; i poczucie całkowitej niemocy wobec tej siły było dla Piotra Wasiljewicza nieopisaną udręką”.

25 sierpnia

W gazetach fragmenty niewyglądzonej mowy „noblowskiej” Sołżenicyna (Szwedzi włączyli ją do dorocznej księgi laureatów). Są wspaniałe, lżej jest żyć w czasach które wydały jednak takiego pisarza. Odnotowuję w moim dzienniku jeden: „Biała narodowi, posiadającemu literaturę kontrolowaną przez władzę. Gdyż nie chodzi tylko o pogwałcenie wolności druku, lecz o zamknięcie serca narodu, o podarcie jego pamięci na drobne strzępy. Naród przestaje sam siebie pamiętać, pozbawia go się jednorodności duchowej, mimo języka uważanego za wspólny ludzie tracą stopniowo zdolność rozumienia się nawzajem”. Prawie słowo w słowo obrona ściganej policyjnie pamięci narodu z drugiego tomu wspomnień Nadzieży Mandelsztam.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Bliźniak (dok.)

Już się wkręcił, już przyssał. Nigdy się od niego nie odcepi. Oto robi obiad, rządzi się w kuchni, otwiera i zamyka lodówkę, próbuje sosu, mlaska, cmoka, wzdycha, wspomina matkę, potem jakiś motel w pobliżu Kielc, rozmarza się, uspokaja Leopolda: za małe pięć minut obiadek palce lizać, gorzałka się chłodzi. Nie zapomina interesować się zdrowiem Leopolda. „Siedź pan spokojnie w fotelu i poczytaj sobie”. Sam znajdzie obrus, sam nakryje do stołu. I już szpera po szufladach komody, znajduje co trzeba, a Leopold obserwuje to zrezygowany. Przyssał się, wpił kleszczami i nie puści. Z talerzy parują smakowite zapachy, butelka oszroniona — więc jak, panie doktorze? w gaz? — jeden płytszy panu nie zaszkodzi. Spróbuj pan śledzika. Umie Mareczek sobie dawać radę czy nie? No to jazda, Salem alejkum!

Jeden nie zaszkodzi. Drugi też raczej nie. Przyssał się. (*Anna w słonecznikach*. Był upał. Wtulilem głowę w jej piersi, ogarnęła mnie senność. Ona szarpała mi włosy: dalej, wstawać, panie poruczniku, miałam pana doprowadzić do sztabu, śpiochu).

— Trzeciego? — namawia Marczewski.

— Nie.

— Pod befsztyczek.

— Zaszkodzi.

— Jak nie to nie. Ale mnie wolno?

— Proszę bardzo.

— Pan myśli, że ja pana chcę upić?

— Można by pomyśleć.

— A po co miałbym pana upić?

— Do pracy magisterskiej.

— O, pan mi nie wierzy! — Bliźniak jest rozzałony. —

A ja panu jestem szczerzy przyjaciel. Gdybym mógł w czymś pomóc...

— Niech mi wypuszczą syna.

— Ach, te sprawy?... Te sprawy to nie ja.

— Szkoda.

— A co synek przeszkrobał? — dopytuje się Marczewski.

— Odczytał na zebraniu studeckim odezwę.

— Tyż piknie... Napisał ją sam, czy tylko odczytał?

— Nie wiem.

— Akurat, pan by nie wiedział! Jemy razem, pijemy, gadamy sobie jak ludzie można powiedzieć bliscy, a pan furt mi nie wierzy. — Marczewski wzdycha ciężko. — Kto by mógł napisać taką odezwę?

— Nie wiem.

— Syn panu jej przed zebraniem nie pokazał?

— Nie. Ja go zresztą uprzedzałem, żeby w tym nie brał udziału, bo będą nieprzyjemności dla nas obu.

— Trzeba go było pasem.

— Wychowałem go w wierze w socjalizm i miałem tego pecha, że on to wziął poważnie. Pokazał mi konstytucję. Artykuł siedemdziesiąty pierwszy: „Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji”.

— Ładnie. Pan to zna na pamięć?

— Na pamięć. Robiłem w tym fachu. Artykuł siedemdziesiąty trzeci: „Obywatele mają prawo zwracania się do wszystkich organów państwa ze skargami i zażaleniami”.

— Też ładne. Ciekawe, kto taką konstytucję układał?

— Pewnie Żydzi.

— Syjoniści — wpada w ton Bliźniak i wybucha śmiechem.

— Trzeba by zmienić konstytucję — podsuwa Leopold.

— Ja tego nie zrobię. A w ogóle co doktor myśli o sytuacji?

— Pana to szczerze interesuje?

— No pewnie.

— Ja jestem optymistą.

— O! — Bliźniak podskakuje na krześle.

— To znaczy, że mam nadzieję, że wszystko to pewnego dnia rozleci się do diabła.

— Ładny optymista. Może i tak. Ale skąd pan to bierze?

— Z *Trybuny Ludu*.

— Tyż piknie.

— Przejrzyj pan gazetę. Kraj absolutnej fikcji. Otóż widzi pan, własnemu krajowi można narzucić fikcję przy pomocy siły zbrojnej, cenzury prasy. Ale nie da się utrzymać fikcji w stosunkach międzynarodowych. Oni sobie tam nic nie robią z naszej

milicji i nie chcą podporządkować się naszej cenzurze. I kiedyś ta sprzeczność między tym, co nasi tu sobie zażyczyli, a tym, co się tam naprawdę dzieje, doprowadzi do nagłego przebudzenia. Jak choćby w sprawie niemieckiej. Co wtedy?

— Klops. Nie napije się pan?

— Nie.

— Nie namawiam. A ja mogę?

— Ile dusza zapagnie.

— Dusza pragnie — odpowiada Bliźniak.

Siedzi z Leopoldem przy stole, wdarł się do mieszkania, jedzą razem obiad, który tamten przygotował. Wczepiony w skórę. Czyha na słowa swojego gospodarza. Milcz, powiada sobie Leopold, milcz, powtarza w duchu — i słyszy własne gadulstwo:

— Katastrofą musi się to skończyć i w kraju. Zużyją wszystkie rezerwy i staną przed alternatywą: albo ogłosić stan wyjątkowy, zaostrzoną walkę klasową i tak dalej, albo spróbować coś naprawiać, a to będzie przyznaniem się do bankructwa. A zważyć tym razem nie będzie na kogo.

— Dlaczego?

— Żydów już prawie nie ma.

— A Niemcy?

— Niemcy coraz lepsi. Na Rosjan nie wolno. Amerykanie daleko, nikt w ich krecią robotę nie uwierzy.

— Masz babo placek — śmieje się Marczewski.

— Pilnie potrzebny jest wróg. Sześć postaci Politbiura w poszukiwaniu wroga.

— Dwunastu ich jest — poprawia Bliźniak, który nie wie, do czego Leopold czyni aluzję. — Serduszko gra?

— Dziękuję.

— A jeśli nie będzie katastrofy ekonomicznej?

— Musi być. — Leopold przez krótką chwilę czuje w piersi ucisk, odpoczywa, potem ciągnie: — Dlatego, że interes narodowy, ekonomiczny, polityczny, propagandowy — wszystko zostało u nas podporządkowane interesom mafii. Każda próba naprawy musi pociągnąć za sobą eliminację ludzi, których jedyny atut to szantaż albo służalczość. Rozumie pan, że dłużej trwająca dominacja tępaków musi się zakończyć klęską narodową.

— Mogę to sobie zapisać? — zapytuje Marczewski.

— Oczywiście.

Leopold siedzi z przymkniętymi oczyma. Ucisk zelżał, zaraz będzie zupełnie dobrze. Pisz, pisz, myśli, po to ci to mówię, żebyś doniósł komu trzeba. Nikt im tego nie powie, sami o tym nie pomyślą. Zresztą, kiedy mają myśleć? Między polowankiem a wódką, między usypiającymi zebraniem a zawitymi intrygami personalnymi? Klęska polityczna tej grupy stanie się ich klęską

osobistą i to ostateczną, bo czas działa przeciwko nim. Są zbyt starzy, za późno zaczęli spiskować, młodzież ich nie lubi, nudzą ją opowieści o ich partyzanckich potyczkach, propaganda szabelkowego patriotyzmu wietrzeje i staje się anachronizmem, nie zdążyli się niczego porządnie wyuczyć, ich pojęcia o świecie są prostackie, ich ideały wulgarne, za mało wiedzą, za bardzo lubią pić. Skleroza i choroby już zaczynają ich kosić. Dziewczeta na nich nie stawiają — to symptom.

— Nigdy pan tego nie wygarnął na żadnym zebraniu?

— Mówiłem różne rzeczy, czasem dość nieprzyjemne, ale tego nie, nigdy. Widzi pan, sam należałem do elity, a tak już jest, że krzywdziciel nie zastanawia się nad mechanizmem krzywdy. Po prostu żyje i działa, i jest z siebie zadowolony. To krzywdzony rozmyśla nad mechanizmem, który go gnębi. Zmusza go do tego własny los, który usiłuje go zrozumieć. I dlatego krzywdzony jest prawie zawsze przenikliwszy od krzywdziciela. Władca, który odcina się od ludzi bitych, głupiej, staje się w pewnym momencie bezradny. Nie wie, co się właściwie dzieje.

— Ma informatorów — przypomina Marczewski.

Wygląda, jakby poczuł się czymś dotknięty. Leopold postanawia nie mówić, co sądzi o tych rządowych informatorach. Lepiej go czymś ugłaskać. Proponuje kawę. Tamten natychmiast zrywa się, że to on ją przyrządzi, ale kiedy Leopold nalega, żeby kawa była zaparzona przez gospodarza domu, kiedy z uporem broni resztek swojej niepodległości, Bliźniak poddaje się. Przyrządzając kawę niepodległy gospodarz domu myśli: sprytny, zwycięski Bliźniak. Oto siedzi w moim domu, rozwalony w fotelu, ćmi carmeny, a ja się staram, żeby kawa mu smakowała, jestem uprzejmy, nawet wynętrzam się i kto wie, czy go nie polubię. Zamiast pokazać mu drzwi. Podbój został dokonany, a ja już się z tym prawie pogodziłem.

Kawę wypijają w milczeniu. Marczewski głośno chrupie herbatniki. Nagle odzywa się:

— Wyrolowali pana towarzysze?

— Można tak powiedzieć. Ale to nie powód do rozgoryczenia. Rozgoryczenie budzi motywacja mojego upadku. Jest za przeczeniem idei równości obywatelskiej.

— Mnie się zdaje, że w panu wciąż jeszcze siedzi marksista. Leopold uśmiecha się.

— Ostatkiem sił, ale siedzi.

— Ale przyzna pan, że powiedzenie „byt określa świadomość” sfajdało się?

— Czy ja wiem. — Leopolda bawi to trochę, że tamten podważa doktrynę, podczas gdy on, opozycjonista, jej broni.

— To dlaczego robotnicy przyjmowali bez sprzeciwu anty-

studenckie rezolucje? — wybuchą Marczewski. — Przecież, jak pan mówi, że gospodarczo jest źle, to powinni byli agitatorom skoczyć do gardła. A nie skoczyli. Głosowali jak te barany.

— Nie, formuła jest raczej w porządku. Okazało się jednak, że można zafałszować „byt”. Człowiek może nie zdawać sobie sprawy, że został strącony w dół. A poza tym...

— Co?

— Nie wiem, jak to było w końcu z tymi robotnikami. Stali i milczeli, a co sobie myśleli — tego nikt nie wie.

Marczewski przysuwa sobie butelkę, nalewa z niej do kieliszka, potem obwąchuje szkło.

— Co sobie tym głowę łamać — mówi. — My tego świata nie zmienimy.

Wypija. Leopold zaśłania usta dłonią.

— Chyba się teraz zdrzemnę — mówi.

— Proszę bardzo.

Leopolda ta bezczelność zatyka.

— Nie — mówi. — Będziemy musieli się pożegnać.

— Jak musieli to musieli. A potem co pan robi?

— Potem... pan wybaczy.

— Aha, jakieś życie intymne? Jasne. Przepraszam.

Leopold podaje mu beżowy pałocik, szalik, kapelusze. Ale przed wyjściem pan Marek skorzysta jeszcze z ubikacji, umyje ręce w łazience, wreszcie, już stojąc w progu, obdarzy Leopolda wdzięcznym uśmiechem. Drzwi trzasnęły, Leopold jest sam. Nagadałem mu bzdur, myśli w tej ciszy, która osiadła ciężko w całym mieszkaniu. Jakby wzburzone morze nagle wyschło. Kiedyś to się musi skończyć, myśli, kiedyś się z tego wypłaczę. Honza — wraca nagle nadzieja. Honza wszystko załatwi.

Jak we własnym domu. Dziwne uczucie. Siedzisz w głębokim fotelu, który należy do męża Anny, w poświęconym seledynowemu światła roztaczanego przez lampę stojącą (własność tegoż pana), pijesz jego whisky i wdychasz dym z jego angielskiej fajki (bo wiem ten pogodny i sympatyczny pan pozuje na Anglika, a może po prostu lubi angielskie rzeczy), jego żona (która była twoją żoną) podaje ci pieczarki zapiekane w kokilce, jest ci przy nich dobrze, jesteś im wdzięczny za ciepło i wygodę, nawet za towarzystwo, którym gardziłeś. (Bo nie próbowałem jej rozśmieszyć). Głupie, nigdy się czegoś takiego nie spodziewał. Jego była żona pokazuje mu z dumą meble, urządzenia kuchenne, wspomina się tak dalece, że każe podziwiać busztynowe spinki męża. Ale nie to jest głupie i upokarzające, że ona wydaje się podniecona wizytą Leopolda, że traktuje go jak dawno nie widzianego brata, który zjechał z dalekiej Australii, ale że on, jej były

mąż, nie przeżywa tak jak powinien, na odwrót, jest mu przytulnie w tym fotelu, między tymi ludźmi, którzy wydają mu się naraz bliscy, jest gotów wzruszyć się i rozełkać. Mąż (niemal Anglik) traktuje Leopolda z rewerencją, zachwala whisky, proponuje lód, dolewa schweppes'a. Ani śladu zazdrości. Nie wypada, żeby dojrzały i kulturalni ludzie... Mąż opowiada dowcip o rozmowie Cyrankiewicza z de Gaulle'm. Rezultat nieodparty: wszyscy troje wybuchają śmiechem, Anna śmieje się najdłużej, w jej spojrzeniu, które skierowuje na Leopolda, jest wyczekiwanie aprobaty: widzisz jaki świetny? (*Nudzitem ją. Rozwiązywałem problemy. Byłem skupiony. On rzucił dwa kalambury i od razu rozmiękał, w mojej obecności*). Schudła przy tym panu, rysy jej się wyostrzyły, oczodoły pociemniały. Zestarzała się, a może tylko jest wyczerpana, na pewno nadużywa rozkoszy. Zda się, że ma pogryzione wargi. (*Nie odbierze mi tej wiedzy, nie, ja jeden wiem*). A więc ich syn jest w więzieniu, ale tu życie toczy się swoimi koleinami, w dobrobycie i wygodzie. Dlatego właśnie przychodzę tu z ufnością — mamy wspólną sprawę. Naszego syna.

— Powiedzieli mi — mówi Anna — że nie wykazuje dobrej woli. Gdyby zeznawał, zastanowiliby się, czy nie można go wypuścić.

— On tego nie robi. — Łyk whisky ze schweppesem. Leopold mówi spokojnie, ufa synowi.

— Byle by znalazł się na wolności... — wzdycha matka.

— Ja przecież też tego chcę.

— Ale co robisz?

— Mówiłem ci: czekam na przyjazd Honzy.

— Czyj? — nie rozumie pachnący tureckim tytoniem Anglik.

— Towarzysza Wykołka.

— Dobra firma — przyznaje mąż Anny.

— Spróbuj parówkę w kokilce — podsuwa gorącą kamionkę eks-żona.

— Co to za sos?

— Pomidorowy. Mój wynalazek.

— Wyśmienity.

— Chciałbym, żeby Zbyszek mógł coś takiego spróbować.

— Podczas gdy ona tak po babsku, żałośliwie wzdycha, obaj mężczyźni spoglądają na siebie z uśmiechem. — Odkarmię go biedaka i nie puszczę więcej od ciebie.

(Już wiem, co szeptata wtedy między słonecznikami. Coś określającego moją żydowską inność. To ją podniecało. Moja fizyczna obcość, egzotyzm. Ale że nie wyglądam egzotycznie, musiała tę świadomość poprzez szept własny napędzać. Gryzienie wargi).

— Ja myślę, że oni go trzymają ze względu na ciebie — mówi jego była żona. — Kim jest dla nich on? głupi szczeniak, nie robiliby sobie z tego nic. To ty jesteś ich przeciwnikiem.

— To możliwe — przyznaje Leopold.

— I jeszcze sprawa pochodzenia — przypomina Anna. — Muszą mieć jak najwięcej takich, żeby przekonać ludzi, że akcja nie jest dęta.

— Naturalnie, nieczyste pochodzenie Zbyszka odgrywa tu rolę. Ale nie wolno nam zniżać się do dyskusji na tej płaszczyźnie.

— Ja w ogóle nie chcę prowadzić z nimi dyskusji. Chcę mieć syna w domu!

— Ja też — mówi Leopold, zaniepokojony, że słyszy w jej głosie zdenerwowanie.

Mój syn — moja ostatnia nadzieja, myśli. Wszystko runęło, wszystko marność, nic go już nie czeka, nikomu nie jest potrzebny i nic jemu nie jest potrzebne, została tylko potrzeba czułości, oddania — ulokowana w synu. I jeszcze potrzeba usprawiedliwienia się przed tym chłopcem, którego w nocy wyprowadzają z celi na badanie, oslepiają jaskrawym światłem, biorą w krzyżowy ogień pytań, straszą. Syn, którego Leopold oszukał, a może i zdemoralizował. Ile na tę ojcowską miłość przypada poczucia winy? Ile strachu, że ten syn powie: Chcieliście mieć zabawkę, rodzinę jako podstawową komórkę, a co z zabawką potem będzie — nie myśleliście! Wyrzuty sumienia, że się go w ogóle na świat wydało. Że ten świat jest taki jaki jest. Że nie umie się wskazać celu, dla którego warto żyć. (*Roztaczałem przed Anną perspektywy: wolnej Polski, socjalistycznej, dumę klasy robotniczej: reforma rolna, rozkwit kultury, opieka nad słabszymi. Później, kiedy czasem pytała mnie, co się właściwie dzieje, dłaczego takie parszywe stosunki, tłumaczyłem z całym przekonaniem, że walka klas*). Znowu robi mu się gorąco. Anna nadchodzi z tacą, jej mąż coś mówi, ona się śmieje. Jego była żona nie zna takich rozterek. Syn powinien jej być wdzięczny za to, że raczyła go urodzić, wykarmić, pieluszki prać i prasować. Życie jest darem wspaniałym. Głupio tylko że człowiek się starzeje. Reszta bywa cudowna — kiedy się ma duży metraż, gustowne meble, przyjemne towarzystwo, trochę książek, teatru, obrazów, kina, płyt, drogą porcelanę, wyjazdy zagraniczne, zdanego mężczyznę. Jej mężczyzna nastawia telewizor, bo ma być dziennik, a Anna częstuje Leopolda mocną herbatą w chińskiej, błękitnej filiżance w kwiaty. Leopold popija spoglądając spod oka na ekran telewizora. Anna — myśli — uważa, że szaleństwem jest z tego wszystkiego rezygnować. Na ryzyko mogą sobie pozwolić tylko ci, którzy nie mają nic do stracenia.

W telewizorze — zebranie, jedno z wielu. Dawno w czymś takim Leopold nie brał udziału. (*Przemawiałem na akademii w w ministerstwie z okazji rocznicy zjednoczenia partii. Przemawiałem z okazji rocznicy Rewolucji. Na święto Armii Czerwonej. Dzień Wojska Polskiego. Święto Kobiet. Wygłaszałem zasadnicze referaty, zanudzałem i usypiałem obecnych*). To zebranie jest ożywione. Wykrzykują, wygrażają. Co chwila wybucha gromkie „precz!” i „hańba!”. Za stołem pomilkujące prezydium. Niektórzy za tym stołem wyraźnie nie podzielają ogólnego ożywienia, jakaś kobieta wygląda na zasmuconą. Na sali też migają twarze ludzi, którzy się wyłączyli, zamknęli w sobie, siedzą, ale myślami są jakby daleko. Mówca, barczysty pięćdziesięciolatek, w okularach, bardzo jest rozochocony. Woła: „Czy będziemy znosić u siebie elementy wrogie?” „Nie!” — krzyczą na sali. „Pytam: co mamy z nimi zrobić?” „Precz!” „Do Tel-Awivu!” Goebbels i jego partyjnicy, myśli Leopold. Skąd się taki aktywny wziął? Kto go tak wychował? Znowu robi mu się gorąco: czy ja sam?

Przypatruje się mówcy. Znam go dobrze, myśli, ale ta twarz była miększa, świeższa, czy cieplejsze. Mówca ma twarde rysy w płaskiej, szerokiej twarzy, oczy błyskają gniewem zza grubych, rogowych okularów. Słowa zieją nienawiścią do Leopolda. Faszysta, myśli człowiek w fotelu przed telewizorem. Tak, faszysta, karłowaty *duce*, który uderza pięścią w pulpit, woła wskazując na Leopolda: „Nie ma u nas miejsca dla obcych! Niech się wynoszą!” Wybuchają oklaski. „Towarzysze! Oczyszczymy nasz dom! I nie damy się zastraszyć oskarżeniami o antysemityzm!” Salwa oklasków. Mówca spogląda na Leopolda, potem na salę, opiera dłoń na biodrach, uśmiecha się. *Duce*. Czemu nikt na tej sali nie zerwie się i nie krzyknie: „Ludzie, przecież to nie tak miało być! Opamiętajcie się!” (*Szli ulicą w majowym słońcu, dął zimny wiatr. Leopold podał tamtemu kawałek czerwonego płótna*).

— To Wykołek? — pyta Leopold, a palcami obmacuje sobie klatkę piersiową.

— Tak — odpowiada mąż Anny. Zapala fajkę. — To z nim ma się pan spotkać?

— Nie, chyba nie warto.

Rozumieją i o nic więcej nie pytają. Chyba nie padnę teraz trupem myśli Leopold wsłuchując się w swoje bolesne serce. Nie ma ratunku dla Jurka: towarzysz Wykołek nas nienawidzi. Nie będę go o nic prosił, nie mogę, nie będę, nie mogę. (*We Lwowie, na moim ślubie z Ewą był świadkiem w sowieckim urzędzie stanu cywilnego, podarował wtedy Ewie kwiatek i pudełko cukierków z fabryki „Bolszewik”, w której pracował jako komisarz polityczny*). Kiedy tak się przeobraził? Co go w tę

stronę pchnęło. I nagle przychodzi Leopoldowi na myśl, że może Honza zawsze był taki. Milczał długo, bo uważał się za komunistę, i chociaż skręcało go na widok długonosych towarzyszy, równocześnie był dumny, że w sobie tę niechęć dusi, że umie w przemówieniach zdemaskować szowinizm i ksenofobię posługując się internacjonalistyczną terminologią, jak dumny jest Sudańczyk, kiedy wykrzykuje z trudem przyswojone słowo „imperializm”. Dziwne spojrzenie Honzy, kiedy po raz pierwszy zobaczył Leopolda w mundurze oficerskim — tak, chyba jednak ironiczne. Ale milczał.

— Co z niego wylazło! — mruczy Leopold.

— To pan uważa, że on w to wierzy? — zapytuje mąż Anny.

— Nareszcie w coś może wierzyć.

— Nie, panie Leopoldzie, to demagog! Jak oni wszyscy. Wierzy tylko w to, co daje mu przewagę. — Mąż Anny spokojnie czyści fajkę. Potrafi nie emocjonować się, bo stoi z boku i obserwuje chłodno ten cyrk, w którym Leopold kiedyś był czołowym żonglerem, a teraz dostaje błazeńskie kopniaki. — Oni w jedno tylko wierzą: że masy są głupie i trzeba je trzymać za mordę. Reszta to jedynie kwestia środków.

Leopold milczy. Ja wiem swoje, myśli, pamiętam jego spojrzenie:

— Więc jak będzie z Honzą? — zapytuje Anna nerwowo.

— Nie wiem. Chyba nie powinienem robić, pierwszego kroku.

— Słuchaj, Poldek. Mnie to wszystko nic nie obchodzi. Powiedz mi, co zrobić, żeby wypuścili Zbyszka.

— Nie wiem.

— Nie wiem! Nie wiem! Widzę, że będę musiała działać sama! Trzeba będzie, to dostanę się do Wykołka! Wszędzie trafię, skoro ty nie chcesz palcem ruszyć!

Jej mąż ją uspokaja:

— Ależ, Aniu, pan Leopold ma rację: skąd on może wiedzieć, co jutro będzie. Uspokój się, oni nie są krwiożerczy. Żeby być krwiożerczym, trzeba mieć przekonania. A oni mają tylko interesy.

Dzwoni telefon. Takie to nieoczekiwane, że w pierwszej chwili wydaje im się, że to w telewizorze brzęczy. Anna podnosi słuchawkę.

— Halo? Tak. Jest, jest. Już proszę. — Uśmiecha się do Leopolda: — Do ciebie.

— Kto?

— Mężczyzna. Czy zapowiadałeś komuś, że u nas będziesz?

— Nie. — Leopold próbuje sobie przypomnieć, i stwierdza już mniej pewnie: — Zdaje się, że nikomu.

Domyśla się, czyj to telefon. Znalazł go więc i tutaj. Ale kiedy Leopold sięga po słuchawkę, nikt nie odpowiada na jego „hallo”. Cisza po tamtej stronie działa drażniąco. Jak bezszelstnie zbliżający się upiór.

— Czego tak stoisz ze słuchawką w ręku? — denerwuje się Anna. — No, powiedz-że coś!

— Nikt się nie odezwał — oznajmia cicho Leopold.

— Więc miałem o każdej godzinie dnia i nocy pamiętać, że jestem także Żydem?! — wrzeszczy zrywając sobie struny głosowe. — Że mój status jest osobliwy?

— Tak, miałeś. — Kamiński jest nieubłagany. — Ty i inni tacy jak ty. Ponieważ masz rozum i doświadczenie, ponieważ wiedziałeś, co się działo w Moskwie w trzydziestym siódmym roku, czterdziestym ósmym, pięćdziesiątym drugim. Powinieneś był to sobie uświadomić i usunąć się.

— Poddać się! Przyjąć dobrowolnie stanowisko obywatela drugiej kategorii! Zgodzić się, że jestem inny!

— Tak. Bo jesteście inni — skoro cię takim widzą. Ale nie chcieliście tego dopuścić do świadomości. Brnęliście rozkosznie w przepaść jak ślepcy. Byliście stale pod ręką. Wygodni. Aż wreszcie stało się to, co musiało się stać.

Przychodzi bez zapowiadania. Do tego doszło. Stoi w drzwiach i uśmiecha się bezczelnie. Moje uszanowanie, zdrówko, jak leci. Zjemy razem obiadek? Skoczysz po butelczynę? Mina czegoś kwaśna? O, pan mi nie wierzy.

— Wychodzę — mówi Leopold pod nosem. — Trzeba było uprzedzić.

— Odprowadzę pana. W którym kierunku?

— Moja sprawa. (Dziś czwartek, generał Hornet czeka).

— Naturalnie, że pańska, ale my mamy małą umowę, nie? Po co pan taki tajemniczy? Przecież, gdyby mi na tym zależało, umiałbym się dowiedzieć, no nie?

Leopold nie odpowiada.

— Doktorze, rękawiczki — przypomina Bliźniak. — Robi się zimno.

Leopold wyciąga ze starego palta zapomniane rękawiczki. Otwiera przed tamtym drzwi: proszę. I tak wciąż: telefony, drzwi, dzwonki, przychodzenie, wychodzenie, pauzy pełne męczącego milczenia — jak w nieudolnym filmie. Gdyby to jakoś przyspieszyć, myśli. Zdynamizować trochę tę grę, doprowadzić szybciej do tragicznego rozwiązania. Jak w marcu sześćdziesią-

tego ósmego, kiedy dostawało się gęsiej skórki z masochistycznych emocji. Walili w nas, ale to było rozkoszne, było się w oku cyklonu i numer *Trybuny Ludu* bez porcji kłamstw i nienawiści przynosił rozczarowanie.

— Czy to pan wczoraj dzwonił do mieszkania mojej eks-żonki? — zapytuje Leopold.

— A co, ktoś dzwonił?

— Tak.

— Pana to dziwi?

— Trochę.

— Pewnie, że to dziwne — potwierdza Marczewski. — Zresztą, mógłbym to być i ja.

— Kiedy to ustanie? — obrusza się na swojego bliźniaka Leopold.

— Co niby?

— To następowanie mi na pięty.

— Pan to tak niegrzecznie nazywa. Pan mi w ogóle nie chce pomóc. Pan autobusem czy piechotą?

— Piechotą. Do Zachęty.

— Kawał drogi. Dzielny z pana piechur.

— Dziękuję.

— Piękny kawałek miasta, co?

— Bardzo.

— A Tel-Aviv ładne miasto?

— Nigdy nie byłem w Tel-Awivie — odpowiada sucho Leopold. — Panie Marczewski, to powinno się kiedyś skończyć.

— Skończy się, skończy, jak tylko zrobimy pracę magisterską. Ale pan nie jest dla mnie grzeczny. A ja myślałem, że się zaprzyjaźnimy.

— Chciałbym mieć swoje życie prywatne.

— Czy ja tego nie rozumiem? Ja też nie jestem asceta. Pan teraz kawaler, możliwości jak jasna cholera. Wystarczy mi tylko mrugnąć okiem: Mareczku, dziewczynka — i już mnie nie ma.

— Mareczku, dziewczynka.

— Gdzie?

— W Zachęcie.

— Już więcej. Ale też pan prowadzi wytężone życie kulturalne: kluby, muzea, biblioteki.

— Teatr, kino, radio.

— Wolna Europa?

— Jak większość narodu — zgadza się pogodnie Leopold. — Dobry materiał do pańskiego studium? Niech pan zanotuje.

— Zapamiętam. Doktorze, już znikam, ale jeszcze pytanie:

nie myśli pan, że tę ulotkę, tę odczytaną przez pańskiego syna, mógł napisać ktoś z zagranicy?

— Syjoniści?

— Jacy znowu syjoniści. Wolna Europa, albo ktoś taki...

Leopold uśmiecha się.

— Pan uważa, że my w kraju nie potrafilibyśmy napisać takiej sami?

— No nie, nie. Ale ona brzmiała jak prowokacja.

— Prawda w naszych warunkach brzmi jak prowokacja. Przepisz pan kawałek z Ewangelii, odbij na powielaczu i przekonaj się pan, jaka to prowokacja. Do widzenia.

— Do widzenia, doktorze. I powodzenia! Włać w nią pół litra i będzie dobra. Wszystkiego najdłuższego.

Hornet już jest w muzeum, przygląda się jakiejś grafice sterząc głową ponad otoczeniem.

— Ach, to pan — odzywa się półgębkiem. Nie przerywa oglądania. — Przejdziemy chyba do jakiejś kawiarni. Ale najpierw, dla niepoznaki, proszę sobie obejrzyć tamtą grafikę. Zna się pan na tym?

— Nieszczęśliwie.

— Dziwne, wydawało mi się, że pan kiedyś w tych sprawach zabierał głos. Bolszewik zna się na wszystkim, nieprawda? To niezła grafika. Chociaż, przynajmniej, ja też kieruję się raczej gustem niż wiedzą.

— Możemy już przejść do kawiarni?

Generał rozgląda się dyskretnie.

— Nic nie stoi na przeszkodzie. Ale bez pośpiechu — zastrzega się.

Bohater z pękniętym kręgosłupem. Boi się bardziej niż ja, pochlebia sobie Leopold. Były artylerzysta przykłada zwiniętą dłoń do ucha.

— Na pewno pana nie śledzą?

— Mam stałego anioła-stróża — odpowiada Leopold. — Ale odprawiłem go.

— I myśli pan, że się ulotnił?

— Bywa lojalny.

— Nie chciałbym, żeby mnie posądzano o konszachty z panem. Panu to nic nie da, a mnie zaszkodzi.

Leopold dusi westchnienie. W kawiarni Hornet odzyskuje wewnętrzną dystynkcję i jest prawie dzielny, kiedy pyta:

— Czym mogę panu być pomocny?

— Słówkiem u ministra spraw wewnętrznych.

— Co takiego? — Generał przykłada dłoń do prawego ucha.

— Proszę się z tej strony i powtórzyć.

— Pan się nie przesłyszał, panie generale. Jest pan w zarzą-

dzie Zbowidu, spotyka się pan z Moczarem. A mój syn siedzi za coś, co w ogóle nie jest przestępstwem. Mógłby odpowiadać z wolnej stopy. Panie generale, zniszczą mi chłopaka... — Leopoldowi załamuje się głos. — Nie mam na świecie już nikogo prócz niego. Ten drugi, ten starszy, to niedojda, opłacam z mojej renty zakład, który się nim opiekuje... Mówię otwarcie... Ten chłopak jest wszystkim, co mi zostało.

Generał milczy. Jego wysokie czoło, na które opada kosmyk srebrnych włosów, pokrywa się kropelkami potu. Leopold obserwuje nasępiające się brwi. Hornet wygląda groźnie, waży decyzję, rozpatruje pole bitwy, za chwilę ryknie: Ognia! Do ataku! Bij kto w Boga wierzy!

— Nie mogę tego dla pana zrobić — mówi cicho generał.

Spodziewałem się tego, myśli Leopold.

— W zarządzie nie mam nic do powiedzenia — wyjaśnia Hornet. — Od tego pana, o którym pan wspomniał, trzymam się z daleka. Pan rozumie, to naprawdę nie jest dla mnie towarzystwo.

— Dlaczego więc pan tam siedzi? Dlaczego pan firmuje te ich haniebne uchwały?

Hornet mruga oczyma.

— Proszę? — pyta przykładając dłoń do ucha.

— Dlaczego pan to wszystko firmuje?

— Rozumiem. — Generał kiwa głową. — Pana dziwi, że ja... powtarza. — Pan uważa, że to słabość charakteru.

— Myślałem, że pana przekonali.

— Nie, drogi panie, jestem wprawdzie zawodowym oficerem, ale nie takim tępym jak pan przypuszcza. Nie można mnie tak łatwo nabrać. Ręczę też panu, że zostało we mnie dosyć odwagi, żeby osobiście poprowadzić pluton na bagnety. Jesliby zaszła potrzeba, umiałbym pograć się w pracy konspiracyjnej. Nie boję się też o swój dobrobyt, rentę, ciepłe mieszkanie: wciąż jeszcze potrafię zadowolić się małym. Ale przynajmniej, że w jednym mnie namacali. Mam swoje słabe miejsce, owszem. Pan ma syna w więzieniu, a ja dwie córki na uniwersytecie. Kiedy mnie aresztowano, jedna miała dwa lata, a druga rok. Byłem starym koniem, ale młodym tatą. Tak, panie pułkowniku, ten Gomułka, kiedy postanowił, że ojcowie odpowiadają za dzieci a dzieci za ojców, wymyślił coś najbardziej szatańskiego. Wobec tego, że to cep, nie sądzę, ażeby zdawał sobie nawet sprawę z rozmiarów własnej podłości. On nie ma świadomości swoich uczynków, brak mu wyobraźni moralnej, brak kryteriów etycznych. Panie, to samobójca! I przypatrywanie się temu, jak wkłada łeb w pętlę, to spektakl jedyny w swoim rodzaju. Pytanie tylko — kiedy ta pętla się zaciśnie. Jego minister spraw we-

wewnętrznych różni się od niego tylko większym sprytem. Ale tak samo nie potrafi zrozumieć całej hańby, jaką go okrywają jego małe brzydkie kłamstwa — w dwadzieścia pięć lat po upadku hitlerizmu. Wie pan, świat jednak poszedł naprzód, a oni stoją w miejscu, ich mentalność jest mentalnością prostaczków, którzy kręcili się ćwierć wieku temu wokół leśniczówek z pepeszą w rękę. Tyle, że prostaczków pijanych władzą.

Leopold nie może przestać myśleć o tych dwóch dziewczynkach, których ojciec na sześć lat powędrował do więzienia. Kiedy wrócił, starsza z nich umiała już czytać i pisać.

— Zapyta pan: a co my, naród? — Ciągnie generał. — Ile jest naszej winy jako zbiorowości? Odpowiem panu po prostu: daj mi pan środki masowego przekazu plus terror policyjny, a zrobię co zechcę z każdym narodem. Więcej powiem: w ciągu pół roku sprawię, że warszawiacy będą się wypierać pokrewieństwa z krakowiakami, a bojówki śląskie zaczną bić poznaniaków. Na obronę narodu mogę panu tylko powiedzieć, że jeśli hitleryzm był ruchem oddolnym, wyszedł od lumpenproletariatu, to nasz rasizm gomulkowski został zaplanowany na górze, jest doktryną, która odwołuje się do lumpen-naukowców, lumpen-pisarzy, lumpen-dziennikarzy, do karierowiczów z aparatu, do szpicłów, nierobów, niedouków. Stawia na nich i stara się ich mnożyć. Nic dziwnego, że walka z chuligaństwem daje tak nędzne rezultaty, skoro przykład idzie z góry i życie polityczne kraju jest chuligańskie. Jeśli więc zechce pan obarczyć jakąś szczególną winą nasz naród, to odrzucam to z całą stanowczością. Nie tylko jako generał, ale także jako szeregowiec.

— Nie mam zamiaru — mówi Leopold, trochę urażony. Hornet nie domyśla się nawet dlaczego. Więc Leopold wyjaśnia: — Ja też czuję się szeregowcem.

— Bardzo mi miło. I niech pan pomyśli, panie pułkowniku: mimo całego terroru, mimo podsłuchu, policji, agitacji, gadamy tak sobie we dwóch jak gdyby nigdy nic. Niech pan sobie spróbuje wyobrazić taką rozmowę w Moskwie.

— Nie próbuję. A jednak, panie generale, nie aprobuję całkowiec pańskiej postawy. Jest pan osobistością owianą legendą. Ludzie widzą w panu kawał heroicznej historii. I co pan robi z tą legendą? Pozwala pan ją wykorzystywać na użytek spryciarzkiego solidaryzmu. Jeśli taki człowiek jak generał Hornet nie protestuje, podaje im rękę, fotografuje się z nimi, więc może racja jest po stronie tych, którzy bili studentów. Powiada pan: dla córek. Rozmaicie można postępować dla dobra swoich dzieci. Jedni dla dzieci uginają karku, drudzy prostują go. Żeby dzieci mogły być dumne. Czy jest pan pewny, czego oczekują od pana pańskie dziewczęta?

Generał mruga oczyma, potem przykładą dłoń do ucha.

— Może pan to powtórzyć? Nie wszystko do mnie dotarło.

— Nic ważnego, panie generale — mówi Leopold. — To pamiątka do wojny? — zapytuje wskazując na ucho.

— Nie, z więzienia. Ze śledztwa.

Znowu robi się gorąco. To nie ja biłem, myśli, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Podejrzewałem, że są nadużycia i domyślałem się, ale żył przecież Stalin, on miał wiedzieć, co jest konieczne a co nie — on zdjął z nas wszystkich odpowiedzialność. Kiedy umarł, nie od razu spostrzegliśmy, że lżej się oddycha. Poczuliśmy osierocenie. Nawet Anna płakała.

— Wszystko przyćmione — mówi Kamiński. — Kiedy myślę o jakiejś prozie, kiedy wyobrażam sobie, że piszę o obecnej chwili, widzę mrok, siebie w tym mroku, stół drewniany, ciemny, odrapany. Wszystko w wodnistej, okupacyjnej sepii. Co robić? Jak długo mam to ciągnąć? Żyję, oczekując na jakąś zmianę, w nierobstwie, zachłannie czytając — także jak podczas okupacji. Oczekiwanie — wówczas na koniec wojny i wyzwolenie — teraz na co? Na jaśniejszy czas? Lub może tylko na znak jasności? Zadziwiająca była świadomość Polski okupowanej, że koszar jest chwilowy, że trzeba tylko przetrwać, bo wojna toczy się o nas, a o wynik możemy być spokojni. I można czekać, kształcić się, cofać, wzbogacać duchowo, czasem coś napisać — na później. Teraz nie ma śladu tej ufności i podobieństwo jest tylko pozorne. Teraz to, co naprawdę osacza milczących pisarzy, to rozterka. Przy czym jesteśmy teraz o ćwierć wieku starsi. My, którzy mamy opuścić nasz kraj jesteśmy szczególnie poszkodowani, bo zostaliśmy wydziedziczeni ze wszystkiego, z przeszłości i z przyszłości. Po raz drugi tracimy wszystko, co z takim trudem odbudowaliśmy po wojennej katastrofie: dach nad głową, środowisko, pozycję społeczną, własną ulicę, znajomy sklep i drogie sobie kąty. Ach, tracimy więcej, bo wyjeżdżamy bez nadziei. Nawet bez prawa do patosu. Bo cóż znaczy dramat garstki ludzi? W historii panuje prawo wielkich liczb! Dramat na domiar wcale nie krwawy, raczej komfortowy, taki, który staje się melodramatem i budzi niechęć ludzi o wysubtelnionym smaku. Jesteśmy bardziej obrażeni niż prześladowani, bardziej wyszydzani niż bici, bardziej opluci i odrzuceni niż spoliczkowani. Ci, którzy w naszym dramacie nie uczestniczą, bronią się przed nim obojętnością, a jeśli są zbyt blisko, by się uchylić od swojego zdania, konstruują akt oskarżenia przeciw prześladowanym. Jedna profesorowa, niezwykle w swoim pojęciu szlachetna, powiedziała mi kilka dni temu: „Nie lubię ludzi, którzy zawsze mają w zanadrzu drugą ojczyznę”. Mogłem jej odpowie-

dzieć: „Pani!! A co zrobimy z tymi ośmioma milionami Polaków rozsianych po całym świecie? Skąd by się wzięły społeczeństwa Ameryki Północnej i Południowej, gdyby nie znaleźli się ludzie, którzy emigrując chcieli poprawić swój los? Czy wyklinamy Modrzejewską za to, że jej syn został inżynierem amerykańskim? Czy gorszymy się Marią Skłodowską, że wyszła za pana Curie, a jej córka Francuzka za pana Joliot? Szczycimy się nimi! Skąd więc ta podwójna buchalteria?” Ale nie powiedziałem ani słowa. Pomyślałem sobie: wyjadę, pani profesorowo, i kto wie, czy to nie pani mnie do tego pchnęła. Cóż, może to być w końcu wielka przygoda! Ostatnia w moim życiu! Spróbujmy bez trągowania. Zreasumujmy. Mam za sobą kawał nie najgorszego życia. Co zdążyłem w nim zrobić to moje — resztę trzeba rozwiązać możliwie bezboleśnie. Pisało się śliczną prozę, ludzie chętnie czytali, tu i tam pochwalono, żyło się kulturalnie, środowiskowo, miało się wspaniałe dziewczyny. Przygoda bez wątpienia obfitowała w momenty pozytywne. Udało mi się przez dwadzieścia lat nie piłować tajgi, do czego byłem predystynowany. Wymigałem się od machania kilofem. Ktoś mnie w końcu zdemaskował, przyłapał na markierowaniu i teraz, ze zwiotczającym mięśniem sercowym, posłał mnie do kuchni rąbać drzewo. Zupa z łaski. Zasażona niedza. Zdechnąć pod płótem z wycieńczenia. Nie, tak źle nie będzie. Przecież jestem w sytuacji wyjściowej o wiele lepszej niż przed laty. Mogę dobijać się do drzwi różnych komitetów udając pisarza Kamińskiego. *I used to be a writer. Homme des lettres.* Umieję pisać różne kawałki. Propagandowe także. Mam zaświadczenia, druczki, pieczętki, tłumaczenia. Zresztą, co za różnica, kim jeszcze będę. Mogę być odźwiernym w bajzlu w Panamie. Albo tłumaczem w policji patagońskiej. Malowniczo. Najważniejsze: bez patosu, bez dramatyzowania. Nie rozdierać szat — są już dawno w strzępach. Nie, to wszystko nie jest takie straszne. Stara Warszawa nie istnieje, nowa wykrzywiła się. Nie rozmyślaj nad tym, kogo tracisz! Pomyśl, ilu ludzi nie będziesz musiał widywać. Z ilu rzeczy nie będziesz musiał się tłumaczyć...

— Czy chcesz czegoś na uspokojenie? — zapytuje Leopold.

— Nie, nie chcę! Nie chcę się uspokajać! — Pisarz wyjmując chusteczkę, wyciera mokre od łez policzki. — Niepotrzebny mi spokój, mam gdzieś. Byłem u lekarza, narzekałem na rozdrażnienie, powiedział mi: potrafiłbym pana z tego wyleczyć, ale nie będzie mi pan wdzięczny. Dlaczego? — pytam. Bo przestanie pan pisać. Tak powiedział. Ale daj tabletkę!

Można czekać na cud. Ktoś kogoś chwyci za gardło, coś się w tej Polsce stanie — i nagle wszyscy odetchną lżej. Nie, lepiej się nie łudzić. Nic nie może się stać. Jeśli ktoś zadzwoni, to

z wieścią przykrą. O ósmej rano budzi pomyłkowe połączenie: „Spółdzielnia?! Co do cholery, miała być spółdzielnia!” Czasem odezwie się on, twój Bliźniak. Powoli ogarnia nienawiść do tej skrzywnki na biurku, która odzywa się tylko, żeby dokuczyć.

Teraz znowu się rozedrgała. Bliźniak? Anna? Jest wcześniej, nierób Leopold dopija poranną herbatę, mówi swoje „hallo” z odpowiednią apatią, ktokolwiek dzwoni powinien wyczuć niechęć rozmówcy.

— Czy obywatel Piński? — zapytuje młody kobiecy głos.

— To ja.

— Łączę z towarzyszem Wykołkiem.

Przyspieszone bicie serca. Co robić? O czym mam z nim mówić? Pamiętaj, idzie o Zbyszka — upomina siebie Leopold. Wysłuchaj go, nie trać okazji.

— Wykołek przy telefonie. — Leopold poznaje jego silny, energiczny baryton. — To ty, Poldek?

— Ja.

— Cześć. No jak tam? Jakoś leci? — Brzmi to dziarsko i przyjaźnie.

— Chyba wiesz — odpowiada Leopold ogólnikowo.

— Pracę masz?

— Jestem na niepełnej rencie.

— Odpoczniesz sobie — mówi Wykołek wesoło. — Tobie to się powodzi! A jak Jurek?

— Dziękuję, w zakładzie. Nie widziałem go od roku.

— Czemu taki wyrodny ojciec?

— Nie poznaje mnie już. Zmiany w mózgu.

— O psiakrew.

— Ale i tak jestem ci wdzięczny, ty wiesz — przymla się Leopold.

— Drobiazg.

— Widziałem cię w telewizji.

— Na konferencji? — ożywia się Wykołek. — No i jak ci się wydało? Ożywiona dyskusja, nie?

— Owszem.

— O, bracie, zdrowo tam najeżdżali. Takie teraz ożywienie w partii jak nigdy. Nie poznałbyś!

— Nie poznaję rzeczywiście.

— Nie podzielasz, zdaje się, mojej opinii.

— Jakby ci powiedzieć...

— Aha, dobrze, zostawmy to. Co mogę dla ciebie zrobić? Nareszcie, myśli Leopold. Jest u celu.

— Idzie o Zbyszka. Dlaczego ma odpowiadać z więzienia? Przecież nic takiego nie zrobił.

— To wykaże proces.

— Naturalnie. Ale czy nie mógłby do tego czasu być w domu?

Wykołek chrząka.

— Trzeba by pogadać z towarzyszem Zenonem — mówi.

— O to mi właśnie idzie.

— Ale najpierw muszę się dowiedzieć, jak jest z tobą.

— O co ci chodzi? — Leopold czuje, że zbliża się coś przykrego.

— Jak u ciebie właściwie z tym syjonizmem? Czy ty potępiasz agresję izraelską czy nie?

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

— Trzeba, żebyś się jasno wypowiedział — grzmi baryton Honzy. — Zadeklaruj, że potępiasz syjonizm. Rozumiesz, w czym rzecz?

— Rozumiem. Pocałuj mnie w dupę.

— Poldek?

— Powtarzam: pocałuj mnie w dupę.

Serce jak oszalałe. Leopold cieszy się: sekretarki słyszały, szpicle, podstęp, Zenon, Moczar — wszyscy słyszeli! Ale heca. Duża rzecz. Zbyszek to odpokutuje, a ja, głupi, się cieszę. Ale mnie wolno być głupim, myśli, nic innego mi nie zostało, kto ja jestem, skromny rencista, nikt. Za to on, Honza, członek Biura Politycznego, i taki beznadziejny. Sami siebie zaszantażowali, pajace!...

Mężczyzna w szarym golfie kłania się lekarzom i siada posłusznie na kanapce. Jest niski, przysadzisty, ma szeroką twarz i ciemne oczy, które spoglądają tępo, obojętnie, a chwilami jakby trochę dziecinnie. Jedno z tych jego oczu, prawe, jest podsiniacone, muszla uszna jest poszarpana, policzki skaleczone. Mężczyzna ma już prawie trzydzieści lat, jego dłonie są szerokie, palce grube i silne, jak u robotnika.

— Jureczku — mówi wychowawca wskazując mężczyźnie w szarym golfie na Leopolda. — Powiedz dzień dobry.

— Dzień dobry — odpowiada drżącym głosem mężczyzna. Na czoło występują mu krople potu. Zapytuje wychowawcy: — Dobrze?

— Dobrze, Jureczku, grzeczny jesteś.

— Jureczek grzeczny — cieszy się mężczyzna. I uśmiecha się zawstydzony.

— Jest bardzo dumny z tego, co powiedział — wyjaśnia wychowawca Leopoldowi. — Jureczku, powiedz coś jeszcze.

— Dzień dobry panu — mówi Jureczek.

— Nie „panu” — poprawia wychowawca. — Powiedz: tatusiu. To twój tata.

Mężczyzna w golfie przygląda się Leopoldowi.

— To nie tata, to pan.

Leopold mówi łagodnie:

— Jestem twój tata.

— Nie, ty jesteś pan.

— Przed laty nazywał mnie tatusiem — zwraca się Leopold do wychowawcy.

— Nastąpił regres.

— Dlaczego?

— Starzeje się. Nie jest w stanie niczego nowego już się nauczyć, a starych rzeczy zapomina.

— To beznadziejne. Chyba sobie pójdę — mówi Leopold nie patrząc na syna. Grzebie w kieszeni palta aż wreszcie znajduje torebkę. — Przyniosłem ci czekoladki — mówi.

— Czekoladki — powtarza mężczyzna zaglądając do torebki.

— Wiesz, co ci tata przyniósł? — pyta wychowawca.

— Czekoladki — odpowiada Jureczek i uśmiecha się. — Grzeczny Jureczek — dodaje.

— A co się mówi? — podpowiada wychowawca.

— A co się mówi? — pyta jak echo Jureczek.

— Mówi się dziękuję.

Błysk zadowolenia rozjaśnia oczy mężczyzny w szarym golfie. Uśmiecha się przymilnie.

— Mówi się dziękuję — powtarza.

— To powiedz dziękuję.

— Dziękuję. Mówi się dziękuję. Grzeczny Jureczek — dodaje od razu.

— Musi się go zawsze pochwalić, albo sam się pochwali — tłumaczy wychowawca. — Jureczku, tata odchodzi. Co się mówi?

— Dzień dobry panu.

— Do widzenia — przypomina wychowawca. — Powiedz do widzenia.

— Ty powiedz — zwraca się mężczyzna do Leopolda. — Ty mów, potem ja.

— Do widzenia, synku.

— Do widzenia panu — odpowiada syn i dodaje: — Grzeczny Jureczek.

Leopold cofa się tyłem, ale syn w ogóle go nie zauważa, tylko ogląda torebkę z czekoladkami. Zachowuje się tak, jakby miał do Leopolda urazę, odwraca wzrok, myśli: „nie chcę pana znać, tatusiu”.

W gabinecie lekarza podają Leopoldowi kawę po turecku.

— Jak go pan znajduje? — pyta doktor.

Niepełniona wina leży ciężarem w piersi.

— Czy on ma do mnie żal? — zapytuje Leopold. — Tak

dziwnie patrzył.

— Nie, on nie zna pana — uspokaja lekarz. — Kiedyś znał, ale zdążył zapomnieć.

— A gdybym był przychodził codziennie?

— Sprawiłby pan tylko kłopot nam. Byłby pan konkurentem dla wychowawcy. On nie wie, co to jest tata. Coś dobrego, zapewne.

— Ale nazywał mnie kiedyś tatą.

— Bośmy mu kazali.

— Czasami bywał czuły — wspomina Leopold z trudem powstrzymując łzy.

Lekarz i wychowawca milczą.

— Skąd te sińce? — pyta nagle Leopold. — To ucho! Jest wyraźnie pobity.

Wychowawca kiwa głową.

— Tak, trzeba go było uspokoić. Ma czasem niebezpieczne zachcianki. Nie rozumie perswazji, ale przyjmuje karę.

Boże mój, myśli Leopold, usuń go bezboleśnie z tego świata.

— Czy nie jest potem rozgoryczony? — pyta nieśmiało.

— Jest, oczywiście. Ale nie na długo. Wystarczy go za coś pochwalić i zaraz uśmiecha się. To dobry chłopak, naprawdę dobry.

— A te skaleczenia?

— Golenie. Bardzo trudno go ogolić. Wierci się. A lubi być ogolony. Lubi lustro — opowiada wychowawca. — Wie pan — przechyla się nagle do Leopolda — ostatnio on jest znowu bardzo niespokojny. Znowu tamte sprawy...

— Popęd płciowy?

— Stale wraca ten sam problem. Traci panowanie nad sobą. Rzucił się na pomocnicę kucharki.

— Te sińce to po tym?

— Tak.

Leopold zwiesza głowę. Mój drugi syn, myśli, siedzi w więzieniu, bo odczytał ulotkę na wiecu uniwersyteckim. Dumny jak jasna cholera! Szczęśliwy. Jego dziewczyna nie może doczekać się uwolnienia, żeby mu paść w ramiona. Mój biedny Jureczek, myśli.

— Wie pan — odzywa się niepewnie wychowawca. — Jest tu w miasteczku jedna, co zgodziła się go odwiedzać. Była już raz, wszystko dobrze poszło... Ale rozumie pan, zakład nie ma na to środków.

— Przywiozłem trzy tysiące złotych — mówi cicho Leopold.

Wychowawca przelicza banknoty. Leopold otrzymał je od dwóch kudłato-brodych studentów, którzy odwiedzili go przedwczoraj. Studenci zebrali pieniądze na adwokatów aresztowanej

młodzieży. Adwokata dla Zbyszka opłaciła Anna, więc Leopold spytał chłopców, czy nie może tych pieniędzy przeznaczyć na Jurka. Odpowiedzieli, że to jego sprawa, co z tą sumą zrobi, on sam wie najlepiej.

— Wspaniale, część niedziel mamy załatwionych — mówi wychowawca. — Ona, wie pan, zrobiłaby to nawet za darmo, bo go bardzo polubiła, powiada że Jureczek jest delikatny, namiętny, że jej się podoba, ale to odwiedzanie go związane jest z kosztami, bo Jurek lubi jak ona się kolorowo ubiera, bardzo reaguje na mocne perfumy, lubi też coś na niej podrzeć. A w ogóle to ona mówi o nim z czułością. Ma wiele zalet, których nie mają inni jej klienci. Na przykład: nie pogardza nią. Nie klnie. Nie jest zazdrosny. Jest posłuszny. I nie ma innej poza nią.

— Jakaś dobra dziewczyna. Czy jest ładna?

Wychowawca spogląda na lekarza. Ten rozkłada ręce.

— Trochę chuda — decyduje wychowawca. — I nos przydługi. Chuda i mała.

— Wyobrażałem ją sobie jako rozłożystą samicę.

— Nie — odpowiada z uśmiechem wychowawca. — Nie ten rozmiar: mała i chuda. Ale Jurek jest zadowolony — za pewnia.

Nie ma na tym świecie kogo przeklinać i komu pięścią wygrażać, myśli Leopold. Nikt tu nie zawinął. Ani nawet ty sam.

— Jeszcze kawy? — pyta lekarz.

Leopold wspomina oczy swego syna-idioty, były pełne żalu. On coś czuje, coś wie, myśli Leopold z lękiem. Mówi cicho:

— Następane pieniądze prześlę pocztą.

Morderstwo musi być dośnione do końca. Żaden huk, żadne litościwe dzwonki nie ratują go od śmierci. To, co budzi, to nieistnienie. Telefon milczy uporczywie, od tygodni. Wyje sygnał, mechanizm jest w porządku, to tylko on, Leopold, nikomu nie jest potrzebny. Zapomnieli o nim wszyscy. Nikt nie ma do niego żadnych spraw. Nawet człowiek, który był mu się przedstawiał jako Marek Marczewski. Jedyna łączność ze światem to adwokat i lekarz. Adwokat zapewnił go, że Anna wkrótce otrzyma widzenie z synem. Lekarz był nazbyt ożywiony, żeby to mogło nie wzbudzić podejrzenia. Zacierał ręce, powtarzał mu „czujemy się lepiej” chociaż na wszelki wypadek radził na siebie uważać i zalecił nosić w kieszonce nitroglicerynę. Kudłatobrodzi studenci nie pojawiają się, nastąpiła pora kolokwiów, ćwiczeń, pracowni, a zbiórki pieniężne to działalność nieefektywna i nudna. Nie odzywa się również Kamiński. Leopold dwa lub trzy razy widział jego nazwisko w gazecie, a więc rozluźniło się wokół niego, przypomniano sobie o jego istnieniu, to dobrze.

Tylko u mnie bez zmian, myśli, nie jestem pisarzem, nie mam nazwiska, nie stanowią żadnej wartości kulturalnej, nie mają o kogo zabiegać. Ale nie roztkliwiaj się, stary, strofuje sam siebie, bądź zadowolony, że tamtemu jest lepiej, ten promyk ciepła i ciebie może ogrzeje.

Włączając się po mieszkaniu sprzecza się od rana z reprezentantami reżymu. Czasem napór argumentów rozsadzi ściany milczenia i wtedy wystrzeli głośno jakieś mocne słowo. Leopold jest sarkastyczny, odkrywca, zasypuje swych antagonistów celnymi sformułowaniami. Nie są nawet w stanie zrozumieć, do czego doprowadzili, biedne, beznadziejne jęłopy. Wymigują się od odpowiedzi, wykręcają, mięknią, poddają. Zapala gaz, parzy herbatę. Czemu nikt nie dzwoni? Nastawia radio: Londyn. Ze sceptycyzmem relacjonują zamierzone w Polsce reformy ekonomiczne. Są konieczne — ale czy osiągną swój cel? I czy to wszystko nie jest spóźnione w kraju zbankrutowanym? Leopold przedstawia na muzykę z Wiednia. Człowiek, który przedstawił mu się jako Marczewski, zapomniał o nim całkowicie. Leopold odkrywa ze zdumieniem, że nie buntowałby się przeciw jego wizycie. Obiad we dwóch? — proszę bardzo. Kilka kieliszków żytniówki, *pourquoi pas?* Facet właściwie zabawny, i może służyć do przekazania naszego niezadowolenia. Gęba raczej ludzka. Byłoby przynajmniej do kogo pysk otworzyć. Gdybym spróbował skomponować dla Marczewskiego zarys pracy magisterskiej? — myśli. Dziwny pomysł, zdumiewa się, można by pomyśleć, że mi go brak. Gdzie jesteś, mój Bliźniaku? Człowiek, który stracił swój cień — myśli Leopold o sobie.

Otóż nie, cień odnalazł się. Dzwoni telefon i Leopold podnosi słuchawkę, a serce bije tak, jak gdyby wydzwaniała upragniona dziewczyna. „Czy mówię z panem Pińskim Leopoldem?” „To ja. Witam”. „Marczewski”. „Ależ poznałem” — zapewnia Leopold. „Czy można do pana wpaść?” „Kiedy? Może pan przyjdzie na obiad?” Nie, tamten nie chce na żaden obiad, chce przyjść przed południem, a więc zaraz, za kwadrans. „Musimy z sobą porozmawiać”, mówi.

Przychodzi w kożusku i w futrzanej czapce. Buty zabłoczone. Leopold podsuwa mu ścierki i zaprasza szerokim gestem w głąb mieszkania. Bliźniak rezygnuje z kawy, koniaków, wszystkiego co towarzyskie. Podaje Leopoldowi zadrukowaną kartkę papieru. Druk niewyraźny, marna odbitka powielaczowa. Leopold przebiega wzrokiem tekst.

— Wie pan co to za poemat? — zapytuje Marczewski.

— Jakaś ulotka czy odezwa.

— Zgadza się. A czy pan zna ten tekst?

Leopold kręci głową.

— Nie — odpowiada

— To jest odezwa, którą przeczytał na uniwersytecie pański syn.

— Tyz piknie, że zacytuję pana... Ale on chyba tego nie pisał.

— A kto to pisał?

— Nie wiem, mówiłem już panu. Panie Marku, a dlaczego pan się tak tym interesuje?

— Bo mnie powierzono wyświecenie tej sprawy.

Teraz zalega milczenie, bo powiedziano coś, co należy w spokoju przetrwać. Niezła piguła na dzień dobry. Więc odsłonił się nareszcie, rzekomy pan Marczewski, myśli Leopold. Ale po co? Jaki ma w tym cel? Trzeba postawić kropkę nad „i”. Leopold pyta:

— Czy mam przez to rozumieć, że pan pracuje w organach śledczych?

— Tak. W stopniu kapitana.

— Nisko.

— Jestem jeszcze młody.

— Słusznie. Swoją drogą, lepiej by dla pana było, gdyby pan pisał jakąś pracę magisterską.

— Jeszcze kiedyś napiszę.

— Ale nie rozumiem, dlaczego pan z tym do mnie przychodzi.

— Chcemy, żeby pan pomógł nam dotrzeć do autora odezwy. Pański syn ją odczytał — trudno, wygłupił się szczeniaki, młody, zapalny, dał się wciągnąć, można będzie ukrećić łeb sprawie. Ale ten, który tę odezwę ułożył, to jest kawał skurwysyna, łajdak zaciekły i pan, jako stary odpowiedzialny funkcjonariusz, powinien to zrozumieć. W końcu włożył pan kawał życia w naszą sprawę i nie powinien pan pozwolić, żeby jakiś szczył na usługach reakcyjnej emigracji...

— Chwileczkę — przerywa Leopold. — Skąd pan bierze, że to pisał człowiek młody?

— Tak myślę. Kontakty ze studentami... Swoją drogą.

— Aha, rozumiem. To prawdopodobne — mówi w zamyśleniu Leopold. Spogląda na swojego rozmówcę, na którego twarz maluje się pełne napięcia wyczekiwanie. — Ale w tekście nie widzę nic ani reakcyjnego ani emigracyjnego.

— Jest zwrócony przeciw władzom bezpieczeństwa.

— Owszem, ale raczej w imię interesów socjalizmu.

— Dla niepoznaki! Nie napisze panu przecież taki otwarcie, że przywracacie rodacy kapitalizm, oddajmy się w pacht imperializmowi i w ten deseń. Ale fakt jest, że jak się uderza w bezpiekę, to uderza się w socjalizm.

Leopold czyta jeszcze raz tekst.

— Nie — konkluduje. — Nie zgadzam się z panem. To mi wygląda na krajową robotę.

— Ale z czego pan to wnosi?

— Takie wrażenie.

— Słusznie, tu nawet wrażenie jest ważne. Widzi pan, jak pan mógłby nam pomóc!

— Dlaczego właśnie ja?

— Bo pan ma w tym swój interes.

— Żadnego.

— Jak nakryjemy autora, to zwolnimy syna. Obiecuję panu.

— Wspominaliście o tym synowi? — zapytuje Leopold.

— Tak.

— I nic?

— I nic — potwierdza kapitan.

— Chcecie więc, żebym ja zrobił to, na co się nie zgodził mój syn! Nie ma w tym logiki...

— Ale pan jako stary towarzysz...

— Proszę mi o tym nie wspominać! Zmieniło się! Zostałem wydalony z partii za to, że wychowałem syna na syjonistę.

— Zwariowali, panie Leopoldzie — tłumaczy dobrotliwie Bliźniak. — Po prostu dostali hyzja, przecież pan wie, co się działo. Czy pan myśli, że ktoś wierzy w te bzdury?

Więc gdzie są winni? — myśli Leopold. Kto w końcu za ten balet czarownic odpowiada?

— Dobrze, nie wracajmy do tego — odzywa się Leopold.

— Ale pan rozumie, że ja autora tego tekstu szukać nie mogę, bo jestem po jego stronie.

— To nie takie ważne — odpowiada kapitan. — Z nami współpracują także nasi przeciwnicy. — Jego oczy robią się naraz senne, ociężałe. — Nie samą perswazją się rządzi, potrzebny jest czasem i przymus. Mamy swoje sposoby, niech mi pan wierzy.

— Na mnie nie ma sposobu.

— Znajdziemy go i na pana. Tak, panie Leopoldzie, skończy się nasza przyjaźń.

— Nie lubię, kiedy mi grożą.

— Niech się pan jednak zastanowi. Nikt nie jest bez grzechu — i pan także.

— Nic mi nie możecie zrobić, panie kapitanie. — Leopold mówiąc to czuje, że naprawdę się teraz nie boi. — Ja swoje pożyłem... Żony nie mam, syn dorósł, kończy studia, da sobie radę. Mogę odejść w każdej chwili, serio, wcale mi na życiu nie zależy.

(W zieleni. W soczystej trawie. Żeby gdzieś w pobliżu kołysały się słoneczniki.)

Marczewski milczy.

— Jesteście wobec mnie bezbronni — mówi Leopold.

Wydaje się, że tamten jakby kiwnął głową. Ale oczy wciąż są senne i Leopold wie, że ta senność jest groźna.

— Mam trochę zubrówki — proponuje kapitanowi gospodarz domu.

Teraz Bliźniak ożywia się i naprawdę kiwa głową. Nadpiwszy nieco powiada:

— Ja osobiście panu sprzyjam, niech mi pan wierzy. Chciałbym, żeby i syn był na wolności i żeby w ogóle. Ale tego od ulotki przyskrzynić musimy. On atakuje nas, pracowników służby bezpieczeństwa i jest to kwestia naszej ambicji. Przecież dlatego pański Zbyszek jest poszkodowany: szefowie są na niego cięci! Wie pan, jak to jest. Gdyby odezwa tylko ustrój szkalowała, politykę, partię, tegośmego, jakoś by szybciej chłopiec wyszedł na swoje. Ale nikt nie lubi jak w niego samego uderzają, powiedzmy sobie w cztery oczy. — Bliźniak przymila się, namawia, ustępuje, składa ofiary z przełożonych. — Wszyscy widzimy, co się dzieje: zachęcają naród do krytyki, ale spróbuj pan kogoś ważnego zacześcić, od razu podskoczy i wrzaśnie że opozycja! A kto w tym kraju nie jest ważny, pytam? Tak jest od góry do dołu.

— A pan pierwszy pomoże krytykę stłumić.

— Takie porządki — wzdycha Bliźniak. Bierze odezwę do ręki, przebiega wzrokiem tekst. — Pan tego przedtem nie czytał?

— Nie.

— No, ale teraz pan przeczytał i już wie. Przypuśćmy, że to pan prowadzi śledztwo: od czego by pan zaczął?

— Od czego? — Leopold zastanawia się. Zubrówka pachnie mocno gorzkim zieleń. Robi mu się od niej ciepło, myśl się rozpodnieca. — Od zbadania stopnia uczuciowego zaangażowania autora w sprawę, o których pisze.

— W sprawę socjalizmu? — zapytuje Marczewski.

— Tak. — Jednak on zaczyna rozumieć, o co idzie.

— I na tej podstawie właśnie określił pan autora jako zwolennika socjalizmu?

— Właśnie. Którego przeraził nurt faszystowski, płynący zresztą od was, panowie z bezpieczeństwa.

— Gdzie pan widzi to przywiązanie do socjalizmu?

— Tutaj. — Leopold zaznacza paznokciem zdanie: „Socjalizm — z tego, czym miał być, to znaczy z opieki nad słabszymi — przerodził się...” i tak dalej.

— I co pan o autorze sądzi? — zapytuje z uśmiechem kapitan.

— Marzyciel.

— Ja też tak myślę. A dlaczego pan uważa, że to człowiek ze starszego pokolenia?

— Tego nie powiedziałem. To jest tylko możliwe, ponieważ wydaje mi się, że młody człowiek sformułowałby całą rzecz inaczej.

— Jak?

— Tego też nie wiem. Miałoby to inną temperaturę. Nizszą i zarazem bardziej lekkomyślną, bardziej ironiczną.

— Aha. To powiedzmy, że teraz chce pan ustalić, do jakiego pokolenia należy autor. Co dalej? No, gdyby pan prowadził śledztwo...

— Przede wszystkim poddałbym tekst analizie.

— U nas też tak mówili. Zbadać słownictwo przy pomocy komputera.

— Nadmiar fatygi. Jest jeszcze inny sposób. Tuż przed wojną zmieniono w Polsce przepisy ortografii. Ludzie, którzy ukończyli gimnazja przed tą zmianą, nigdy nie nauczyli się pisać według nowej.

— Widzi pan tu jakieś błędy? — zapytuje kapitan podsuwając kartkę.

— Nie znam się na tym — odpowiada Leopold i zwraca odezwę.

— W porządku, zajmę się tym osobiście. Teraz przypuśćmy, że pan już sobie wszystko ustalił i wyszłoby, że autor jest komunistą i że starej daty, to co pan robi dalej?

— Umarzam śledztwo.

— Nie sztuka.

— Ja jednak umorzyłbym. Co to komu szkodzi, że stary głupiec pisze marzycielskie teksty? Związku z wywiadem obcym to nie ma, Willy Brandt wybiera się do Polski, naród trzymacie za mordę skutecznie jak nigdy — po co to ciągnąć? Żeby wykonać plan?

— Sprawę trzeba doprowadzić do końca.

— Za mało danych, za dużo podejrzanych. Musi ktoś albo spytać, albo sam się przyznać.

— Ja jednak spróbuję — mówi Marczewski wstając.

— Proszę bardzo.

— W każdym razie dziękuję za wskazówki. Bardzo mi pan pomógł — mówi Bliźniak. I zapowiada: — Zgłoszę się jeszcze. Leopold milczy. Tym razem wie, że już nie będzie tęsknił za

swoim cieniem. Nawet, gdyby miał całe życie spędzić samotnie.

— Więc już pracuję, tak, mam umowę, trzy słuchowiska radiowe, jedno już zatwierdzone, następne w drodze. Przerabiam swoje stare opowiadania, odzydzam je bez miłosierdzia, okazuje się, że można, szczególnie te o miłości, ludzie cierpią bez względu na pochodzenie, pracuję uporczywie, nie zdechnę z głodu i nie wyjadę, wycofam podanie o paszport, wolę tu kiblować, już pracuję, już tworzę, pojawiają się postacie, obcuje z nimi, mówią za mnie, kochają, napawają się szczęściem, jestem inny, chyba zauważyłeś, kobiety na przykład z miejsca to spostrzegły... Wyjadę i co? Tłumacz się wszystkim ze swojego uporu, ze swojej nie odwzajemnionej miłości do tej ziemi, do tego języka, do jego poetów, do historii tego kraju, tłumacz się i usprawiedliwiaj, nie zrozumiej, powiedzą wariat, tłumacz im, że o narodzie nic nie wiemy, naród jest niemową, a zresztą naród, naród, mój Boże, czy ja wiem... Kilka miesięcy temu zadzwonił do mnie pewien emerytowany nauczyciel, polonista, astmatyk, poczciewicz, który dał mi na kilka nocy metę podczas okupacji. „Panie literacie — powiada — czy nie potrzeba panu pięciuset złotych?” A wymawia to tak, jakby skandował, monotownie, wszystko z zażenowania. „Nie — powiadam — dziękuję”. „Proszę powiedzieć prawdę”. „Nie, dziękuję, naprawdę, jeszcze się trzymam”. „Więc proszę pamiętać, gdyby zaszła potrzeba, proszę do mnie zadzwonić, chętnie pomogę”. A ty myślisz pewnie, że to jakiś krezus — nie, Leopoldzie, dwa tysiące renty miesięcznej, w domu głodno, na utrzymaniu siostra-staruszka, okaleczona, on prowadzi gospodarstwo, ten dziwny człowiek, trochę astrolog i metafizyk, trochę hipochondryk. Podczas okupacji prowadził Żydów z getta, przez jego ręce przepływały ogromne sumy, sam żył niemal w nędzy, uratował setki osób, ale kiedy przyszedł czas wynagradzania, właśnie o nim zapomniano i nie ma w Izraelu drzewa sprawiedliwości z jego nazwiskiem, o takim zawsze się zapomni. A teraz: „czy nie potrzeba panu pięciuset złotych?” Ktoś powiedział, że w więzieniu siedzą zawsze ci sami, otóż pomagają ludziom też zawsze ci sami. Oczywiście, nie zadzwoniłem po to wsparcie i wyobraź sobie, minęło, kilka tygodni, znowu on dzwoni, pyta co słyhać, ja mówię że nieźle, „panie literacie — on na to — czy nie potrzeba panu pięćset złotych?”, ja zaprzeczam, a w gardle mnie dusi i trochę śmiać się chce. Nie wyjadę, pomyślałem, zostaję, kicham na te wykłady. „Proszę pamiętać, gdyby trzeba było — skanduje po swojemu bezmelodyjnie — to proszę do mnie zadzwonić”. Dziękuję i pytam jak układają się konstelacje, a on na to, że poprawa powolna ale stała, bo Saturn to a Jowisz tamto. Co to znaczy

poprawa, męczę go, jak dla mnie poprawa to dla łajdaków gorzej. „Tak jest — odpowiada bez wahania — właśnie horoskop kieruje się zasadami etycznymi, ludzkość utożsamiana jest z osobnikami o wysokim poczuciu moralności”. Wywinął się. I teraz stale, kiedy mnie chandra dopadnie, przypomina mi się mój astmatyczny rencista, mój zyczący ludziom astrolog i słyszę jego monotonne „panie literacie, czy nie potrzeba panu pięciuset złotych” i to mi wystarcza. Musi wystarczyć. Nie będę już nigdy tym Kamińskim, którym byłem. Wyrażam zgodę na niewiele. Byle żyć i pracować. Nie jest to bynajmniej postawa łatwa, taka zgoda na niewiele, małe zwycięstwa budzą tęsknotę za większymi, i wciąż trzeba sobie przypominać o tej filozofii na dzień dzisiejszy, kiedy się czyta, że ktoś odniósł sukces, że z kimś przeprowadzono wywiad, komuś dano nagrodę, ktoś noszony jest na rękach, tu pokazuje twarz, tam słychać głos, tam wymieniono, tam wspomniano a ty jesteś poza tym wszystkim, zepchnięty na margines, jak obcy, jak „liszeniec”, ale nie wolno się tym przejmować, trzeba zagłuszyć w sobie resztki infantylnych ambicji, trzeba powtarzać sobie, że wszystko marność, czytać Eklezjastę, przypominać sobie kim byłeś kilka tygodni temu, i nie mów, że ta zgoda na niewiele zrodzona jest z przestachu, nie, raczej z okrutnego doświadczenia (*Stoneczniki nas zakryły, wdarłem się w nią i ogarnęło mnie ciepło, pamiętam narastające, zachłanne łałowanie, czuję je wciąż, zalewa mnie, przymykam powieki, rytm westchnień, nabrzmiewanie jęku, spojrzę na nią, widzę żółte płatki stoneczników, czuję cierpki zapach łądy, rozkosz była ostra i krótka, ona uśmiechała się dumnie, jakby odniosła zwycięstwo, chciałem zdrzemnąć się w jej objęciach, słodycz sklejała mi powieki, szarpnęła mną, nie pozwoliła, porządkowaliśmy w milczeniu mundury*), tak, doświadczenia... Bo oto okazało się, że po latach pracy może nastąpić katastrofa bez uzasadnienia, coś absolutnie niezrozumiałego, cyklon cię nagle pcha do morza, nawałnica pozbawia cię gruntu pod nogami. Gdybyż to było coś w rodzaju rewolucji, czyli zmiany ustroju siłą, mógłbyś sobie powiedzieć, że jesteś ofiarą krwawego postępu, ty tracisz, ale taka jest zapłata za przynależność do ginącej warstwy. Nic takiego jednak u nas nie zaszło. Ich przewrót nie zmienił w niczym ustroju, nie zniósł żadnego urzędnika, nie wprowadził nawet reform, miał charakter wyłącznie mafijny, a ty płacisz nie za postęp, ale dlatego, że cię wybrano na kozła ofiarnego. To jakieś Fatum wskazało na ciebie „gini”. Więc ginąłem, tonąłem i wydawało się, że nie ma ratunku. I naraz znalazłem się na mieliźnie, czuję znów grunt pod nogami, prawda że nieco rozmiękły. Oddycham, pozwalają mi żyć, czasem ktoś podsunie mi loda, żebym

sobie liznął, i chociaż wiem, że już nigdy nie otrząsnę się ze smutku, myślę sobie: byle nie tonąć. Zgoda na niewiele. Niewiele — to więcej niż nic.

Od rana — niepokój w okolicy serca, ukradkowy, podstępny. Pojawia się nagle, chwilę trzyma w bolesnym skurczu, przygarbia całą postać, i nagle rozluźnia się i rozplywa, zamienia się w ciepło, można się wyprostować. Teraz taki nagły skurcz wraca na widok kapitana Marczewskiego, który stoi w drzwiach w kożuszku i futrzanej czapce, wydyma pełne, spieczone od zimna wargi, a jego wodniste oczy spoglądają ociężale i niestety sennie.

— Nie zapowiadał się pan kapitan — odzywa się nieprzyjaźnie gospodarz domu.

— Wiedziałem, że pana zastanę.

Jestem pod obserwacją, domyśla się Leopold.

— Coś ważnego? — zapytuje.

— Dosyć — przyznaje Bliźniak. — Pozwoli pan, że przejdę do mieszkania?

Nie czekając na odpowiedź rusza przed siebie. Siada w fotelu, wskazuje Leopoldowi miejsce naprzeciw, to on jest tu gospodarzem a Leopold nieśmiały petentem. Leopold próbuje ratować swoje stanowisko, proponuje żubrówkę, propozycja odrzucona, kapitan otwiera aktówkę, wyjmując jakieś zapisane papiery, rozkłada duży czysty arkusz w kratkę, na którym wypisuje u góry dzisiejszą datę. Leopold przygląda mu się w milczeniu, czuje wzbierające gorąco, wyciera wierzchem dłoni pot z czoła. Kapitan nie podnosząc oczu znad papierów odzywa się:

— Pański syn wyjdzie dziś na wolność, wie pan o tym?

— Pan nie żartuje?

— Nie. O szesnastej trzydzieści będzie zwolniony i odtąd przejdzie pod nadzór milicyjny.

Leopold obmacuje okolice serca.

— Kto to załatwił? — pyta łowiąc z trudem oddech.

— Nie ja, gwarantuję. Pewnie żona. Nie zawiadomiła pana o tym?

— Nikt mnie o niczym nie zawiadamiał.

— Dziwne. Chociaż... może nie tak bardzo. Pański syn zyskał sobie uznanie władz, a pan może by mu to odradzał.

— To znaczy? — Ustąpiło, myśli Leopold dotykając klatki piersiowej. Teraz tamten może sobie gadać, co chce.

— To znaczy, że chłopak poszedł po rozum do głowy i napisał oświadczenie, że zrozumiał swój błąd, że żałuje i że całkowicie zgadza się z linią partii.

Powiedziawszy to kapitan podnosi na Leopolda swoje senne oczy.

— Mądrze zrobił — mówi Leopold. Myśli: mój syn, Zbyszek — czy to aby prawda?

— Jasne, że mądrze — przyznaje kapitan. — Po co ma gnść w więzieniu?

— Zdaje się, że pan nie wierzy, żeby on naprawdę mógł się zgadzać z linią partii.

— Pytania zadaje ja — odpowiada natychmiast kapitan. — Słuchał pan dziś radia? — zapytuje mimochodem.

— Jeszcze nie. A jest coś ważnego?

— Nie, nic — mówi obojętnym głosem kapitan. Coś się dzieje, decyduje Leopold, coś co tamtego obchodzi. Może jakaś nominacja? Kapitan zagłada do notatek: — Jeśli pan pozwoli, wrócę do sprawy autorstwa odezwy.

— Pozwalam.

— Zrobiliśmy tak, jak pan nam radził. Ekspertyza ortograficzna wykazała niezbicie, że autorem powielonego tekstu jest człowiek powyżej pięćdziesiątki lub ktoś, kto rozmyślnie za takiego chce uchodzić. Charakterystyczny jest sposób pisania słowa „pojedynczy” ze znakiem zmiękczejącym „n” oraz — Marczewski zagłada do papierów i cytuje: — „oraz łączne pisanie zaprzeczenia 'nie' z imiesłowami strony biernej”.

— Fachowo zredagowane — stwierdza Leopold.

— Ma się doborową kadrę. Następnie już ja sam zbadałem frazeologię i postulaty odezwy, także według pańskiej rady. Doszedłem do wniosku, że autorem jest sentymentalny komunistą starej daty, poza tym fachowy marksista.

— Nie mówiłem?

— Mówił pan! Wiele zdań z tej odezwy zabrzmiało mi znajomo.

— Obraca się pan w podejrzanym towarzystwie.

— Z konieczności. Ale za to już wiem, kto zredagował pańskiemu synowi odezwę.

— Kto?

— Pan.

Leopold mruczy:

— Rewelacja. — Po chwili: — Podziwiam przenikliwość. Serce spokojne, bije miarowo, jak gdyby mowa była o kimś obcym.

— A jeśli zaprzeczę? — odzywa się Leopold.

— Nie zaprzeczy pan. Za późno. Podpisze mi pan zaraz zeznanie jak ta lala. Przecież to pan od pierwszej chwili mnie na swój trop naprowadzał. Proszę przeczytać zdania podkreślone w tekście. Kto cytował te dwa artykuły Konstytucji z pamięci? Artykuł siedemdziesiąty pierwszy: „Polska Rzeczpospolita Lu-

dowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji”. Pamięta pan to?

— Pamiętam.

— Albo taki kawałek: „Drżą przed naprawą Rzeczypospolitej, bo wiedzą, że każda próba naprawy musi pociągnąć za sobą klęskę osobników, których jedyną legitymacją jest szantaż”. Mówił pan coś podobnego?

— Chyba tak.

— Nie chyba. Na pewno! A tutaj: „Dłuższa dominacja tępa-ków musi skończyć się katastrofą na skalę ogólnonarodową”. „Krzywdziciel nie zastanawia się nad mechanizmem krzywdy i jest zawsze o krok w tyle za krzywdzonym”. Przecież to wszystko pańskie słowa!

— Pan zapomina, że mogłem je sobie przyswoić i powtarzać za ulotką.

— Nie, nie zapominam. Ale pan oświadczył wyraźnie, że nie czytał pan tego tekstu.

Leopold milczy. Potem uśmiechając się mówi:

— Rzeczywiście tak oświadczyłem. Całkiem niepotrzebnie.

— Podpisze pan zeznanie?

— Podpiszę.

— Brawo. — Kapitan jest zachwycony. — Z panem to przynajmniej nie ma kłopotów. Inni to kręcą jak małe dzieci.

— A ja jestem stary koń. Ale zanim mnie zamkną, chciałbym się zobaczyć z sypem.

— Załatwione — zgadza się od razu Bliźniak. Pisze coś zawzięcie, nagle przerywa i podnosi głowę. — Panie Leopoldzie. Dlaczego pan sam nas naprowadzał na ślad? Życie się znudziło?

— Nie.

— Dla zabawy?

— Trochę.

— Ale pan nie jest z tych, co lubią hazard?

— Powiem panu coś w zaufaniu: nie noszę fuszerki.

— Rozumiem i przyjmuję cios. — Bliźniak skłania elegancko głowę.

— A poza tym denerwowało mnie to, że mnie macie za chuja.

— Tyz piknie. Czyli z próżności?

— Każdy nią trochę grzeszy.

— Aż tak, żeby popełnić samobójstwo?

— Jeszcze żyje, panie kapitanie. Pan zapomniał, że ja raziłem umorzyć śledztwo.

Kapitan stawia ostatnią kropkę na zeznaniu. Podsuwa Leopoldowi zapisany arkusz. Leopold czyta, że „ja, niżej podpisany, zeznam iż...” Mniejsza, Marczewski nie obciąży go ponad miarę.

— Na dole? — pyta Leopold.

— Tak. Tutaj.

Leopold podpisuje.

— Zeznanie złożę jutro — przyrzeka kapitan. — Będzie pan miał cały wieczór i noc dla syna.

Przez chwilę obaj milczą. Nagle kapitan proponuje:

— Może nastawi pan radio?

Leopold kręci gałkami: Warszawa pierwsza — kompozytor tygodnia, Warszawa druga — pogadanka rolnicza. Marczewski interweniuje:

— Co tu szukać? Nastaw pan zagranicę. — Klnie wściekły:

— Psia ich mać z taką informacją! Nic dowiedzieć się nie można.

— Dzieje się coś? — zapytuje Leopold przerzucając się na krótkie fale.

— Tłuką się na Wybrzeżu. Strajk. Stoczniowcy demonstrowali, milicja strzelała, wojsko też dołożyło.

Leopold nie przestaje kręcić gałkami. Zapytuje cicho:

— A co na to aktyw? Co partia?

— Jaki aktyw? Jaka partia? Wszystko się rozleciało! Pochowali się do mysiej dziury. Gmach KW spalony. A tu ani słowa!

— Tss — ucisza go Leopold. — Złapałem.

— Co to jest?

— Londyn.

— O nas?

— O nas. — Leopold słucha w napięciu. Więc coś się ruszyło, szybciej niż myśleliśmy. *Riots in Poland. Heavy fighting in the streets.* Naładowana bomba nie wytrzymała temperatury, eksplodowała. — Komunikacja telefoniczna przerwana z całym Wybrzeżem — tłumaczy Leopold. — Coś się dzieje w Szczecinie. Nie wiadomo dokładnie co. Nie dopuszczają korespondentów. W Gdańsku są trupy i ranni. Dużo rannych. Pożary. Zmasakrowani milicjanci.

— Dlaczego ten ćwok się nie odezwie? — złości się kapitan. — Pewnie się tam rzuca, że naród niedobry.

Leopold nalewa Bliźniakowi żubrówki. Tamten wychyla w milczeniu. Potem zapytuje:

— Czym to się skończy?

— Kto to wie. Strajków jest podobno więcej. To pożar, panie kapitanie.

— Myśli pan?

— Klasa robotnicza pokazuje pazury. Z dawnego przyzwyczajenia, ja wciąż jeszcze w nią wierzę.

— Niech to cholera.

— To jest przełomowe wydarzenie, na pewno. Po raz pierwszy milicja i wojsko w państwie socjalistycznym strzela do strajkujących robotników. Nie jest to więc ich państwo, interesy rządzących i rządzonych stały się antagonistyczne.

— Mów pan po polsku!

— Teraz trzeba albo przyznać się otwarcie do tego, że robotnik nie ma u nas żadnych praw, albo szybko znaleźć winnych i to na górze.

— Pewnie, że na górze — podchwytuje Marczewski.

— I to u was.

— Dlaczego akurat u nas?

— A kto odpowiada za strzelanie do robotników?

Bliźniak milczy.

— Ja w odezwie swojej wszystko to przewidziałem — mówi Leopold. — Nie trudno zresztą było, nie ja jeden. Gdyby nas posłuchano... Ale nie, woleliście uznać wszystkich, którzy zwracali uwagę na zło, za wrogów reżymu, syjonistów, pan, dobry Polak, zamiast zaprosić mnie na wódkę, chce pan zdążyć mnie jeszcze wpakować do ula. Radzę całą rzecz przemysleć. Nie wiadomo jeszcze, co się stanie i pańska nadgorliwość może się obrócić przeciw panu.

— Co mi pan radzi?

— To, co radziłem od początku: zapomnieć.

— Dobry pan sobie!

— Nie ja podkopywałem władzę ludową, nie ja kazałem strzelać do robotników.

— To może ja?

— Jak przyjdzie czas obrachunku — mówi powoli Leopold — szepnę za panem słówko.

Bliźniak podnosi na niego wypukłe, senne oczy. Wymknąłem mu się, domyśla się Leopold, wymknąłem się i staje się groźny. Boi się mnie i nienawidzi. Teraz ma za co.

— Szepnie pan za mną słówko? — upewnia się kapitan.

— Przecież jesteśmy prawie przyjaciela.

— Tak, prawie przyjaciele — powtarza tamten.

I zdecydowanym ruchem drze papier z zeznaniem Leopolda. Na połówki, na ćwiartki, na strzępy, na strzępki. Potem układa z tego zgrabny stosik w popielniczce.

— Teraz dobrze? — pyta.

— Dobrze — odpowiada Leopold. — Dziękuję.

W milczeniu przechodzą do przedpokoju. Bliźniak nakłada kożuszek. Z czapką futrzaną w dłoni przegląda się w lustrze.

— Pan wie — zapytuje spoglądając w lustro — dlaczego pański syn wyszedł na wolność?

— Zadeklarował się jako zwolennik reżymu.

— Nie, panie Piński, to mało. Jego matka oświadczyła, że to nie pański syn.

— Plecie pan!

— Pod chajrem. Napisała do ministra spraw wewnętrznych list, w którym zeznała, że Zbigniew jest synem jej kochanka aryjczyka, podała nawet nazwisko, jakiś pański kolega oficer, i że wyszła za pana będąc już w ciąży. Prosiła więc, by wzięto pod uwagę, że syn jej nie ma w sobie ani kropli krwi semickiej i jako taki nie może być wrogiem Polski Ludowej.

— To nieprawda! — Leopold chce jeszcze coś krzyknąć, ale nagły ból obezwładnia głos. Chce dotknąć serca, które napiera na żebra, rozsadza je, ale dotknąć tak, by tamten tego nie zauważył, by nie mógł donieść o tym bólu swojemu generałowi.

— Pan nie ma syna, panie Piński — mówi Bliźniak obracając ku niemu sennie spojrzenie. — Pański ukochany Zbyszek nie ma z panem nic wspólnego.

— To nieprawda — szepcze Leopold.

— Ktoś jej dobrze dosunął, pańskiej szanownej małżonce, zawsze lubiła tę robotę, pan wie o tym dobrze, mam niezły rejestr jej kochanków. Wesola babka, nie ma co.

Leopold przymyka oczy. Słyszy, że zatrasnęły się drzwi. Opiera się o ścianę, czuje jak oblewa go gorąco, pot spływa strugami z czoła, ból rozpiera piersi. To nieprawda, myśli, nieprawda. On mścił się, kłamał, nienawidzi mnie, kłamał, kłamał, ale już za późno, prawda nic nie uratuje, przyciska się czołem do ściany, która moknie od jego potu, nitrogliceryna gdzieś daleko, w marynarce, tam, w szafie, daleko... Nie pamięta teraz, że marzył o zieleni, nie pamięta o słonecznikach, widzi odrapany ciemny stół, błyski ostrej czerwieni, kalejdoskop śmierci. Osuwa się powoli na podłogę otwierając usta do krzyku. Absalomie, synu mój — śpiewa zboląły starzec. A syn wisi w gałęziach ucepijony za włosy. I nagle gałąź się załamuje, osuwa się z trzaskiem na ziemię i nastaje cisza.

O godzinie szesnastej czterdzieści pięć telefon w mieszkaniu Leopolda odzywa się przeciągłym, upartym dzwonieniem. Nikt nie podnosi słuchawki. Syn Leopolda zwraca się do matki:

— Mamo, chyba tam nikogo nie ma. Czy ojciec mógł wyjść? A może śpi?

KORAB

Warszawa, 1971.

Archiwum polityczne

Doktryny i lojalności

Polityka nie jest grą emocji. Niemniej zbiorowe emocje polityk musi brać pod uwagę. Przez emocję należy rozumieć uczucia jak miłość ojczyzny, nienawiść do wroga, rozpacz, zapał, załamanie, itd.

Motywacja uczuciowa o identycznej nazwie w różnych krajach oznacza różne rzeczy. Tak na przykład polska nienawiść do Sowietów nie może być porównana z nienawiścią do jakiejś zdolni Wietnamczycy w odniesieniu do obcego najeźdźcy. Obserwatorzy zachodni, którzy na miejscu studiowali ten problem — są zdania, że w ocenie intensywności tej nienawiści nie można przesadzić. Pierwszą i fundamentalną motywacją północnych Wietnamczyków nie jest miłość ojczyzny, lecz nienawiść do wroga. Ta nienawiść nie tylko wyposaża ich w męstwo, lecz również umożliwia podejmowanie nadludzkich wysiłków. Na garstce ryżu ciągną kilometrami działa — przenoszą amunicję i sprzęt na plecach w terenach, które wydają się nie do przebycia. Zjawiali się wielokrotnie z ciężką artylerią tam, gdzie najpierw Francuzi a po nich Amerykanie oceniali, że — po ludzku biorąc — zjawić się nie mogą.

Wietnamczycy twierdzą, że mają za sobą dwa tysiące lat tradycji walki z najeźdźcą. Nasze tradycje tak daleko nie sięgają, lecz mamy również kilkunastowieczną tradycję walki z agresją. Jednak narody uformowane przez chrześcijaństwo są niezdolne do nienawiści na skalę wietnamską.

Na długo przed wojną odwiedzałem hitlerowskie Niemcy. Ponieważ nie byłem mężem stanu ani urzędnikiem MSZ, tylko dziennikarzem — przeczytałem również „Mein Kampf”, w której to książeczce Hitler odkrył z przerażającą szczerością swoją duszę i plany.

W nawiasach warto dodać, że w sierpniu br. w 27-letnią rocznicę śmierci Hitlera — „Mein Kampf” ukazała się w Anglii jako *paperback* w przekładzie angielskim.

Jeden z wybitnych historyków brytyjskich — omawiając w BBC tę „nowość” wydawniczą — zauważył, że być może dzieje naszego kontynentu potoczyłyby się inaczej gdyby Europejczycy wcześniej zapoznali się z tą książką we właściwym czasie.

Lecz po co dziś wydawać i czytać „Mein Kampf”?

Na powyższe pytanie historyk odpowiedziałby: historia uczy nas, że jeżeli coś co stało się raz — może się stać i drugi raz. By temu zapobiec trzeba przeczytać „Mein Kampf”.

Na łamach IKC ogłosiłem długą serię artykułów anty-niemieckich. Wiedziałem, że nie mogę wpaść żywy w ręce Gestapo. Lecz zarówno kiedy byłem dziennikarzem w Krakowie jak i później, kiedy byłem żołnierzem Brygady Karpackiej — głównym motywem mojego postępowania była miłość do Kraju a nie nienawiść do Niemiec.

Powszechna i głęboka nienawiść do wroga może stanowić ważną motywację działania politycznego zwłaszcza w prymitywnych warunkach. Amerykanie — jako naród technologicznie wysoko zaawansowany — w swojej strategii kładą nacisk na niszczenie przemysłu. Nowoczesne miasta jak Waszyngton czy Nowy Jork są w całości uzależnione od komputerów, które regulują dopływ prądu elektrycznego, gazu i czystej wody. Atak bombowy, który zniszczyłby owe centrale komputerowe — pogrzyżyłby dziesiątki milionów ludzi w całkowitym chaosie.

Zbombardowanie elektrowni w północnym Wietnamie nie przynosi podobnego efektu. Wietnam nie jest krajem przemysłowym tylko rolniczym i 70 % jego mieszkańców obchodzi się doskonale bez elektryczności, bez gazu i bez wodociągów.

Wietnamczycy umieją wykorzystywać naturalne otoczenie w sposób dla Amerykanów zarówno niezrozumiały jak i nieosiągalny. Pewien weteran kampanii wietnamskiej zauważył w wywiadzie radiowym: „Amerykanin w dżungli jest zgubiony — Wietnamczyk w dżungli jest u siebie w domu”.

Nienawiść jest uczuciem prymitywnym, anty-humanistycznym i sprzecznym z założeniami zachodniej kultury. Lecz nawet uwzględniając fakt, że Wietnamczycy nie należą ani do naszej rasy ani do naszej kultury — wydaje się, że nienawiść będą mogli przekuć na kapitał polityczno-militarny tylko tak długo, dopóki nie zostaną krajem przemysłowym.

Z chwilą gdy znikną dżungle a na ich miejsce wyrosną liczne fabryki — gdy znikną wioski zagubione w dzikim krajobrazie a na ich miejsce wyrosną nowoczesne miasta — Wietnamczycy przekonają się szybko, że mały naród na wyższym szczeblu rozwoju przemysłowego nie jest w stanie nienawiścią obronić swojej niepodległości.

Miasta i przemysły, które stanowią dorobek i bazę ekonomiczną narodu są — w przeciwieństwie do puszczy — niezmiernie „delikatne” i łatwo zniszczalne. Spalona dżungla odrasta. Nowoczesne miasta i centra przemysłowe można jednym atakiem bombowców obrócić w gruzy. Trzeba jednak pracy pokoleń, by odbudować straty kilkunastu dni wojny.

Jest nieporównywalnie łatwiej być niepodległym i wolnym w dżungli niż w zelektryfikowanym i skomputeryzowanym mieście.

Charakter narodowy — podobnie jak charakter jednostki ludzkiej — urabiany jest przez otoczenie. Inaczej reaguje naród w 70 % rolniczy a inaczej naród w 70 % przemysłowy. Im większa zamożność, tym większa skłonność do *appeasementu* i do kompromisu. Do skrajnych rozwiązań skłonni są ci, co mają niewiele do stracenia. Tylko ignoranci sądzą, że można być narodem wysoko uprzemysłowionym i równocześnie zachować niezlomność typu północno-wietnamskiego.

Gdyby ktoś czytał wyłącznie londyński *Dziennik Polski* i *Orla Białego* — musiałby dojść do przekonania, że nienawiść do Rosji (jakiegokolwiek Rosji) jest powszechnym rysem charakteryzującym ogół Polaków.

W interesującym szkicu „Polska Klasa Robotnicza” (*Kultura*, lipiec/sierpień 1972) — Ewa Wacowska wyjaśnia dlaczego wśród robotników polskich nienawiść do Rosji nie stanowi siły i dlaczego z biegiem czasu maleje fobia antyrosyjsko-antysowiecka.

Osobiście nad tym nie boję, bo z Rosjanami (nie ze stalinowcami) wcześniej czy później będziemy musieli się utożyc.

Na nienawiści nie można niczego budować ani planować. Nienawiść jest destrukcyjna i obraca się nieodmiennie przeciwko tym, którzy ją głoszą, odbierając im trzeźwe rozpoznanie i obiektywizm.

Nie chodzi o to by polscy robotnicy nienawidzili Rosjan. Chodzi natomiast o to, by robotnicy zrozumieli, że wolność i demokracja nie są wymysłem intelektualistów i inteligentów. Robotnicy muszą zrozumieć i przekonać się naocznie i namacalnie, że bez demokracji nie może być prawdziwych związków zawodowych a bez prawdziwych związków zawodowych nie jest możliwa obrona interesów robotniczych. Polscy robotnicy muszą wreszcie sami zrozumieć, że PZPR nie rządzi w ich imieniu, tylko rządzi za nich.

Nienawiścią nie można zastąpić braku dojrzałości politycznej i społecznej.



W sierpniu br. minęła 200-letnia rocznica pierwszego rozbioru Polski. Inicjatywa rozbioru wyszła od Austrii i Prus.

Wiedeń w owym roku 1772 przekształcał się w jedno z najświetniejszych ognisk sztuki i kultury europejskiej. Genialni kompozytorzy kładli podwaliny pod wiedeński klasycyzm, który miał obdarzyć nie tylko Europę ale i cały świat nowoczesną muzyką.

W roku 1778 Haydn miał 40 lat i stał u szczytu sławy i rozwoju. Mozart miał 14 lat i był już znakomitym kompozytorem i wirtuozem.

W Bonn, w domu przy ulicy Bonngasse Nr 515 (dziś numer 20) bawił się dwuletni chłopiec, przyszły wielki Wiedeńczyk, Ludwig van Beethoven. Austria miała nie tylko Haydona i Mozartów

lecz również 200-tysięczną armię. Natomiast Rzeczpospolita obojga narodów dysponowała armią 24 tysięcy.

Analizowanie przyczyn upadku Pierwszej Rzeczypospolitej nie jest zadaniem publicysty, ponieważ Polska przedrozbiorowa nie stanowi punktu odniesienia do współczesnej sytuacji. Nasze związki z Pierwszą Rzeczpospolitą są znikome. Moje pokolenie — podobnie jak pokolenie poprzednie — zostało uformowane przez tradycje i dzieje Polski poroźbiorowej. W tej epoce tkwią nasze korzenie.

Naród, który utracił niepodległość nie może prowadzić realnej polityki w potocznym tego słowa znaczeniu. Lecz tak jak człowiek ubogi musi być daleko bardziej rachunkowy niż człowiek bogaty — podobnie naród, który utracił niepodległość powinien myśleć bardziej obiektywnie i realnie niż narody suwerenne, które mogą przegrać kilka bitew i mimo to wygrać wojnę.

Doświadczenie historyczne wykazuje niestety, że utrata niepodległości zamiast sprowadzać myśl polityczną na ziemię — przenosi ją w chmury.

Nie ma i nigdy nie było polskiej nauki politycznej (*political science*). Mieliśmy natomiast różne polityczne i ideologiczne doktryny. Powyższy stan rzeczy spowodował, że Polacy nie mają jasnego rozeznania w pierwszeństwach lojalności. Hierarchia lojalności decyduje o politycznym wyrobieniu narodu.

Polacy na ogół są lojalni w stosunku do przywódców czy mężów stanu, którzy głoszą taką czy inną ideologię, a nie w stosunku do interesów narodowych obiektywnie rozpoznanych. Polacy byli lojalni w stosunku do Napoleona, Kościuszki, Piłsudskiego, Andersa itd., itp. Nadrzędność interesu narodowego ujawnia się ogółowi Polaków tylko w chwilach oczywistego, śmiertelnego zagrożenia.

Być może w interesie polskiej polityki leżałoby — by Księżę Józef Poniatowski zamiast skakać do rzeki przeszedł na stronę Cara. Nie twierdzą że należało tak zrobić. Twierdzą natomiast, że gdyby tak należało zrobić w ramach polskiego kodeksu politycznego, sprawa nie mogłaby być nawet przedyskutowana. Pierwszą lojalnością Księcia Józefa i wojska którym dowodził był Napoleon i jego „ideologia”. Ci, którzy hołdują ideologii identyfikują — często do absurdu — interesy narodowe z lojalnością wobec przywódcy.

Ideologicznie uformowany patriotyzm wysuwa na pierwszy plan cnoty „klasztorne” jak posłuszeństwo, niezłomność, wierność aż do śmierci itp. Każde odstępstwo od linii ideologicznej jest zdradą — każde realistyczne roztrząsanie możliwości innych rozwiązań politycznych piętnowane jest jako kręactwo i „zmiana frontu”.

Największym mirem i poważaniem cieszą się wśród nas ludzie, którzy od 33 lat nie zmienili swych przekonań politycznych, którzy trwają „na posterunku” wierni programom minionej epoki. Niezdolność do ewolucji, niezdolność do analizy interesów narodowych w kontekście współczesności jest treścią najwyższej

cnoty: wierności. Wierni — komu? Interesom polskim czy fikcyjnemu *establishment* sprzed niemal 40-tu lat? Oczywiście wierni przedpotopowemu *establishment* — a jeżeli to nie jest z korzyścią dla sprawy polskiej — tym gorzej dla sprawy polskiej.

Polityka musi być zmienna ponieważ sytuacja międzynarodowa ulega wiecznym przemianom. Nie tylko wolno lecz należy zmieniać taktykę, podejście, metody — pod warunkiem, że posiada się jasno określony cel, do którego się dąży. W *Kulturze* przez ubiegłe ćwierć wieku rozpatrywaliśmy różne plany, opukując z uporczywą pasją wszystkie ściany więziennej celi w której zamknięto nasz naród. Gotowi jesteśmy przeanalizować każdą koncepcję, która zawiera choćby jeden procent prawdopodobieństwa poprawy sytuacji społeczeństwa w Kraju.

Walczyliśmy i walczymy z antyracjonalnym podejściem do Sowietów. Antysowieckość i antyrosyjskość wyposażyły Polaków w nienawidź beznadziejności. Północnych Wietnamczyków nienawidź przepętnia wiarą, że potrafią nie tylko odeprzeć Amerykanów lecz zmusić Waszyngton do upakarzającego układu kapitulacyjnego. Polacy odwrotnie — na skutek swej ślepej, bezsilnej nienawiści, skłonni są przypisywać Sowietom wprost nadludzki geniusz zła, którego nikt nie zwycięży.

Oczywiste porażki polityki sowieckiej a nawet kłęski — wielu z nas uważa za chwilowy taktyczny manewr, który ma na celu oszukać Zachód i w rezultacie przynieść jeszcze większy sukces Moskwy. Gdy doszło do zerwania stosunków sowiecko-chińskich — poświęciłem kilka artykułów starając się przekonać moich emigracyjnych kolegów po piórze, że Sowiety naprawdę ponieśli kłęskę, że najliczniejszy naród świata naprawdę wyzwolił się spod hegemonii sowieckiej. Podobnie było z Jugosławią i z Rumunią.

Żaden oficer KGB w Moskwie nie wierzy tak bezkrytycznie w niezachwianą wszechmoc Sowietów jak niektórzy porażeni nienawiścią emigranci polscy na Zachodzie.

W poprzednim artykule wyraziłem przekonanie, że jeszcze wiek XX-ty będzie świadkiem Wiosny Ludów w Warszawie i w Kijowie. Ostatecznie do końca dwudziestego wieku mamy przed sobą jeszcze niemal trzy dekady.

W londyńskiej prasie emigracyjnej mój optymizm pokwitowano ironicznie. Naruszyłem tabu. Mogło rozpaść się imperium brytyjskie — mogły rozpaść się na naszych oczach imperia francuskie i holenderskie — lecz imperium sowieckie — ho, ho — przetrwa następne 5 tysięcy lat... Już KGB o to zadba!



W polityce — podkreślam to powtórnie — istotną rzeczą jest przestrzeganie hierarchii lojalności. Jesteśmy antykomunistami, lecz doktryna antykomunizmu nie stanowi naszej pierwszej lojalności. Naszą pierwszą lojalnością są interesy Narodu Polskiego.

Ktoś powie że interesy Narodu Polskiego ujarzmione przez

komunizm siłą faktu pokrywają się z doktryną antykomunizmu. W 90 % wypadków istotnie tak jest — lecz doktryna antykomunizmu, która wrzuca do jednego worka wszystkie gatunki komunizmu, z całą pewnością nie pokrywa się zawsze i w stu procentach z interesami Narodu Polskiego.

Błędy tej kategorii tzn. przyznawanie antykomunizmowi nadrzędnego pierwszeństwa — popełniamy nie tylko my, lecz również największe antykomunistyczne super-mocarstwo świata, tj. Ameryka.

W *Washington Post* ukazały się artykuły (m.in. A. Casell'a), z których wynika, że politycy w Białym Domu doszli obecnie do przekonania, że zarówno konflikt koreański jak i konflikt wietnamski nie były w całości sfabrykowane przez Pekin. Mało tego, jak pisał — zawsze świetnie poinformowany Wiktor Zorza — Czu En-lai oświadczył przywódcom Kongresu w czasie ich wizyty w Pekinie, że Chiny nie życzą sobie ewakuacji Amerykanów z Pacyfiku i z Europy. Chodzi w tym wypadku o przywódcę Republikanów G. Forda i przywódcę Demokratów H. Boggs'a.

Moskiewska *Prawda* z pianą na ustach domagała się, by Pekin oficjalnie zaprzeczył powyżej cytowanej wypowiedzi premiera chińskiego. Lecz Pekin żądania Moskwy zbył pogardliwym milczeniem i niczemu nie zaprzeczył.

Obecnie dygnitarze administracji Nixona przyznają, że Ameryka okłamywała samą siebie sądząc że Chiny są czerwonym demonem, który organizował wszystkie rewolucje i konflikty w Azji. Ujawniono również, że dyplomaci amerykańscy stacjonowani w Hong-Kongu od roku 1962 stale sugerowali nawiązanie kontaktów pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem.

Obiektywizm każe stwierdzić, że prezydent Nixon odrzucił dogmatyczną doktrynę w stosunku do Chin, którą uprzednio podtrzymywały cztery administracje (jedna republikańska i trzy demokratyczne).

Ze strony prezydenta Nixona był to akt wielkiej odwagi a zarazem świetna ilustracja zasady, że interesy państwowe winny brać pierwszeństwo przed dogmatycznymi doktrynami.

Oczywiście prez. Nixon „zmienił front”, lecz polityk winien zawsze zmieniać front ilekroć leży to w interesie państwa i narodu. Gdyby owa zmiana frontu w stosunku do Chin nastąpiła znacznie wcześniej — prawdopodobnie nie doszłoby do zaangażowania Ameryki w konflikt wietnamskim. Ilu młodych Amerykanów przepłaciło życiem zaślepienie i doktrynerstwo czterech kolejnych administracji w Waszyngtonie.

Jeżeli Chiny nie życzą sobie ewakuacji Amerykanów z Pacyfiku nie ma powodu do wojny w Indochinach, której oficjalnym celem jest powstrzymanie Chin. Postawa Pekinu jest zrozumiała. Chińczycy wiedzą, że gdyby Amerykanie wycofali się z obszarów Pacyfiku ich sukcesorami byłoby Rosjanie. Chińczycy wiedzą również, że jeżeli w wyniku ewakuacji Amerykanów z Europy dojdzie do „odprężenia” i ustabilizowania hegemonii Moskwy nad naszym kontynentem — Sowiety będą mogły prze-

rzucić następny milion żołnierzy na granicę sowiecko-chińską.

W ślad za prez. Nixonem pielgrzymowali do Pekinu niemal wszyscy zachodni mężowie stanu. Jednym z ostatnich politycznych pielgrzymów był, Dr Schroeder, były niemiecki minister spraw zagranicznych. Prasa wschodnio-niemiecka zaatakowała gwałtownie inicjatywę Schroedera — podkreślając, że jest to sabotowanie polityki „odprężenia i współpracy” w Europie Środkowo-Wschodniej.

„Daleką wodą nie można ugasić pożaru” — brzmi stare chińskie porzekadło. Ową maksymę swego czasu zacytowali Chińczycy Rumunom, doradzając im ostrożność.

Ewentualny niemiecki pro-chiński program nie może stanowić alternatywy *Ostpolitik*. W razie konfliktu z Sowiecami Chiny nie przyjdą Europie z pomocą.

Daleką chińską wodą pożaru na naszym kontynencie nie ugasimy, niemniej, zbliżenie pomiędzy Chinami a Europą Zachodnią jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

W interesie Chin leży anty-kapitulacyjna Europa Zachodnia, która stanowiłaby potencjalny drugi front. Wszystkie inicjatywy sowieckie w Europie zmierzają do likwidacji potencjalnego drugiego frontu, który wiąże dziś znaczne siły sowieckie na lądzie i na morzach. Spacyfikowanie Europy Zachodniej przez Sowiety stanowiłoby bezpośrednie zagrożenie Chin — ponieważ Moskwa zostałaby uwolniona od widma wojny na dwóch frontach.

Podstawowe pytanie w polityce, podobnie jak w handlu brzmi: „co my na tym zarabiamy?”

Na rozbudowie i zacieśnieniu stosunków z Chinami Europa Zachodnia zarobiłaby bardzo dużo nie tylko w sensie gospodarczym ale i politycznym. Im będziemy mieli lepsze stosunki z Chinami — tym będziemy mieli korzystniejszą sytuację przetargową z Rosją. Winniśmy szukać zbliżenia z tymi mocarstwami, w których interesie leży Europa Zachodnia niezależna od Sowieców.

Chiny nie czują się zagrożone ze strony Ameryki — czują się natomiast zagrożone ze strony Sowieców. Głównym tematem zagranicznej polityki Chin jest „powstrzymanie” Rosji Sowieckiej. W tym punkcie interesy Chin i Europy Zachodniej są zbieżne, mimo, że Chiny są komunistyczne.

Emocjonalny antykomunizm obserwujemy nie tylko pośród polskich emigrantów, lecz również wśród Anglików.

Nie ulega wątpliwości, że komuniści wykorzystują wszystkie zaburzenia społeczne, a więc i strajki, dla swoich celów. Są jednak zbyt nieliczni i zbyt mało reprezentatywni by mogli stanowić realne zagrożenie dla demokracji brytyjskiej.

Lecz ci sami Brytyjczycy, którzy w każdym strajku widzą manifestację wpływów komunistycznych — byliby prawdopodobnie oburzeni, gdyby rząd podniósł podatki celem wydatnego zwiększenia budżetu wojennego. A przecież demokracji brytyjskiej (i zachodnio-europejskiej) zagrażają w nieporównanie więk-

szym stopniu komunizmu na Kremlu niż „towarzysze” z redakcji *Morning Star*.



Przytoczone w tym artykule przykłady z bieżącej polityki amerykańskiej miały na celu wykazać, że każda polityka doktrynalna na dłuższą metę jest błędna. Ewolucja wypadków wyprzedza ewolucję doktryny. Doktryny budzą lojalność wśród wyznawców i sympatyków co często utrudnia i opóźnia rewizję doktrynalnego programu. Wyznawcy i sympatycy identyfikują doktrynę z interesami narodowymi. W rezultacie wyraża się to fałszywą polityką a czasem wojnami, których można było i należało uniknąć.

Nie jestem przeciwnikiem doktryn politycznych dopóki wyznawcy i sympatycy rozumieją i pamiętają, że żadna doktryna polityczna nie stanowi celu sama w sobie. Istnieją ludzie, którzy szczerze wierzą, że pewne idee uniwersalne jak pacyfizm są ważniejsze od parafialnych interesów narodowych.

Każdy naród ma prawo narazić swoje bezpieczeństwo dla idei pacyfizmu i skasować ministerstwo obrony, armię, lotnictwo i marynarkę wojenną. Lecz tego rodzaju decyzja nie może być narzucona przez jedną partię — ale winna uzyskać swobodnie wyrażone poparcie całego narodu.

Rozbrojenie jest zgodne z interesami każdego narodu, pod warunkiem że rozbroją się wszyscy a nie tylko najślabi. Do realizowania idei uniwersalnych potrzebna byłaby silna i sprawna organizacja narodów, której do tej pory nie umieliśmy stworzyć.

Grobem każdej doktryny politycznej jest *establishment*. Jedną z cech ludzkiej kondycji jest fakt, że istnieje nieuchronna sprzeczność pomiędzy ideą a jej realizacją — pomiędzy doktryną a zaplanowaną według tej doktryny rzeczywistością.

Dzisiejsi socjaliści i rewolucjoniści — to jutrzejsi konserwatyści i reakcjoniści. Każda władza ukonserwatywnia a władza totalna ukonserwatywnia całkowicie. Wszystkie *establishments* w porównaniu z ich platformami wyborczymi są konserwatywne.

Rolą inteligencji w każdym społeczeństwie jest dostarczać odważnych niezależnych krytyków *establishment*'u ponieważ krytyka prowadzona na łamach wolnej prasy w znacznie większym stopniu wpływa na opinię publiczną niż obrady parlamentu.

Krytyka prowadzona przez polityków partii opozycyjnej nie jest w pełni niezależna, ponieważ dyktowana jest strategią wyborczą. Celem krytyków konserwatywnych nie jest ulepszenie socjalizmu lecz zastąpienie go w następnych wyborach konserwatyzmem.

Chociaż i krytyka wrogów bywa cenna, to jednak najwartościowszą jest krytyka z wewnątrz obozu. Rzetelna krytyka musi wychodzić od ludzi zaangażowanych, którym dobro danego programu politycznego leży na sercu.

Komunizm wynalazł tzw. samo-krytykę, która oczywiście nie

jest nigdy krytyką *establishment*'u, lecz upokarzającą formą kapitulacji wobec *establishment*'u.

Przeciwnicy socjalizmu uważają, że jest to doktryna utopijna. Siła socjalizmu polega na tym, że tej wspaniałej idei nigdzie dotąd w pełni nie zrealizowano. Nie było więc owej zasadniczej konfrontacji: idea versus *establishment*. O tym czy socjalizm jest utopią czy nią nie jest — zadecyduje fakt czy w rzetelnie socjalistycznym ustroju *establishment* zezwoli na zaangażowaną lecz niezależną krytykę.

Im wznioślejsza i szlachetniejsza idea tym trudniejsza realizacja. Trudności realizacji rodzą błędy, które winna uwypuklać czujna, nieubłagana krytyka.

Socjalizm ma przyszłość, choć nie ma terażniejszości. Już Pascal zauważył, że myśl ludzka ogniskuje się głównie wokół przyszłości i przeszłości. W terażniejszości mieszczą się bez reszty tylko najwięksi utopiści, którzy lubią określać się mianem realistów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Pięć skrwawionych kótek

Dwa razy w historii burzono olimpijską świątynię. Pierwszy raz dokonał tego w roku 393 naszej ery cesarz Teodozjusz Pierwszy, albowiem chciał w ten sposób ostatecznie zlikwidować pogaństwo. Igrzyska trwały wówczas już od roku 776 przed naszą erą i tylko raz w ciągu tych 1.200 lat wojna między Grekami zakłóciła pokój zwany olimpijskim.

Po raz drugi olimpijska świątynia padła od strzałów Arabów z organizacji „Czarny Wrzesień” w ósmy dzień XVII Igrzysk ery nowożytnej w roku pańskim 1972, albowiem mordując Żydów w Monachium chcieli oni wyzwolić swych palestyńskich braci rozsiąanych po obozach między Libanem a Kuwejtem.

I za Nerona i za Brundage'a olimpiady upadały razem z cywilizacją. Z tą tylko różnicą, iż po decyzji Teodozjusza przerwa w Igrzyskach trwała 1.500 lat, natomiast po zamordowaniu jedenastu izraelskich olimpijczyków, przerwy faktycznie nie było wcale. Jeszcze zanim wyschła krew we wiosce olimpijskiej i zanim przebrzmiały echa uwertury „Egmont” — nie wiadomo po co granej na zakończenie uroczystości żałobnej — na stadion wbiegły drużyny Polski i ZSSR aby rozegrać półfinałowy mecz piłki nożnej. Polska wygrała 1:0.

Olimpiada „Monachium 1972” polegała na rozdaniu 1.109 medali, odegraniu 195 razy kilkudziesięciu hymnów narodowych,

staniu na baczność i obracaniu ogromną forszą, a zakończyła się czterema pogrzebami.

Sami ze swymi zabitymi

Pierwsze ofiary to, jak zwykle, Żydzi. Sławin z ZSSR, Berger z USA, Szpicer z Rumunii, Friedman z Polski... kiedy kierownik drużyny izraelskiej kończył odczytywanie listy swoich zamordowanych olimpijczyków, Izrael — bardziej niż kiedykolwiek — rozumiał że żadna olimpiada nie zapewnia bezpieczeństwa jego synom. Kiedy obok pustych jedenastu krzesel żydowskich, na murawie stadionu zamienionego na dwie krótkie godziny w miejsce żałoby, pozostały puste jeszcze setki krzesel, Izrael jeszcze raz rozumiał, że zawsze będzie sam ze swymi zabitymi. A kiedy wraz ze startem samolotu z jedenastu trumnami na pokładzie, wystartowały kolejne konkurencje olimpijskie, Izrael rozumiał, że na nikogo liczyć nie może nawet w miejscu, gdzie powiewa sztandar mający symbolizować przyjaźń i braterstwo.

„Ordnung muss sein”

W drugim pogrzebie pochowano niemieckie złudzenia. Niemcy z całej duszy wierzyli w magię olimpijskiego oczyszczenia i odkupienia. Brandt — człowiek, który ukląkł na gruzach warszawskiego getta — chciał płomieniem olimpijskiego znicza wypalić ślady olimpiady berlińskiej z 1936 roku. Fakt, iż to właśnie w Monachium znów połała się krew żydowska potęguje dramat. Aby zginęła pamięć o Dachau nie wystarczy, jak się okazuje, przeniesienie płomienia z Olimpu w pobliże wygasłych pieców krematoryjnych byłego obozu koncentracyjnego.

Niemcy przebadali dane z ostatnich 100 lat aby wynaleźć okres najmniejszego ryzyka meteorologicznego. *Hundertzwanzig professoren* zastanawiało się jak zapewnić „igrzyska piękne spokojne i pogodne”. Pewien socjolog przygotował nawet kilka scenariuszy możliwych aktów agresji. Jeden ze scenariuszy zakładał, że „...o czwartej rano grupa fedainów atakuje dom ekipy izraelskiej...”. Odrzucony został jako brednia, a mjr Krack z policji bawarskiej oświadczył, iż „w nocy nic poważnego stać się nie może”. Wobec takiej perspektywy policję przekształcono w Armię Zbawienia, rozbrojono, uczulono na... groźbę wtargnięcia męskiego zespołu gitarowego do pawilonu kobiecego i na działalność „koników” (ich czysty zarobek ocenia się na ponad milion dolarów). Policja bawarska tak opanovała metodę perswazji łagodnej, że manifestację 200 maoistów potrafiła rozpedzić za pomocą... rozdania czekolady. W całej wiosce olimpijskiej nie było ani jednego *verboten!*

Kiedy więc głupi scenariusz okazał się prawdą, wszystko zawiodło, od policjanta do ministra spraw wewnętrznych. Na

ośmiu terrorystów znalazło się w Bawarii tylko pięciu strzelców wyborowych(?!), 12 długowłosych policjantów odmówiło... po głosowaniu, przeprowadzenia akcji we wnętrzu Boeing'a jako „zbyt ryzykownej”, nie było poważnego planu akcji, nie było jednolitego dowództwa... „To prawdziwi amatorzy”, powiedział potem izraelski fachowiec.

Z olimpiady, na 10 tygodni przed wyborami, Brandt wychodzi osłabiony. Psychicznie, ale i politycznie. Koszmarny paradoks sprawił że, prawdziwe nie zaś wymyślone przez film, „Sceny z polowań w Bawarii” przekonały świat, że Niemcy się zmieniły i że, w tej przynajmniej części Reichu nic nie zostało z tych cech, które niedawno paraliżowały świat. Tylko, że Niemcy zaczynają się już zastanawiać, czy sprawy nie zaszły zbyt daleko i czy nie płacą za wysokiej ceny za demokrację.

Zbrodnia i błąd

Trzeci pogrzeb nastąpił po samobójstwie sprawy palestyńskiej. Przez świat poszła fala przerażenia i oburzenia. „Operacja” monachijska była zbrodnią na ludzkości, ale z punktu widzenia Arabów, była czymś więcej — była błędem. Jej nieskuteczność, a nawet antyskuteczność jest przerażająca. Zamordowanie jedenastu osób, nawet bezbronnych, nie jest już dzisiaj w stanie wstrząsnąć ludzkością, która dojrzała, niejedno widziała i po gorszych rzeczach spokojnie spała. Tym razem wyjątkowa wściekłość zrodziła się nie tylko z bezradności wobec zbrodni, ale z żalu za utraconym rajem, za wygasłymi iluzjami o wspie pokoju na świecie.

Z wyjątkiem kilku rządów arabskich, wessanych w próżnię ich anty-ideologii, z wyjątkiem kilku cynicznych polityków, wysyłających na śmierć ogłupiałych Japończyków czy Palestyńczyków, z wyjątkiem kilku średniowiecznych feudałów w złoconych Rollsach i kilkunastu chorych lewaków z dobrych burżuazkich rodzin, z wyjątkiem dementa w generałskich szlifach z Ugandy, składającego z okazji Monachium hołd Hitlerowi — nikt na świecie nie stanął po stronie Palestyńczyków. Wystarczy tylko wyobrazić sobie ustrój jaki stworzyłby oprawcy z Monachium w odzyskanym państwie! Dziś naturalnie wszyscy kłamią. Kręactwa egipskiego premiera musi prostować Brandt. Przedstawiciele Ligi Arabskiej przysięgają, że „Czarny Wrzesień” nie chciał nikogo skrzywdzić, że to wszystko wina Niemców i Izraelczyków, którzy ich sprowokowali, tak jakby swej „patriotycznej operacji” palestyńskie komando nie zaczęło od zamordowania jednego i wykrwawienia na śmierć drugiego bezbronnego Izraelczyka.

Świat ogarnia znów strach i psychoza. ONZ zajmie się terrorem, przede wszystkim palestyńskim, każdy Arab jest podejrzany. Policje całego świata już łączą się w walce przeciwko „lewackiemu faszyzmowi”.

Połowa trzech milionów Palestyńczyków wegetuje w kilku dziesięciu obozach ONZ, albowiem ich bracia w koronie, naftowi multimiliarderzy nie mają dla nich czasu. Rzekomo to o tych właśnie Palestyńczyków chodziło w Monachium. Przypuśćmy. Ale przecież tam gdzie odrzuca się wszelkie kryteria moralne, powinien decydować argument skuteczności. Kto przy zdrowych zmysłach powie, że mord w Monachium pomógł wykuć przyszłość arabskiej Palestyny?

Kres wieku hipokryzji

No i wreszcie czwarty pogrzeb — ten prawdziwie olimpijski. Ogłądałem w TV reportaż z wioski olimpijskiej w kilka godzin po zamknięciu Igrzysk. Jesień, wiatr podrzuca papierami, puste butelki, cicho, smutno i brudno. Strasznie.

Pękły bowiem wszystkie mity. Ogłaszając koniec Igrzysk monachijskich, Avery Brundage, ostatni apostoł olimpijskiego dziełstwa, proklamował równocześnie, wbrew własnej woli, kres epoki olimpijskiej hipokryzji. Wioska olimpijska definitywnie przestała być (nigdy w istocie nie była) oazą pokoju, szczęścia, szlachetności i braterstwa. Jest natomiast ogromną imprezą handlową, gigantycznym cyrkiem i cynicznym przedsięwzięciem politycznym. Olimpiada nie powinna przeżyć szoku monachijskiego: albo się radykalnie zmieni i oczyści, albo powinna zniknąć.

Zawsze w historii wokół wielkich świątyń rozbijał stragany jarmark. W Monachium było wprost przeciwnie. To olimpiada odbywała się w cieniu złotego cielca. 600 milionów dolarów kosztowała ta najdroższa ze wszystkich olimpiad. I wszystko się opłaci. Zaledwie 15 milionów wpłynęło za transmisje radia i TV. Ale poza tym sprzedano dziesiątki milionów specjalnych medali po 10 marek sztuka, 100 milionów egzemplarzy specjalnej maskotki — jamnika „Waldi” w naturalnej i innych wielkościach. Monachium odrobiło 15 lat zapóźnień inwestycyjnych. Loteria, naturalnie, olimpijska, przyniosła swoje miliony, ale to „spirala szczęścia” zapewniła najwyższą amortyzację olimpijskich wydatków. Ponieważ znak pięciu olimpijskich kółek nie jest w NRF prawnie chroniony, więc wymyślono inny znak „spirale”, której używalność sprzedano ok. 300 wielkim firmom. Były więc szelki olimpijskie i lody olimpijskie, nie mówiąc już o wszystkich innych poważniejszych towarach. Resztki wstydu (fałszywego) nie pozwoliły na sprzedanie prawa do olimpijskiego znaczka producentom biustonoszy i firmie wytwarzającej środek na potencję. 84-letni Brundage i tak o mało nie dostał zawału na widok... nocnika z pięciu olimpijskimi kółkami.

Monachium padło ofiarą swego własnego gigantyzmu. Nie przypadkowo bowiem Palestyńczycy wybrali to właśnie miejsce na scenę swjej krwawej demonstracji. To właśnie w Monachium wyrosła przecież wieża telewizyjna naprawdę *kolossal*:

290 m, 20.000 jednoczesnych połączeń z całym światem, trzy satelity. Tu naprawdę była największa widownia świata, tu się „Czarny wrzesień” nie mylił. Palestyńczycy nie przewidzieli jednak, że ta gigantyczna telewizyjna pajęczyna, która opłotła każdy fragment wioski i igrzysk, zatnie się właśnie w trakcie ich „wyczynu”. Kamery, które odnotowywały każdy muskuł 100-metrowca czy kilka razy w różnych tempach i ujęciach pokazywały upadek długodystansowca, nic nie wychwyciły z precyzyjnie przygotowanej „operacji ideologicznej” a dojrzały tylko zwyczajną, a raczej nadzwyczajną zbrodnię.

Równocześnie jednak beznamiętnie przenosząc się z miejsca zbrodni na bieżnie i ringi, wieża *kolossal*, kamery i satelity monachijskie bezapelacyjnie zdemaskowały bezsens obecnego kształtu olimpijskiego cyrku.

Ani jedno życie ludzkie

Zacznijmy od tego, że na oczach całego świata wybuchła prawda o zwyczajnej lipie olimpijskiego pokoju i całej w ogóle olimpijskiej gadaniny. Właściwie nie było to już od dawna żadną tajemnicą, ale cynizm ludzki skłaniał do kultywowania wiary w to, że mogą istnieć takie wrota, przed którymi zatrzymuje się Historia, że może istnieć obecnie getto, odcięte od świata i jego rzeczywistości.

A przecież żadna olimpiada nie zapobiegła, nie zatrzymała, ani nawet nie złagodziła ani jednej wojny, ani jednego konfliktu, nie przeszkodziła żadnej masakrze, nie uratowała ani jednego życia ludzkiego... Ba, więcej i gorzej. Żadna z wielkich imprez międzynarodowych nie była w swym cynizmie tak zasklepiona i obojętna na ludzkie cierpienia jak właśnie olimpiady. Biafra, Burundi, Wietnam, Indonezja, wystarczy, nie? To właśnie w szlachetnej atmosferze olimpijskiego roku 1956 czołgi sowieckie zdusiły Budapeszt. To właśnie na chwilę przed olimpiadą 1968 roku Zatopek, trzykrotny złoty medalista, krzyczał do najeżdżających Pragę sowietów: „Was do Meksyku nie wpuszczymy”. Ale wpuścili. A sam Zatopek, złamany normalizacją, zjawił się w Monachium, aby dać alibi torkwemadom z Pragi.

Macie oczy, a nie widzicie, macie uszy, a nie słyszycie! Prześtańcie biadać nad defloracją pięknej idei. Panowie, wasz Pantheon, był od zawsze nieczysty. Już na pierwszą nowożytną olimpiadę Francuzi nie chcieli jechać bo wybierali się tam Niemcy. Wtedy nikt się tym nie przejął, ale tegoroczna ekspulsja Rodezji wtedy się rodziła. W 1908 roku Finowie wciągnęli na maszt swoją flagę, ku wściekłości Rosji. Międzynarodowy komitet olimpijski w 1912 roku w Sztokholmie uznał legalność komitetów olimpijskich państw wówczas nieistniejących: Kanady, Australii, Węgier, Czech i Finlandii. To ładnie i słusznie z jego strony, że tak wyprzedził historię, ale przecież właśnie w ten sposób legalizował politykę na olimpiadzie. W 1920 roku Irland-

czycy, którzy zresztą już wówczas strzelali, manifestowali przeciw Anglikom. W 1936 roku olimpijska oaza piękna i szlachetności przeniosła się do Berlina, na zaproszenie nadludzi, którzy już wówczas palili jeszcze nie izraelskich Żydów w Dachau, niedaleko Monachium.

No, a Meksyk? 2 października 1968 roku, na kilka dosłownie dni przed zapaleniem świętego, pardon, znicza policja p. generała Barragan, na zlecenie pana prezydenta Diaz Ordaza, zastrzeliła na placu Trzech Kultur ponad stu studentów, aby „oczyszczyć pole dla Igrzysk” i nie mącić później olimpijskiego spokoju. Czy jakieś państwo z tego powodu wycofało się, lub choćby zawahało? Czy któryś ze zwycięzców pozostawił na ich mogiłach swój medal, choćby brązowy? Nikt o „ofiarach olimpijskiego pokoju” nawet nie wspominał. Śmierć Izraelczyków nie wstrzymała Igrzysk. Wyjechał tylko Mark Spitz, najbardziej złoty olimpijczyk wszystkich olimpiad. Musiał chyłkiem wiać z wioski owianej duchem braterstwa, albowiem nawet siedem rekordów świata nie potrafiło temu Żydowi zapewnić bezpieczeństwa. Na olimpiadzie!

W 1980 roku olimpiada odbędzie się w Moskwie, „gdzie tak wolno dyszyt czełowiek”. Czy do tego czasu Tatarzy wrócą na Krym, Żydzi wykupią się i wyjadą do Izraela, Amalrik, Bukowski, Jakir wyjadą z łagrów? Jedno jest pewne, w Moskwie żaden zamach nikomu nie grozi; oni wiedzą, jak to się robi. Tam wszystko będzie *verboten*, ale za to triumfować będzie czysta idea olimpijska.

Bić po pysku, ale na baczność

„My się nie damy garstce terrorystów, idea olimpijska jest ponad polityką. *Meine Damen und Herren*, igrzyska trwają!” Gdyby jakiś przybysz z księżycy wylądował w Monachium 7 września 1972 roku nie zorientowałby się w ogóle, że w przeddzień coś się stało. Kiedy speaker ogłaszał listę dziewcząt startujących w półfinale setki, to nawet nie powiedział dlaczego jeden korytarz jest pusty. Gdzie podziiali się ciężarowcy i zapaśnicy, trenerzy i sędziowie izraelscy? Rozpłynęli się, zabawa przecie trwa.

Wbrew wszystkiemu co p. Brundage wymyślił jako ostatnią brednię swojej długiej, zbyt długiej, dyktatury olimpijskiej, to on sam, wymuszając razem ze współnikami przedłużenie Igrzysk, ostatecznie je pogrzebał. Wykazał bowiem, że w XX wieku mogą się one odbywać jedynie za cenę ślepoty, cynizmu i zakłamania, za cenę zgody na degenerację naszej cywilizacji. ZSSR mógł czekać od 5 rano do 6 wieczór z ogłoszeniem informacji o zamachu arabskim, aby potem, w chwili kiedy stadion w Monachium powstał, aby uczcić zamordowanych, przyjąć na Kremlu dr. Habasza, szefa najbardziej ekstremistycznej organizacji fedainów i najbardziej prawdopodobnego patrona morderców.

Pan Brundage, to jasne, nie działał sam, i przedłużył Igrzyska w zgodzie z największymi potęgami sportowymi, lub też potęgami w ogóle. Dla nich bowiem, wbrew gaworzeniu p. Brundage'a i innych olimpijskich westalek olimpiada od dawna jest imprezą przede wszystkim polityczną i propagandową, a dopiero potem sportową.

Stąd, chociaż statut olimpijski mówi, że „igrzyska są współzawodnictwem nie państw a zawodników”, wszyscy oddają się przede wszystkim masturbacyjnej buchalterii medalowej. Już dawno w oczach ogłupiałego tłumu i za sprawą wyspecjalizowanych hecowników, podniesienie pół tony żelaza czy precyzyjne danie w mordę równoznaczne jest z honorem państwa, prestiżem narodu. To od tych hecowników wiemy przecież, że ZSSR zdobył w Monachium 99 medali, a w Meksyku tylko 81, a potężne USA poniosły wprost klęskę, albowiem w Monachium zebrały tylko 92 medale, choć w Meksyku miały ich aż 107. Ile to, przepraszam, wypada medali na jednego zabitego studenta, czy zamordowanego Żyda?

Rzadko się zgadzam z p. Pompidou, ale tym razem ma rację. Niezależnie bowiem od innych przyczyn, kompromitacja sportowa Francji wynika przede wszystkim z konkurencji, jak on je nazywa „państwowych fabryk championów”. Francja jest za biedna i za leniwa, aby mieć i *force de frappe* i sport wyczynowy, nie mówiąc już o masowym. A USA i ZSSR są bogate i szydząc z najbardziej elementarnych zasad amatorstwa, utrzymują całe wylęgarnie nosicieli honoru państwowego w bicepsach lub udach.

No, a kliniczny przykład NRD? Tak jak w innych krajach o ograniczonej nieco suwerenności, sport stanowi tam kompensatę za niewolę i jedyny teren, na którym zwyczajny, brutalny nacjonalizm jest nie tylko tolerowany, ale nawet popierany. Naród korzysta ochoczo z tego odstępstwa od niewolniczej poza tym reguły bycia, a czasem nawet przesadza, jak to np. było po meczu hokejowym Czechosłowacja-ZSSR, stanowiącym, jak pamiętamy zapewne, pretekst do wizyty marsz. Greczki w Pradze i ostatecznej likwidacji Dubczeka.

Milionerzy i pariasy

Otóż olimpiada kieruje te resentymenty i nacjonalistyczne hece w legalne niejako łożysko. Wszyscy więc gorąco popierają całą tę strażacką pompę „protokularnych uroczystości”, te groteskowe stanie na baczność po 100 m stylem grzbietowym i spoglądanie ze łzą w podbitym oku, po zmasakrowaniu niedorozwiniętego boksera, na sztandar państwowy wciągany na maszt przy dźwiękach hymnu narodowego.

Jakie większe niż na olimpiadzie szanse ma NRD, odgradzona murem od świata, pokazania się oficjalnie i publicznie w dobrym towarzystwie? Kiedyż jej, tak popularny u nas, hymn narodowy był tak często grany? Jaki lepszy teren mogła ona zna-

leżąc dla konfrontacji z Zachodem, a przede wszystkim z NRF, na którą, poza olimpijskim podium, może patrzeć jedynie z dołu, jeżeli naturalnie nie liczyć wież strażniczych za berlińskim murem hańby.

W obronie tej pompy milioner z Chicago nazwiskiem Brundage wyrzucił z Igrzysk dwóch Murzynów, którzy nie tak jak należy stali, czy zachowywali się, podczas odgrywania hymnu amerykańskiego. Czym się to różni od odmowy Hitlera podania ręki Owensowi w 1936 roku?

Otóż ostrość tej sankcji to właśnie wyraz bałwochwalstwa dla najgorszej cechy olimpiady, tej właśnie która nieuchronnie doprowadziła do degeneracji igrzysk, która odebrała im charakter szlachetnej rywalizacji młodych ludzi, a nadała formę organizowanej przez aparaty państwowe monstrialnej, nacjonalistycznej hecy.

Bo zmierzmy.

Brundage, w towarzystwie innych Brundage'ów z całego świata, nakazał kontynuować igrzyska i nazwał to triumfem idei olimpijskiej. Matthews natomiast, murzyński chłopak, który musi nocami szukać wśród brooklyńskich *slums*'ów miejsca na trening, bawił się medalem, bo, jak powiedział: „To mój medal, za 20 lat będę dumny z tego, że byłem kiedyś najlepszym 400-metrowcem świata. Droga na podium była dla mnie spacerem wśród gwiazd, moim samotnym spacerem, a kto tego nie rozumie, to nie rozumie sportu w ogóle”.

Więc pytam was, kto lepiej rozumie ideę olimpijską, milioner, kapłan pompy upaństwowionych igrzysk, czy czarny chłopak, który przebiegł 400 m w mniej niż 45 sekund, a potem poszedł sam, ze swoim medalem na spacer między gwiazdy?

„Strzelaj jak do wroga!”

Strzelec Ho Jun Li, został przed wyjazdem do Monachium, przyjęty przez tow. Kim Ir Sena. „Tow. Kim — oświadczył Ho po zdobyciu złotego medalu — nakazał mi, aby strzelał do tarczy jak do wroga, a wygram”. I rzeczywiście! A zrobił to naturalnie w duchu idei olimpijskiej.

Walery Borzow, pierwszy Europejczyk, który przełamał hegemonię USA w sprintach, zapytany przez prasę o źródła jego sukcesów, odpowiedział: „Najpierw mój kraj, potem mój trener, potem wszyscy którzy mi pomogli, a na końcu, ja sam...”. Zapomniał tylko o naukach Lenina lub Mao i wnioskach z 24 zjazdu KPZS.

Nie myślcie, że takie hurratriotyczne bredzenie przy okazji chodu na 20 km czy dźwigania sztangi, to monopol wschodu. Nie, zaraza poszła dalej. Pływaczka amerykańska Dana Schenfield, powiedziała: „Przychodzi taki moment w zawodach, kiedy sportowiec zapomina o sobie, a myśli tylko o ojczyźnie”.

Statut olimpijski mówi wyraźnie: „Igrzyska nie są współzawodnictwem narodów i wszelka klasyfikacja państwowa jest niedopuszczalna”. Ale ten sam statut nakazuje obłudne wciąganie przy każdej okazji sztandaru na maszt, stanie na baczność, granie hymnów po udanym nokaucie...

Szybciej, wyżej, silniej. W służbę tego antycznego szyldu oddano kolosalny aparat propagandowy, niezmiernie drogie finansowo, wszystko dysponuje nowoczesny instrument eks cytowania mas. Nawet to, czego dokonują doskonali zawodnicy, zostaje im odebrane i przypisane towarzyszeni Kim Ir Senowi, partii sowieckiej, amerykańskiej *efficiency* — zostaje przyznane przez sztandary i hymny.

„Odważnie, nie parzy!”

Była taka chwila w Monachium kiedy zaświtała dziejowa szansa uratowania idei i igrzysk olimpijskich. Gdyby zaraz po wtargnięciu arabskiego komando i po wzięciu zakładników cała wioska, wszyscy zawodnicy z drużynami arabskimi w pierwszych rzędach, bez broni, w dresach sportowych, z medalami w rękę, otoczyli „palestyńską twierdzą”, napastnicy nie wytrzymałby tej presji, załamałby się i za cenę glejtu oddaliby zakładników żywych. To byłby dowód, że idea olimpijska żyje, albowiem są ludzie gotowi jej bronić. Ale tych ludzi zabrakło. A zabrakło dlatego, że idea jest martwa.

I choć potem jeszcze przez kilka dni rozdawano medale, stawano na baczność i grano hymny, już tylko policja, i to nieudolnie, gotowa była, bo musiała, bronić olimpijskiego płomienia.

I tak się stać musiało, albowiem taki jest wynik polityki prowadzonej od dziesięcioleci przez sklerotycznych lordów, partyjnych urzędników czy zwyczajnych kombinatorów. Doprowadzili do tego, że olimpiada nie tylko nie zacierza, ale pogłębia podział między zawodnikami zgodnie z linią jaka dzieli ich państwa. Monachium ostatecznie pokazało, że zawodnicy zostali wyłączeni, a depozytariuszami idei i znicza olimpijskiego stali się handlarze i politykierzy. Taki, moi panowie, jest żalostny schyłek pięknej idei.

Igrzyska trwają, powiadają faryzeusze. Tak, ale święto się skończyło!

Flaga olimpijska w górę, powiadają faryzeusze. Tak, ale kółka na nim są czerwone!

Znicz olimpijski się pali, powiadają faryzeusze. Tak, ale to nie płomień, a zimne ognie!

Panowie, towarzysze — odważnie. *Ten płomień już nie parzy!*

BRUKSEL CZYK

Pisane 15 września 1972

Nie wiedzą sąsiedzi...

Karlis LOBE ma lat 70 i jest zamieszkałym w Szwecji emigrantem łotewskim. Niedawno Karlis Lobe poczuł się dotknięty treścią artykułu opublikowanego w organie Komunistycznej Partii Szwecji, *Ny Dag*, a zarzucającego mu czynny udział w hitlerowskich mordach masowych na terenie Łotwy i Białorusi. W związku z powyższym wytoczył wspomnianej gazecie proces sądowy.

Ny Dag potrzebował materiału dowodowego. Przepęstwa Lobego zostały popełnione na terenach wchodzących w skład ZSSR. Nie wiemy, czy redaktor *Ny Dag* zwrócił się do władz sowieckich czy nie, w każdym bądź razie sowieckimi materiałami dowodowymi nie posługiwał się w czasie rozprawy. Zwrócił się natomiast do sądu o powołanie w charakterze świadka... inżyniera Simona Wiesenthala z Wiednia. By czytelnicy prasy krajowej nie musieli się męczyć, wyłożył kawę na ławę. Tak jest, kierownika Żydowskiego Ośrodka Dokumentacji, tego samego pana, którego prasa PRL począwszy od 1968 roku oskarża o szpiegostwo przeciw Polsce i ZSSR oraz o współpracę z hitlerowcami w eksterminacji Żydów. Zgola niedawno przecież Roman Juryś, broniąc się przed oszczerstwami *Życia Literackiego*, uroczyście stwierdzał, że czynów zarzucanych mu nie popełnił, bo nie zna inż. Simona Wiesenthala...

Simon Wiesenthal wystąpił w sądzie w dniu 20 czerwca. Przedstawił materiał dowodowy, świadczący, iż na Karlis Lobe ciążył rzeczywiście zarzuty popełnienia zbrodni wojennych, że przed kilku laty przekazał materiał dowodowy w tej sprawie władzom szwedzkim, które jednak nie wszczęły śledztwa z powodu przedawnienia. Sąd dał wiarę zeznaniom świadka i uwolnił redaktora *Ny Dag* od zarzutu oszczerstwa.

Powyższe podaje się do publicznej wiadomości obywateli PRL, na wypadek gdyby któryś z nich w najbliższym czasie znalazł się pod podobnym jak Roman Juryś obstrzałem.

Nie wiemy jak ambasada PRL w Szwecji zareagowała na powołanie Wiesenthala w charakterze świadka. Jakaś reakcja być może jednak nastąpiła. W numerze, 42 oddanym do druku na tydzień przed procesem, *Ny Dag* triumfalnie ogłosił, że Simon Wiesenthal wystąpi na procesie jako świadek obrony. Później cisza, numer poprocesowy ukazał się z tygodniowym opóźnieniem, o Wiesenthalu już ani słowa, zamiast zaś sprawozdania z procesu, będącego przecież sukcesem gazety, pojawiły się gromy na organizację emigracyjną w Szwecji, składające się ponoć z hitlerowskich kolaborantów.

Józef LEWANDOWSKI

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Od przeszło dwóch miesięcy — jak co roku w tym samym czasie — pierwsze strony gazet wypełnione są komunikatami z frontu: odbywają się żniwa. Mnożą się tytuły: „Za wysoki urodzaj”, „Zebrać zboże w terminie i bez strat”, „Wszyscy są odpowiedzialni za urodzaj”. W roku bieżącym do tych normalnych hasałów dołączyły się nowe: „Oszczędzajcie chleb”, „Chleb jest najważniejszy”. Kampania za oszczędzaniem chleba rozpoczęta już teraz — jeszcze zanim żniwa zostały skończone — mówi do świadczonemu czytelnikowi: zbliża się nowa bieda, zbliża się kolejny nieurodzaj.

Zresztą już jesienią 1971 zjawił się w Waszyngtonie minister gospodarki wiejskiej ZSSR, Władimir Mackiewicz, pertraktujący o zakup w Stanach Zjednoczonych zboża na 140 milionów dolarów. Mackiewicz oświadczył wówczas na konferencji prasowej, że ZSSR „zamierza w ciągu pięciu lub dziesięciu lat dokonywać w Stanach Zjednoczonych wielkich zakupów zbóż”. To było rozpoznanie sytuacji.

Latem 1972 roku, gdy stało się oczywiste, że urodzaj będzie zdecydowanie niewystarczający, władze sowieckie przystąpiły do masowych zakupów zbóż za granicą. W najbliższym roku ZSSR zakupi w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i we Francji ponad 20 milionów ton zbóż. Warto przypomnieć, że w 1965 roku, kiedy zbiory w Związku Sowieckim były zdecydowanie złe, rząd zakupił za granicą 6 milionów 400 tysięcy ton zbóż.

IX plan pięcioletni postulował coroczne zbiory w granicach 195 milionów ton. W 1971-ym zebrano 181 milionów ton, a w 1972-ym — według przybliżonych obliczeń — zbiory będą mniej więcej takie same jak w 1969-ym — w granicach około 162 milionów ton. Ogromne zakupy mają widocznie na celu wyrównanie deficytu, który powstanie pod koniec planu pięcioletniego, i zabezpieczenie ludności minimum chleba.

XXII Zjazd partii, który odbył się w końcu 1961 roku, uchwa-

lił nowy program partii, oznajmiający że „komunizm już jest za rogiem”. „W ciągu najbliższego dziesięciolecia (1961-1971) — mówi się w programie — Związek Sowiecki, stworzywszy materialno-techniczną bazę komunizmu, prześcignie w produkcji na głowę ludności najbardziej potężny i bogaty kraj kapitalizmu — Stany Zjednoczone; bardzo znacznie podniesie się materialny dobrobyt i kulturalno-techniczny poziom pracujących — wszyscy będą mieli zabezpieczony materialny dostatek; wszystkie kolchozy i sowchozy przekształcą się w wysokoprodukcyjne i wysokodochodowe gospodarstwa; w pierwszym rządzie będą zaspokojone potrzeby mieszkaniowe obywateli sowieckich; zniknie ciężka praca fizyczna; ZSSR stanie się krajem o najkrótszym dniu pracy.

Czyż trzeba podkreślać, że w 1972 r. zakreślony programem partii różowy obraz nadal pozostał bajką. Bardziej ciekawe jest postawienie pytania: jak prasa sowiecka tłumaczy kolejne niepowodzenie, kolejny kryzys „najbardziej postępowego w świecie” kolchozowego gospodarstwa.

Fakty, które można wyłowić w gazeciarskim morzu, pozwalają znaleźć szereg głównych powodów niepowodzeń gospodarki rolnej, tak jak są one widziane przez czynniki oficjalne. Pierwszym powodem jest chaos organizacyjny. Jedno z francuskich pism satyrycznych umieściło na okładce tytuł głównego artykułu numeru, poświęconego skandalowi z domami publicznymi: „Narodowy burdel”. Jeśli by sowieccy dziennikarze mieli choć tyśiączną część odwagi swoich francuskich kolegów, to zatytułowaliby swoje artykuły o gospodarce rolnej „Wszeczchwiazkowy burdel”. Dziesiątki tysięcy niewyremontowanych w terminie maszyn, setki tysięcy ton ziarna, które zgniło z braku składów itd., itp.

Drugim powodem są niskie zbiory z hektara. W *Białoruskiej Prawdzie* ukazał się w sierpniu artykuł sekretarza KC białoruskiej partii Maszerowa, w którym stwierdzono, że przewidywany średni zbiór z hektara w 1972 roku wyniesie 18 cetnarów tj. ponad 25 % poniżej planu.

Wszystko to jednak są stare przyczyny — tak stare jak i same kolchozy — zawsze były i jak widać zawsze będą. Ale oto trzeci powód, o którym pisała w sierpniu *Prawda*, pojawił się niedawno. Okazuje się, że kolchozy nie wykonują obowiązkowych dostaw dla państwa w całości, zachowując część zboża dla siebie „na wypadek głodu”. *Prawda* z oburzeniem piętnuje „psychologię głodu”, sposób myślenia drobnych posiadaczy. Za pierwszych dni „kolchozowego budownictwa” dostawy zbóż dla państwa uważano za pierwsze przykazanie kolchoźnika. W okresie stalinowskim niewypełnienie planu dostaw karano jako szkoldnictwo. Możliwe, że kolchozy poczuły, że ręka państwa jest mniej ciężka i że można coś dla siebie urwać.

Ogłoszony w początkach lipca komunikat Biura Statystycznego o wykonaniu planu w pierwszym półroczu 1972, zdawałoby się, świadczy o tym, że w przemyśle — w przeciwieństwie

do gospodarki rolnej — wszystko jest w porządku. Co prawda można by zauważyć, że produkcja brutto zwiększyła się o 6,8 %, kiedy w tym samym okresie w 1971 roku wzrosła o 8,5 %, że produkcja turbin zmniejszyła się o 24 %, a motorów Diesla o 4 %, chociaż plan przewidywał zwiększenie o 5 %. Ale generalnie wszystko było znakomicie. Jednakowoż 30 sierpnia br. *Prawda* ogłosiła „poważne ostrzeżenie” dla pięciu ministrów: metalurgii, budowy maszyn ciężkich, przemysłu elektrotechnicznego, montażu specjalnych konstrukcji i automatyki za opóźnienie we wprowadzeniu nowej technologii w dziedzinie metalurgii. Udzielono nagany Gosplanowi i Państwowemu Komitetowi do Spraw Nauki i Techniki.

24 sierpnia br. wyjechał z Moskwy do Kazachstanu, a potem na Syberię sam generalny sekretarz KC, Leonid Breżniew, by ratować sytuację. We wschodnich połaciach ZSSR jeszcze odbywają się zbiory, może więc jeszcze da się coś uratować, podciągnąć, popchnąć.

Latem 1972 roku Breżniew ma na swoim rachunku prawie tyle samo „grzechów” ile miał Chruszczow w 1964 roku. Niepowodzenia w polityce zagranicznej — wygnanie z Egiptu, katastrofa w gospodarce rolnej. Jednej tylko omyłki swego poprzednika nie powtarza: nie organizuje kultu swojej osoby. Ale może to właśnie będzie przyczyną jego upadku.



Aczkolwiek trudno byłoby uwierzyć, że jakiegokolwiek zagrożenie generalnego sekretarza może przyjść z innej strony niż ze strony jego kolegów, wojnę jednak ogłosił on filmowcom i Żydom.

Jak zawsze w okresach trudności międzynarodowych i wewnętrzno-ekonomicznych, reżym umacnia politykę represyjną. W czerwcu br. został w Moskwie aresztowany Piotr Jakir. Syn jednego z najbardziej znanych sowieckich przywódców w czasie wojny domowej, Jony Jakira, rozstrzelanego razem z Tuchaczewskim, Piotr Jakir aresztowany jako czternastoletni chłopiec przeżył w więzieniach i łagrach około 15-tu lat. Zwolniony w 1956 roku skończył Instytut Historyczno-Archiwalny i poświęcił się badaniu historii okresu stalinowskiego. Jednocześnie stał się jednym z czołowych działaczy Ruchu Demokratycznego. Przez długi czas wydawało się, że należy do grona „nietykalnych”, do grona tych, których KGB nie aresztuje, by uniknąć niepotrzebnego hałasu. 21 czerwca br. Piotr Jakir został aresztowany. Pretekstem były ulotki¹, które pojawiły się w tym czasie w Moskwie. Jakira oskarżono o udział w ich opracowaniu. Najważniejsze było jednak to, że w czasie rewizji u Jakira znaleziono poszczególne strony „Kroniki bieżących wydarzeń” — nielegal-

1. Tekst ich został zamieszczony w *Kulturze*, nr 9/300, 1972.

nego pisma regularnie — dwa razy na miesiąc — szczegółowo informującego o działalności opozycji w ZSSR.

Na krótko przed aresztowaniem, spodziewający się tego Jakir złożył korespondentowi *Times'a* w Moskwie oświadczenie, które można by nazwać jego testamentem: „Jeśli mnie będą bić, przyznam się do wszystkiego. Ale to nie będzie mówiło moje prawdziwe ja. W żadnym wypadku nie popełnię samobójstwa. Jeśli ogłoszą o mojej przedwczesnej śmierci, to będziecie wiedzieli że mnie zabito”. Stary, doświadczony więzień, Piotr Jakir postarał się wszystko przewidzieć. Aresztowanie Jakira zamyka cały okres w historii Ruchu Demokratycznego, który rozpoczął się mniej więcej 10 lat temu. Koniec tego okresu jest spowodowany tym, że KGB zdecydowało skończyć z tym ruchem jak również, że sam ruch — który całkowicie wyczerpał stworzone przez siebie formy walki o prawa obywatelskie: deklaracje, petycje, skargi, która jak gdyby się skończyła — zaczął szukać nowych form.

Nowych form walki z ruchem wolnościowym szukają również organy represji. Powstaje wrażenie, że w kierownictwie KGB istnieje wewnętrzna walka, która niewątpliwie jest odbiciem walki na samym szczycie odnośnie środków i sposobów likwidacji Ruchu Demokratycznego. Wygląda na to, że jedna frakcja uważa za konieczne zachowanie niektórych działaczy tego ruchu na wolności (otoczywszy ich ma się rozumieć ścisłym kręgiem obserwatorów, tak jakby byli umieszczeni w akwarium) dla zachowania kłapy bezpieczeństwa, by kocioł nie został rozsadzony. Druga frakcja, to ci którzy pragną nawrotu do starych, wypróbowanych metod. Walką tych dwóch tendencji można wytłumaczyć wyroki śmierci w procesach leningradzkich, jak również wielokrotne rewizje u Jakira, bez aresztowań — no i niektóre inne wydarzenia. Tym samym — jak mi się wydaje — można tłumaczyć fantastyczną historię z Jauresem Miedwiediewem w lipcu br.

2 lipca w Kijowie rozpoczął się międzynarodowy kongres gerontologii. Jaures Miedwiediew, jeden z wybitniejszych sowieckich gerontologów, jeden z organizatorów Sowieckiego Towarzystwa Gerontologicznego nie był włączony w skład delegacji sowieckiej. Powodem były wydane przez niego książki. Ale uparty Jaures wzięwszy urlop pojechał do Kijowa i z kartą wstępu, której użył mu jeden z kolegów, udał się na pierwsze otwarte posiedzenie kongresu. U drzwi otoczyło go sześciu „uczonych w cywilu”, wrzuciło do samochodu i zawiozło na milicję. W milicji przeprowadzono idiotyczne przesłuchanie: dlaczego udał się na kongres, dlaczego nie jest w swoim biurze, dlaczego wziął właśnie teraz urlop itp. Po wielogodzinnym przesłuchaniu uczonemu wsadzono do pociągu — bilet został kupiony przez agenta KGB — i odesłano do Moskwy. Niemordowany Miedwiediew już zdążył przekazać protokół przesłuchania swoim zagranicznym kolegom.

Jednocześnie z narastaniem policyjnego terroru wzrasta ter-

ror ideologiczny (często trudno jest odróżnić jedno od drugiego).

Warto zauważyć, że jeśli w działalności policyjnej widać wahanie, widać że linia postępowania nie została definitywnie ustalona, to w dziedzinie ideologicznej wybrano nawrót do okresu stalinowskiego. Jedna za drugą pojawiają się decyzje KC w dziedzinie ideologicznej. W swoim czasie odnotowaliśmy takie decyzje w odniesieniu do krytyki literackiej, podkreślające konieczność wzmocnienia walki z krytykanctwem w literaturze. W czerwcu br. ukazała się decyzja dotycząca szkół, kładąca nacisk na „podjęcie środków dla poprawienia moralnego, estetycznego, wojskowo-patriotycznego i ateistycznego wychowania uczniów”. 22 sierpnia br. *Prawda* opublikowała dekret o „rozwoju sowieckiej kinematografii”. Sowiecka kinematografia, od dawna ledwo vegetująca, została obecnie całkowicie pogrzebana.

KC zarzuca sowieckiej kinematografii, że „nie wystarczająco pokazuje ekonomiczne, socjalne i kulturalne zmiany zachodzące w społeczeństwie sowieckim pod kierownictwem partii”. KC potępia „próby bezkrytycznego naśladowania zagranicznej kinematografii”. KC surowo domaga się przestrzegania praw „socjalistycznego realizmu”. I wreszcie KC podejmuje konkretne środki. W szczególności państwo corocznie będzie zamawiało bezpośrednio u „czołowych reżyserów” 15-20 filmów ilustrujących „podstawowe zagadnienia współczesności i historię bohaterskiego narodu sowieckiego”. Ma powstać centralne studium dla scenariuszy, które będzie obsługiwało szczegółowo skontrolowanymi scenariuszami wszystkie studia filmowe w kraju. Wszystkie te zarządzenia można znaleźć w głośnej decyzji z 1946 roku zapowiadającej wprowadzenie „żdanowszczyzny” w kinematografii.

Myliłby się ten, kto by myślał, że „ideologiczne decyzje” mają jedynie charakter teoretyczny. Dotyczą one życia codziennego ogółu obywateli. Ciekawą ilustracją tego stały się nowe zarządzenia dotyczące zachowania się sowieckich sportowców na Olimpiadzie w Monachium. Żaden ze sportowców nie ma prawa udzielania wywiadu zagranicznym korespondentom pod nieobecność trenera. Ale i to nie wystarczy. Powinien również być obecny „odpowiedzialny za wywiad”. Na każde pytanie zagranicznego korespondenta odpowiada więc trójka w której — co się rozumie samo przez się — sportowiec ma najmniej do powiedzenia.



Wydaje mi się, że kiedy przyszły historyk rosyjskiego ruchu wolnościowego będzie analizował lata sześćdziesiąte naszego wieku, będzie musiał stwierdzić, że jednym z najważniejszych osiągnięć tego ruchu jest jego rola w walce o prawa Żydów do wyjazdu ze Związku Sowieckiego. Można różnie odnosić się do Żydów i ich roli w Ruchu Demokratycznym, można różnie oceniać syjonizm i Izrael, ale nie można nie stwierdzić, że po raz pierwszy w historii Związku Sowieckiego obywatele sowieccy otrzymali prawo wyjazdu. Po raz pierwszy został naruszony mit

o wyłącznym prawie państwa wobec swych obywateli. Po raz pierwszy człowiek przestał być śrubką a stał się jednostką, która może wybierać: wyjechać, albo zostać. Dziś jeszcze trudno jest zrozumieć olbrzymie znaczenie tego faktu. Można nawet przypuścić, że sami sowieccy kierownicy nie całkowicie to rozumieją. Trzeba im jednak mimo wszystko oddać sprawiedliwość. Zgodziwszy się — z różnych licznych powodów — na wyjazd Żydów, zdecydowali się na tym zarobić. Formuła: człowiek — własność państwa, przybrała jeszcze jedno znaczenie. Od państwa można się wykupić. Do 3 sierpnia br. cena była stosunkowo dostępna. 400 rubli za wizę (ten podatek ściąga się z każdego obywatela sowieckiego wyjeżdżającego za granicę) i 500 rubli za zrzeczenie się obywatelstwa sowieckiego. Według ostatnich danych statystycznych średnie wynagrodzenie w ZSSR wynosi 127 rubli. A więc wykupić się od sowieckiego państwa można było za jakieś mniej więcej 4 miesiące pracy. Amatorów jednak okazało się zbyt dużo. 3 sierpnia 1972 roku wydano dekret nr 572 znacznie podwyższający cenę żydowskiej „duszy”. Zdecydowano brać pieniądze za wykształcenie, które dała władza sowiecka. Ustalono dokładny cennik. Dyplomy instytutów humanistycznych są tańsze od dyplomów szkół technicznych. Akademicy winni płacić więcej niż doktorzy nauk. Do tych 900 rubli, które trzeba było płacić dotychczas, trzeba więc dodać 12-15 tysięcy rubli. Doktor nauk musi zapłacić 30 tysięcy rubli.

Zachęcony powodzeniem (już wyjechały bowiem pierwsze grupy Żydów, którzy zapłacili nowy okup) rząd sowiecki zamierza — jak mówią — domagać się od krewnych obywateli, którzy dawniej wyjechali, zapłaty za ich dyplomy, jak również zacząć brać opłaty od dzieci za naukę w szkołach sowieckich.

Nie ma wątpliwości, że zarządzenie z 3 sierpnia będzie powodem wielu tragedii i zahamuje wyjazd Żydów ze Związku sowieckiego. Ale wydaje mi się, że tylko zahamuje, ale nie zatrzyma. Nowe prawo kodyfikuje nieznaną dotąd sowieckiemu ustawodawstwu zasadę. Można się wykupić od władzy sowieckiej.

Handel niewolnikami został zakazany w Rosji dopiero 110 lat temu. Jego wznowienie w państwie socjalistycznym nie może zdziwić ludzi, którzy znają charakter tego państwa. Trzeba jednak pamiętać, że uwolnienie rosyjskich niewolników w 1861 roku poprzedzała coraz bardziej rozpowszechniająca się z początkiem XIX wieku praktyka wykupu niewolników, otrzymania wolności za określoną cenę, ustalaną przez właściciela ziemskiego na podstawie fizycznych i umysłowych wartości niewolnika.

Już sama możliwość kupienia wolności stwarza u niewolników nową psychologię, nowy stosunek do rzeczywistości.

Adam KRUCZEK

Kraj

Mówi Warszawa... (dok.)

Oto parę uwag, dalekich od wyczerpania tematu.

A. Kto działał (Rozdział 2-gi)

1. Działali ludzie określani, wiadomi — i jednocześnie niewiadomi. Mówi się: wiemy dobrze, kto; wiadomo, kto stoi za grupą rozrabiaczy; znamy prowodyrów; inspiratorzy są znani. Przy czym jeśli się ich wymienia, to często z sugestią, że kryje się za tym coś więcej. Jednocześnie pada żądanie: ujawnić prowodyrów, ujawnić suflerów, wykryć i zdemaskować inspiratorów.

2. Działali ci, którzy próbowali lub chcieli naruszyć ustalony ład i porządek. O ich chęciach mówią ich nazwy. Są to mąciociele, wichrzyciele, rozrabiacze. Słowo naprawiacze jest również obelżywe. Sugeruje się: tu nie ma co naprawiać, a w każdym razie mówi się: nie wy jesteście od tego.

3. Działali tak zwani bankruci polityczni. Uderza szczególnie bogate słownictwo, dotyczące bankrutów. Są to politykierzy, prowokatorzy, inspiratorzy — z najrozmaitszymi przymiotnikami. Słowo polityczni, bodaj najczęstsze, jest najwyraźniej dodatkowym epitetem negatywnym.

4. Nazwiska występowały jako symbole: „te nazwiska mówią same za siebie”. Niektórzy studenci wydarzenia marcowe przesiedzieli w więzieniu, prasa tymczasem trzęsła się od ich nazwisk, które zdołały nabrać bogatych walorów semantycznych i przedostać się na głęboką prowincję, gdzie domagano się ukarania tych właśnie, a nie innych osób, wymienianych konkretnie lub w charakterystycznym pluralis (o znaczeniu tej liczby mnogiej powiemy poniżej).

B. *Co się działo (Rozdział 3-ci)*

1. Wiadomo, o co chodzi, i jednocześnie nie wiadomo.
2. Panuje spokój i zarazem dzieje się (lub ma się dziać) coś strasznego. Oba te rodzaje informacji często sąsiadowały ze sobą w tym samym numerze gazety.
3. Były to chuligańskie awantury i jednocześnie zamach stanu.
4. Coś bardzo groźnego w wykonaniu niewielkich i pozbawionych znaczenia grup, np. garstki studentów lub kilku politycznych bankrutów.

C. *Przyczyny (Rozdział 4-ty)*

1. Znamy je dobrze i jednocześnie nie znamy, chcemy dopiero, żeby nam je wyjaśniono, wołamy: ujawnić źródła.
2. Przyczyny są zewnętrzne. Własne działania młodzieży znikło. Pozostał spiszek z mackami lub z korzeniami, a te sięgają daleko. Można tu przypomnieć fragment wiersza: „Hydra potworna, hydra faszystów macki wyciąga w kraj socjalizmu”. W wypadku marca hydra była przede wszystkim syjonistyczna.
3. Historia nie jest historią zbiorowości społecznych, lecz historią spisków, historią agentur. Nie ma potrzeby prowadzenia analiz socjologicznych. Polityczny — to znaczy policyjny (por. tzw. literaturę polityczną, dobrze wyrażającą to stanowisko).
4. Wiele zależy od ludzi potępionych, którzy jednocześnie są bardzo mocni (wszystko spowodowali) i słabi (zostaną rozgromieni).

D. *Reakcja społeczeństwa (Rozdział 5-ty)*

1. Społeczeństwo chce spokoju i bez przerwy organizuje setki masówek i wieców.
2. Naród, partia i kierownictwo — to to samo. Naród jest z partią, to znaczy z kierownictwem. Wola narodu, mniej więcej od 15 marca, streszcza się w hasło: Przy Tobie, towarzyszu Wiesławie, stoimy i stać chcemy.

E. *Drogi wyjścia (Rozdział 6-ty)*

1. Apele o spokój — które długo współwystępują z tezą, że spokój już panuje.

2. Dominują wezwania: ukarać, usunąć, izolować, oczyścić, odciąć się. Wyraża się i pobudza agresję.
3. Przyjaźń ze Związkiem Radzieckim jest zawsze wyjściem.

F. *Informacje towarzyszące (Rozdział 7-my)*

1. Państwo utrzymuje studentów, czasem robi to klasa robotnicza, rzadziej społeczeństwo.
2. Wątek syjonistyczny jest bogato rozbudowany (ewentualnie występuje syjonizm plus NRF).
3. Wydarzenia przynoszą skutki: podaje się informacje o selekcji kadr, o zmianach na stanowiskach.

9. SYSTEM POJĘCIOWY

1. Brak kategorii z dziedziny socjologii politycznej, takich jak zróżnicowanie interesów, wyrażanie interesów, program polityczny, formuła polityczna, grupy interesu czy grupy nacisku.
2. Dialektyka imion własnych i nazw ogólnych. Imiona własne podlegają uogólnieniu. Jednym z przykładów może być kariera prasowa studenta Dajczgewanda, którego nazwisko pisano zresztą z zastosowaniem coraz to innej ortografii. Różne nazwiska występowały w liczbie mnogiej, między innymi dajczgewantowie (z małej litery), ale także na przykład Słonimscy (z dużej litery) i spółka. Oczywiście nie każde nazwisko może wystąpić w liczbie mnogiej. Na gruncie języka marcowego formy: Dajczgewandowie, Baumanowie, Kisielewscy — są poprawne. Forma: Gierkowie — nie jest poprawna. Odnotujmy ewolucję języka. Forma: Gomulkowie jest obecnie na granicy poprawności. Wtedy była niewątpliwie błędna. Ogólnie można powiedzieć, że nazwiska, które występują po słowach „żądamy ukarania”, względnie „są odpowiedzialni za” — mogą występować w liczbie mnogiej, inne — nie. Jednocześnie nazwy ogólne stają się prawie że imionami własnymi. Osoby są nosicielami kategorii ogólnych i w tym się właściwie wyczerpują. On tym a tym jest = to jest w nim ważne = on się cały do tego sprowadza. Za-chodzi utożsamienie: cecha = istota rzeczy = całość rzeczy. W wyniku obu przedstawionych procesów kategorie używane przez propagandę znajdują się jakby w pół drogi między imieniem własnym i nazwą ogólną.
3. Większość nazw ma treść opisową raczej trudną do uchwycenia. Kto to są inspiratorzy, rewizjoniści, syjoniści? To ostatnie *Trybuna Ludu* musiała 15 marca wyjaśniać. Podobnie dzieje się z czasownikami. Co właściwie robią inspiratorzy? Inspirują i

nakłaniają. Ale tego nawet nie musi być widać. Masy studenckie były nieświadome tego, kto właściwie je inspirował, a cóż dopiero tego, jak to się odbywało. Często używa się rzeczowników odsłownych. Rzeczowniki te obrazują jakieś dzianie się, trudno jednak powiedzieć, na czym ono właściwie polega. Co się zmienia w świecie, gdy zachodzi inspirowanie, popieranie, stanie za, występowanie przeciw, wicherzenie, mącenie, jątrzenie, rozrabianie, deptanie trudu, sprzeniewierzenie się lub odcinanie się? Na czym polegają knowania? Przeciwnicy knują, ale wcale nie jest łatwo powiedzieć, jakie działania fizyczne odpowiadają temu czasownikowi. Knują, to prawdopodobnie są przeciw i coś zamierzają, ale to w znaczeniu tego czasownika jest najmniej ważne. Na ogół jest tak, że nie wiadomo jakie podmioty wykonują nie wiadomo jakie czynności. Istotne jest nie kto coś robi i co robi mianowicie, ale to, że są to osoby podłe, które dokonują czynów nieszlachetnych. Nazwy są (czy też raczej mają być) przede wszystkim nośnikami emocji.

4. Występuje ciekawa hierarchia określników: słowo „socjalizm” nie może mieć przydawki. Socjalizm demokratyczny, socjalizm o ludzkiej twarzy, socjalizm humanistyczny — to są rzeczy złe, a ich nazwy — to demagogiczne hasła. Natomiast słowo „socjalistyczny” może jako przydawka funkcjonować. O ile zatem socjalizm demokratyczny jest czymś złym i odpowiednie wyrażenie pochodzi z języka wrogów, to demokracja socjalistyczna jest czymś dobrym i jej nazwa funkcjonuje w naszym języku. Socjalizm humanistyczny to demagogia, ale humanizm socjalistyczny jest w porządku. Jeśli demokracja, to trzeba pytać: dobrze, ale jaka? I odpowiadamy: prawdziwa, to znaczy: socjalistyczna. Gdy pada słowo socjalizm, nie musimy już pytać: dobrze, ale jaki? Socjalizm jest jeden i ten jest prawdziwy. Hierarchii bytów odpowiada więc hierarchia gramatyczna. Byt najwyższy nie jest określany, sam natomiast — jak uczy gramatyka — może dodawać niezbędnego blasku wartościom drugorzędnym.

5. Negatywnie oceniany podmiot działania jest w pewnym stopniu zróżnicowany i temu zróżnicowaniu odpowiadają znów zjawiska gramatyczne. Po prostu nie wszystkie połączenia słowne są równouprawnione. Na przykład po słowie „młodzi”, które jest raczej neutralne, winien iść ostry rzeczownik negatywny, związany z działalnością typu rozrabiackiego. Dopuszczalne będą więc połączenia: „młodzi rozparzeńcy” i „młodzi rozrabiacze”. Po słowie „młodzież” winien nastąpić przymiotnik oddający umiarkowane błędzenie, młodzież bowiem jest pozytywna i błędzenie nie może być przesadne — może więc być „zdezorientowana młodzież”. Ostrzejszym sformułowaniem jest „młodzież bananowa”, ale to dlatego, że ten przymiotnik nie charaktery-

zuje młodzieży jako szerszej grupy, w tym wypadku nie dodaje się cechy, tylko modyfikuje się zakres pojęcia. Z kolei rzeczownik „synalkowie” domaga się umieszczenia po nim (w dopełniaczu) rzeczownika lub całego wyrażenia, charakteryzującego bankrutów. Dopuszcza się więc na przykład połączenia: „synalkowie inspiratorów politycznych”, „synalkowie zbankrutowanych polityków” lub „synalkowie prowokatorów politycznych”. Były to tylko przykłady. Dalsze opracowanie kwestii dopuszczalności połączeń w marcowej propagandzie — może być wdzięcznym zadaniem. Byłaby to analiza nie tyle kategorii językowych, co możliwych sekwencji wyrażań, a więc rzecz nie z dziedziny gramatyki dostarczającej klasyfikacji słów, lecz z dziedziny gramatyki generatywnej, dla której język jest systemem przejść od jednych słów do innych.

6. Język marcowy nastawiony był na kształtowanie postaw — na hipnozę. Ale wobec nieuchwytności opisowej treści wyrażań tego języka — niebardzo było wiadomo wobec czego te postawy miałyby być zajmowane. Omawiany język, wyposażony w wyrażenia o bardzo silnym zabarwieniu emocjonalnym, miał za zadanie kształtować zdecydowane postawy. Jednak odniesienie przedmiotowe tych postaw pozostawało nie nazbyt określone. Ten sposób postępowania harmonizuje z niektórymi dyrektywami politycznej socjotechniki: nakazują one budzić wyraźne nastawienia wobec przedmiotu, który można każdorazowo zmienić, lub lepiej: budzić te nastawienia wobec nieokreślonej kategorii, dla której można znaleźć coraz to inne podstawienie. Mówiliśmy, że niełatwo było się dowiedzieć, kto to właściwie są rewizjoniści, po czym mianowicie można ich poznać. Wiadomo jednak, że wielu może się rewizjonistami okazać, wiadomo też, że źle jest być rewizjonistą.

7. Skuteczność propagandy marcowej jako całości była najprawdopodobniej wobec zwykłych odbiorców nie aż tak pełna, jak zamierzano. Jednocześnie można podejrzewać, że niektóre wątki tej propagandy, jak na przykład wątek syjonistyczny, pozostawiają w świadomości społecznej trwałe ślady. Na szczęście jednak, jak sądzimy, marcowym pracownikom ideologicznym nie całkiem się powiodło. Z drugiej strony, być może, w zbyt małym stopniu dostrzegany jest fakt wpływu ówczesnego języka na samych dysponentów środków masowego przekazu, na tych, którzy jednocześnie decydują o środkach produkcji i o środkach informacji. Jak się zdaje, nie posiadają oni języka technicznego, na przykład języka nauki, który odnosiłby się do spraw społecznych. Protokoły narad w KC wykazują, że dysponenci propagandy mówią między sobą językiem, który w niewielkim stopniu odbiega od przykładów podanych wyżej. Jeśli nawet potra-

fią myśleć inaczej (co z pewnością wobec długotrwałego treningu jest dla nich trudne), to w tym właśnie nastawionym na propagandę języku odbierają informacje i wydają decyzje, a skutki tych decyzji są już nie tylko sprawą ich samych, podejmując decyzje są oni w stanie wpływać na całe społeczeństwo. Ich autohipnoza bywa więc szczególnie niebezpieczna. Dowodów w tej sprawie jest wiele. Jaskrawe przyniósł grudzień 1970.



Jeśli kogoś przytoczone wyżej fragmenty z prasy marcowej pobudziły do uśmiechu, to chyba nie jest źle. Znaczy to, że ów ktoś potrafi — w każdym razie obecnie — umieścić się w dostatecznym wobec tego wszystkim dystansie. W czasie, kiedy cytowane tu teksty czytało się po raz pierwszy, ludzie może rzadziej skłonni byli się z tego śmiać. I dziś wydaje się nam, że sprawa prasy marcowej ma również swój aspekt poważny. Wchodzi tu w grę działalność groźniejsza pod pewnym względem i donioślejsza, niż od czasu do czasu omawiane poczynania trucicieli rzek i niszczyteli krajobrazu. W marcu 1968 mieliśmy do czynienia z masowym zanieczyszczeniem środowiska, ale było to środowisko informacji, środowisko kultury. Rzecz prowadzona była dwoma torami. Następowo wyjąłowanie, redukcja substancji koniecznych dla życia umysłowego i zarazem zakrojony na znaczną skalę proces wprowadzania zanieczyszczeń. Najprawdopodobniej niektóre z tych ostatnich (tak jak niektóre zanieczyszczenia przyrodnicze) mogą w świadomości odbiorców odkładać się i kumulować. Takie zanieczyszczenia niełatwo jest usunąć.

10. WSPÓLNE CECHY CZTERECH KAMPANII

Dokonajmy jeszcze uogólnienia tego, co zostało powiedziane. Jak wspomnieliśmy, kampania marcowa nie była bynajmniej jedyną. Ponadto jest zrozumiałe, że nie cała propaganda ma charakter kampanijny. Pewne wątki są w niej mniej więcej stale obecne. Wśród spraw gospodarczo-ustrojowych należy do nich przeciwstawienie socjalizm-kapitalizm. Mówi się, że socjalizm jest przodującym ustrojem i jednocześnie (to jest, co prawda, ujęcie dość niedawne) twierdzi się, że jesteśmy niebywale zacofani, trzeba więc mobilizować wysiłki. Kapitalizm gnije i rozkłada się, działa szkodliwie i bezwzględnie, zagraża klasie robotniczej i zarazem ludziom w tym ustroju zagraża zalew rzeczy — szalenie dla rozwoju osobowości niekorzystny, zagra-

za alienacja i reifikacja, spowodowana nadmiarem możliwości konsumpcji. My jesteśmy od tego wolni, ale kto wie, może będą to i nasze niepokoje; starajmy się temu przeciwdziałać. Propaganda antykościelna i antykatolicka jest również przedsięwzięciem w zasadzie ciągłym, chociaż czasem wzmagają się i wówczas przybiera formę kampanii.

Cztery kampanie, wspomniane na początku tego tekstu (sprawa listu biskupów i millenium, marzec 68, Czechosłowacja, grudzień) odznaczają się podobieństwami treści i sposobu argumentacji. Z obrazem wydarzeń marcowych przedstawionym przez ówczesną prasę zapoznaliśmy się już szczegółowiej. Odwołując się do tego obrazu zestawimy poniżej niektóre wspólne cechy wielu kampanii. Rzecz prosta, do niektórych już wcześniej omówionych spraw wypadnie obecnie powrócić. Wskażemy szereg cech i jeśli nie zaznaczamy inaczej, będzie to znaczyć, że dana cecha odnosi się do wszystkich czterech wymienionych akcji, a dodajmy, że wiele z tych cech ma również szerszy zakres odniesień — dotyczy względnie stałych cech propagandy. Zaczniemy od jej treści. Mimo, że odpowiednie wydarzenia, o których pisano, były dość rozmaite, obraz ich wszystkich w prasie był podobny. Wskażemy, jakie podawano przyczyny wydarzeń, jak wyglądał ich opis i ocena, jaki prezentowano kontekst sytuacyjny, wreszcie, jakie w tych czterech sytuacjach wysuwano propozycje programowe.

A. Przyczyny wydarzeń

1. Wydarzenia nie mają i nie mogą mieć szerszych źródeł społecznych. Z grudniem w późniejszej fazie bywało inaczej, ale i wówczas o takich źródłach mówiło się raczej skromnie.

2. Winne są poszczególne osoby. Jest to swego rodzaju „personalistyczny” styl myślenia, który odróżnia się od stylu „społecznego”, dominującego zresztą między innymi u obydwu założycieli marksizmu; w kampaniach prasowych z tej ostatniej tradycji raczej nie korzystano. Osoby, które są winne, znajdują się na ogół poza własnym obozem — wtedy są wrogami. Zdarza się jednak, że wina leży również we własnym obozie (jest to odrębny typ kampanii, kampanie rozrachunkowe, por. interpretację grudnia po odejściu Gomułki), wówczas mówi się, że osoby, którym przypisuje się odpowiedzialność za coś „popęłniały błędy” (słynne „błędy i wypaczenia” w ZSRR i w Polsce przed rokiem 1956). Jednak nawet największe błędy osób kierujących — nie przeczą temu, że linia partii jest słuszna. Jeśli rozmiary owych błędów są znaczne, linia partii staje się nieco bardziej ukryta i trudna do stwierdzenia, ale to na słuszność linii nie ma wpły-

wu. „Teraz, w 14 lat po wydarzeniach poznańskich, mówimy, że linia polityczna była słuszna [...] nie w niej, ale w odstępstwie od niej należy szukać źródeł błędów i wypaczeń” (Wł. Kruczek na VIII plenum KC PZPR, luty 1971).

3. Dane wydarzenia, to prowokacja, są to prowokacyjne wystąpienia. Jeśli jednak słowo „prowokacja” ma w ogóle coś znaczyć, to znaczy ono chyba tyle, co umyślne powodowanie cudzych działań wbrew intencjom samych działających, dokonywane przez tych, którzy dysponują odpowiednimi środkami wpływu, a ponadto mogą odnieść z tego korzyść. Jeżeli takie miałyby być znaczenie tego słowa, to oświadczenia o prowokacji wydają się dosyć dziwne. Na ogół zresztą nie wyjaśnia się, kto chciał kogo, do czego i w jakim celu sprowokować, ani też tego, czy mu się to udało.

B. Opis i ocena wydarzeń

1. Mówi się raczej o przeciwniku, niż o sobie, a własny obóz (społeczeństwo, klasa robotnicza, partia i jej kierownictwo, np. z tow. Wiesławem na czele) jeśli nawet jest opisywany, to opis taki ukazuje głównie reakcję na przeciwnika, nie zaś ów własny obóz sam w sobie. Mamy w tym przypadku do czynienia z koncentracją na wrogu i z relatywizacją do wroga.

5. Wróg jest trwały — zarówno gdy chodzi o poszczególne osoby (trwałość w płaszczyźnie indywidualnej) jak i o typ wroga (trwałość w płaszczyźnie społecznej). W przekonaniu o indywidualnej trwałości wroga przejawia się niezmiennosc ocen: gdy ktoś jest uznany za wroga teraz, np. gdy jest obecnie rewizjonistą lub syjonistą, to był nim zawsze. W przekonaniu o społecznej trwałości wroga odzwierciedla się zjawisko spłaszczenia i zatrzymania czasu. Różni byli rewizjoniści, ale rewizjonizm jest zawsze niebezpieczny. Przedwieczny dramat walki z rewizjonizmem odżywa w każdorazowej terażniejszości. W grudniu również poszukiwano rewizjonistów i jeśli nawet nie oni grudzień spowodowali, to w każdym razie chcieli się przyłączyć.

6. Przeciwnik godny jest moralnej pogardy i potępienia. Przeciwnik jest tak charakteryzowany, nosi tak dobrane nazwy, by ta pogarda zawarta była już w treści nazw, którymi ów przeciwnik zostaje określony.

7. O przeciwniku świadczą jego sojusznicy. Ci ostatni są wcieleniem zła, a więc i przeciwnik także. Rozumowanie to stanowi argumentację dodatkową: jest przeznaczone przede wszystkim dla tych, którzy mogliby nie być w pełni przekonani, że sam ów przeciwnik jest już nosicielem zła.

8. Przeciwnik dąży do czegoś, ale jego cele nie są bliżej określone (choć wiadomo, że są złe), raczej już charakteryzuje się przypuszczalne skutki jego poczynań.

9. Ci, którzy w danych wydarzeniach brali udział, dzielą się na inicjatorów i resztę. Inicjatorzy pociągnęli za sobą resztę, która w gruncie rzeczy była niewinna (tak opisywano zarówno marzec jak grudzień).

10. Za plecami tych, którzy działali (inicjatorów i reszty) ukryci byli prawdziwi inspiratorzy. Ci ostatni nawet nie musieli działać, niemniej właśnie ich rola jest najważniejsza. Znajduje tu wyraz spiskowa koncepcja historii, na której wytworzenie miały, jak sądzimy, wpływ dotychczasowe dzieje ruchu komunistycznego, a między innymi charakter, jaki od początku miała tzw. partia nowego typu — leninowska. Taką spiskową koncepcję prezentowano w szczególności w marcu, a także w związku z sytuacją w Czechosłowacji.

11. Mówi się: za dobrze im się powodziło (jest to opis i jednocześnie wskazanie przyczyn wydarzeń), więc dobrze im tak, czemu komuś ma być lepiej niż nam (to już ocena). Wątek ten żywy był w marcu, w związku z Czechosłowacją i w pierwszych interpretacjach grudnia.

12. Nastąpiło zagrożenie porządku, groźba dla istniejącego ładu, były to wystąpienia chuligańskie. Od takich tez prezentację wydarzeń na ogół się zaczyna. Tak było w marcu, w grudniu, przedtem w ten sam sposób opisywano manifestacje przeciw zamknięciu tygodnika *Po prostu* (1957).

C. Kontekst sytuacyjny i propozycje programowe

13. Stwierdza się zagrożenie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, a przyjaźń tę należy umacniać.

14. Wysuwa się decydujący argument za socjalizmem: socjalizm — to polska racja stanu. Podkreśla się tu, że ustrój ten jest przyjaźnią ze Związkiem Radzieckim związany.

15. Nastąpiło zagrożenie ze strony NRF. Tam tkwią inspiratorzy. Nawet marcowi syjonisci byli z NRF-em powiązani.

16. Rozgłos nadawany przez ośrodki dywersyjne świadczy o tych wydarzeniach. Mówienie o nich czegoś innego niż w prasie — jest dywersją i służy wrogom.

17. Wysuwa się postulat i zarazem stwierdza się jedność narodu. Jesteśmy zjednoczeni (jak nigdy dotąd) i jednocześnie do jedności dążymy.

18. Wprowadza się utożsamienia: naród to partia, a partia, to jej kierownictwo. Po grudniu przez krótki czas głoszone

pierwszą tezę bez drugiej: kierownictwo jakby się od partii (i tym samym od narodu) oderwało (ale potem znów się przyłączyło).

19. Należy budzić i wzmacniać wysiłek produkcyjny. Wszyscy podejmują zobowiązania. Zgodnie z nieco dawniejszym hasłem: „w odpowiedzi na atomy budujemy nowe domy”.

20. Należy wzmocnić wysiłek wychowawczy, pracę ideowo-wychowawczą, wysiłek ideologiczny i polityczny. Na VIII plenum w 1956 roku mówił Jakub Berman, składając samokrytykę: „Dziś musimy się zdobyć na olbrzymi wysiłek ideologiczny i polityczny, aby przewyciężyć osad goryczy i bólu po doświadczeniach ubiegłego okresu, aby przewyciężyć rozterkę ideową, szczególnie wśród młodzieży, bez czego nie potrafimy przejść skutecznie do ofensywy”.

21. Podstawowe postulaty mas — i zarazem woła kierownictwa — określają wyjście z sytuacji: trzeba ukarać, usunąć, izolować. Jednym z zadań kolejnych kampanii jest stymulowanie agresji.

22. Konkluzja: po wydarzeniach partia każdorazowo okrzepła, umocniła się lub wzmocniła, zwarła lub zacieśniła szeregi. Wyszła silniejsza niż kiedykolwiek. Wzrosła również jedność partii z całym narodem.

D. Niektóre formalne cechy propagandy

Widzieliśmy, że obraz poszczególnych wydarzeń właściwie przestaje być ich opisem, staje się jakby formą, w którą to, co się dzieje, jest bez względu na swą treść ujmowane. Przejdźmy jednak do cech formalnych w sensie ściślejszym i zestawmy to, co jest pod tym względem wspólne dla szeregu akcji prasowych — w tym dla tych czterech, o których już wyżej była mowa. Cechy te decydują o rodzaju języka, w jakim mówiono — wyrażają jego słownik i gramatykę.

1. Używa się, jak wspomnieliśmy przy omawianiu marcowej propagandy, terminologii o trudno uchwytniej treści opisowej. Niektóre terminy tworzy się przede wszystkim w celu przekazania emocji i ocen. Inne nawet nie przekazują ocen, chodzi wówczas o to, by ich znaczenie — nawet emocjonalne — było zredukowane do minimum. Przykładem może być kariera słowa „wydarzenia”. Zauważmy, że te rozmaite „wydarzenia” nie są określane przez swą treść, przez to, na czym polegały, lecz przez współrzędne czasowe lub przestrzenne. Zaczęło się chyba od wydarzeń poznańskich, potem były wydarzenia październikowe, wydarzenia na Węgrzech, wydarzenia marcowe, wydarzenia w

Czechosłowacji, wydarzenia grudniowe lub wydarzenia na Wybrzeżu. Aż dziwne, że rewolucji październikowej nie nazwano także wydarzeniami październikowymi, a dzień 22 lipca 1944 wraz z jego następstwami nie otrzymał nazwy wydarzeń lubelskich. Chwytamy jednak różnicę. Otóż wydarzenia zachodzą wtedy, kiedy ma miejsce coś dla partii nieprzyjemnego; gdy natomiast jakiś fakt jej nie zagraża, wówczas nie są to wydarzenia: można wtedy nieco swobodniej wspomnieć o tym, co się działo. W przeciwnym wypadku obowiązuje założenie: „po co o tym mówić: sami wiecie, o co chodzi”.

2. Upodobanie do pozytywnej oceny własnego obozu przejawia się niekiedy w specyficznych przesunięciach znaczeniowych. Zamiast nazwy, z którą w świadomości społecznej związana została ujemna ocena, wybiera się inną nazwę, posiadającą pozytywne zabarwienie, ale poprzednio określającą odmienne zjawiska (czasem całkowicie odmienne). Partia komunistyczna otrzymuje nazwę partii robotniczej, międzynarodowy ruch komunistyczny nazywa się ruchem robotniczym, a sam komunizm otrzymuje nazwę socjalizmu. Odróżnienia, które początkowo były widoczne, zostają w ten sposób zatarte i zagubione. Czasem znaczenia zostają przemianowane diametralnie. Siły porządku — to nazwa nadana siłom, które właśnie wprowadzały najwięcej nieporządku. Niekiedy nazwa nie ulega zmianie, ale ewoluuje instytucja, która uzyskuje nowe funkcje, stając się przez to czymś innym. To, co nie jest wyborami, nazywa się „wybory”; to, co nie jest sejmem, nazywa się „sejm”, itd. Związki zawodowe, rada narodowa, rada robotnicza, przedstawicielstwo ludu pracującego — to tylko kilka spośród szeregu przykładów nazw, które nie troszczą się o zmiany rzeczy nazywanych. Korelacja słowa i rzeczy ulega w słowniku politycznym PRL rozluźnieniu, czasem znika, a czasem uzyskuje znak ujemny (por. Ministerstwo Sprawiedliwości lub, nieco dawniej, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego).

3. Język wyraża niezdolność do samokrytyki narratorów. Ze zjawiska tego zdają sprawę bezosobowe formy czasowników. Gdy — co prawda przez krótki czas (tak jak po grudniu 1970 lub po październiku 1956) — mówi się o własnych „błędach i wypaczeniach”, to owe błędy „popelniono”, a nie „popelniliśmy”, rzadziej podmiotem błędu jest „byłe kierownictwo” (lub któryś z jego członków) — wtedy mamy formę: „X popełnił”. Najczęściej zatem występuje w tym wypadku forma bezosobowa. Jeśli jej nie ma, to czasownik odnoszący się do błędów użyty jest w trzeciej, a nie w pierwszej osobie. Pierwsza osoba liczby mnogiej używana jest obficie w odniesieniu do sukcesów. Przywódcy i propagandyści mówią: „zbudowaliśmy przemysł”, ale: „popelniono błędy”.

4. Wspomnieliśmy o wyrażeniach języka, przejdźmy do zdań i całości zbudowanych ze zdań. Każda relacja o rzeczywistości, tak jak i każda fikcja, zawiera luki. Przy pomocy słów niesposób powiedzieć wszystkiego. Ilość luk, miejsc niewypełnionych jest jednak w omawianych tekstach dość niezwykła. To, o czym teksty te nie mówiły, stanowi temat osobny i bogaty, godny rozwinięcia w artykule, który między innymi dokładniej odnosiłby te wypowiedzi do rzeczywistości, do której w założeniu mają się one odnosić. Pamiętajmy, że rozpatrujemy teksty nominalnie przeznaczone do przekazywania informacji. Nasze przykłady pochodzą z prasy codziennej, która w niektórych krajach, przynajmniej niekiedy, stawia sobie za cel informowanie czytelników. Ale informacji jest w omawianych tekstach niewiele. Zdania, tak samo jak i nazwy, raczej nie pełnią funkcji opisowych, lecz albo są eufemizmami, albo są nastawione na przenoszenie emocji.

5. Zdania są na ogół sformułowane w trybie oznajmującym, stwierdzają kategorię, że jest tak a tak (choć — jak wspomnieliśmy — zawartość opisowa stwierdzanych stanów rzeczy jest raczej uboga). Rzadko wysuwane są hipotezy. Rzadko występuje tryb przypuszczający. W szczególności twierdzi się lub zakłada, że fakty nieznanne publiczności, z prasy — są jej właśnie znane i określone. Jeśli informację w ogóle się podaje, to często zjawia się ona ze znacznym opóźnieniem. Wtedy używany jest zwrot: „jak wiadomo...”. Ale nie wiadomo, skąd wiadomo. Informacje o styczniowym zakazie przedstawień „Dziadów” Mickiewicza, a także o lutowym zebraniu Warszawskiego Oddziału Związku Literatów pojawiły się w prasie dopiero w marcu 1968. Stosowana jest formuła: „wszyscy tak sądzą”; na przykład: „całe społeczeństwo to potępia”. Formuła ta wyraża domyślny postulat: „a więc i ty tak sądź lub czyn”. W ten sposób przekazuje się sugestie co do ocen lub informacji. Jak wskazano w jednej z polskich prac semantycznych, sugerowanie ocen jest właśnie cechą wyróżniającą wypowiedzi propagandowe. Nie dość na tym, że wyraża się oceny — o tym mówiliśmy wyżej. Ważny jest fakt, że oceny wyraża się w taki sposób, by jednocześnie przekazać domniemanie, iż dane oceny żywi już odbiorca propagandy. Mamy więc do czynienia nie tyle z propozycjami, co ze stwierdzeniami, które po pierwsze są apodyktyczne, a po drugie — mają sugerować odbiorcy, że ten już daną ocenę podziela. Sądźmy zresztą, że w ten sposób sugeruje się nie tylko oceny, lecz także informacje i odczucia. Z intencji propagandystów zdają więc sprawę formuły: „wiem, że wiesz to a to”, „wiem, że sądzisz tak a tak”, „wiem, że odczuwasz to a to”. Ukryty jest tu apel: „a więc i ty uwierz, że tak jest, uwierz, że tak właśnie sądzisz lub czujesz, jak o tym piszemy”.

6. Występuje zróżnicowanie środków przekazu na prowadzące i kontynuujące kampanię. Przykładem może być prowadząca rola *Walki Młodych*, *Żołnierza Wolności*, *Słowa Powszechnego*, *Panoramy Północy* lub *Prawa i Życia* w marcu 68 — w przeciwieństwie do na ogół tylko kontynuatorskiej roli *Życia Warszawy* lub nawet pewnej opieszałości *Polityki*. Były też teksty — a nie tylko pisma — prowadzące kampanię. Artykuł R. Gontarza w *Kurierze Polskim* („Inspiratorzy”, 12. 03. 68) doczekał się mnóstwa przedruków. Można by wedle ilości przedruków sporządzić punktację artykułów. Czasopisma różniły się nieco praktyką w tej dziedzinie: do niektórych przedruków niektóre redakcje były mniej, inne zaś bardziej skłonne.

7. Występuje terytorialne zróżnicowanie środków przekazu. W marcu 1968 pozawarszawskie mutacje *Życia Warszawy*, *Tribuny Ludu* czy *Sztandaru Młodych* częstokroć nie zamieszczały tekstów wydania stołecznego na temat wydarzeń w Warszawie. Podobnie było w grudniu 1970. To, o czym pisał *Głos Wybrzeża* albo *Kurier Szczeciński*, to, co nadawała rozgłośnia lub telewizja gdańska (specjalnie ograniczono zasięg odbioru) — w innych środkach masowego przekazu nie znajdowało odzwierciedlenia. Blokada informacji — nawet polegającej na tym, że „coś się dzieje” — harmonizowała z blokadą poruszania się ludzi (marzec 68 i grudzień 70, przedtem Poznań 56).

8. Występuje zróżnicowanie źródeł na elitarne i powszechnie dostępne (np. tekst listu biskupów opublikowano tylko w tygodniku *Forum*, natomiast szeroką kampanię przeciw listowi prowadzono w dziennikach). Oddziaływanie propagandowe na wybranych, tzw. informacja wewnątrzpartyjna, będąc elitarną — jednocześnie wyprzedzała wątki, przeznaczone później dla znacznie szerszego audytorium. Wewnątrzpartyjnie wcześniej i bogaciej można się było dowiedzieć zarówno o syjonistycznym zagrożeniu jak o klasowej naturze i strategicznych niebezpieczeństwach czechosłowackich żądań wolności słowa.

Rozpatrywane przez nas osobliwości używania języka nie pojawiły się ani wraz ze wspomnianymi czterema kampaniami, ani też wraz z powstaniem Polski Ludowej. Były i dalsze antecedencje. Podobny sposób posługiwania się słowem ma swą historię i zauważono go dość dawno. Co więcej, pewne charakterystyki tego zjawiska zostały już sporządzone i niektóre z nich przypominamy obecnie. Sprawy, do których przejdziemy, być może rzucą dodatkowe światło na to wszystko, o czym była mowa dotąd.

Wskazanie na analogie i na już przeprowadzone rozpoznania może być też użyteczne dla tych, którzy podjęte tu problemy pragnęliby badać dalej.

II. ANALIZY I PODOBIENSTWA

1. PREKURSOR: FRANCISZEK BACON

Franciszek Bacon był jednym z pierwszych uczonych nowożytnych, którzy zwrócili uwagę na destrukcyjną rolę słów. W swoim „*Novum organum*” Bacon wyróżnił cztery rodzaje złudzeń umysłu (*idola*). Są wśród nich złudzenia wspólne całemu rodzajowi ludzkiemu, uwarunkowane taką a nie inną naturą człowieka. Są to złudzenia plemienne (*idola tribus*). Istnieją złudzenia, właściwe ludziom poszczególnym, uwarunkowane ich prywatnym doświadczeniem. Bacon nazywał je złudzeniami jaskini (*idola specus*). Nas interesuje najbardziej trzeci typ złudzeń, złudzenia rynku (*idola fori*), nazwane tak od ważnego ówczesnie miejsca międzyludzkich kontaktów. Ten rodzaj złudzeń ma swe źródło w tym, co dzieje się między ludźmi, między w zasadzie równouprawnionymi — jak na rynku — partnerami. „Ze wszystkich wszakże idoli najwięcej kłopotu sprawiają idole rynku, które wkradły się do rozumu na skutek związku ze słowami i nazwami. Ludzie bowiem wierzą, że ich własny rozum rządzi słowami, lecz zdarza się tak, że słowa swoją siłą odwracają i oddziałują na rozum” (Ks. I, LIX). „Słowa całkowicie zadają gwałt rozumowi, wszystko mącą i przywodzą ludzi do niezliczonych, jałowych kontrowersji i wymysłów”. (Ks. I, XLVIII). Czwarty rodzaj złudzeń, odróżniany przez Bacona, to złudzenia teatru (*idola theatri*), błędy powstałe wśród ludzi, ale już nie równouprawnionych. Są to błędy wynikłe z przejmowania cudzych nauk i pouczeń. Nasza dopiero epoka pozwoliła w wysokim stopniu skutecznie połączyć oddziaływanie słowa i nierównouprawnienie jego użytkowników. Zapewniono sobie w ten sposób współgranie baconowskich *idola fori* i *idola theatri*.

2. PATOLOGIA JĘZYKA: KORZYBSKI, LASSWELL, KLEMPERER

Problematyka, która interesowała Bacona, w latach trzydziestych i czterdziestych naszego wieku znalazła rozmaite kontynuacje. Sądzimy, że warto zwrócić uwagę na moment, w którym to

nastąpiło. Jedną ze wspomnianych kontynuacji jest semantyka ogólna (*general semantics*), inną stanowią empiryczne badania nad środkami masowego przekazu, jeszcze inną — niektóre prowadzone przez językoznawców studia nad językiem współczesnym, w szczególności studia nad współczesnym językiem politycznym. Wspomniemy o tych trzech tendencjach badawczych między innymi po to, by przypomnieć, że zagadnieniami z pogranicza językoznawstwa i polityki zajmowało się już wielu autorów. Oczywiście, ich zainteresowania ukażemy tylko przykładowo. Reprezentowane przez nich kierunki próbuje dziś połączyć współczesna semiotyka, która staje się ogólną nauką o kulturze. Choć używa się na jej terenie takich terminów, jak „język”, „tekst” czy „znak”, to jednak w semiotyce ich znaczenie wykracza dość daleko poza sens wąsko językoznawczy. Tym jednak nie będziemy się szerzej zajmować i na razie wrócimy do lat trzydziestych do problemów lingwistycznych w sensie ściślejszym.

Alfred Korzybski w 1933 roku opublikował pracę, która zapoczątkowała ruch pod nazwą semantyki ogólnej; mamy na myśli książkę „*Nauka i zdrowie*” lub „*Nauka i zdrowy rozsądek*” (*Science and Sanity*). Obszerne i wielowątkowe dzieło Korzybskiego miało być, jak głosił podtytuł, prezentacją „niearystotelesowskiego” systemu myślenia. Praca zawiera wątki opisowe — poświęcone charakterystyce języka, a także jego funkcji zarówno wobec rzeczywistości, o której w nim mowa, jak i wobec osób, które się nim posługują, ale istnieją w niej też wątki krytyczno-terapeutyczne. Rozwijana przez Korzybskiego semantyka ogólna jest jednocześnie opisem, krytyką języka i czymś w rodzaju psychoanalizy — propozycją terapii schorzeń powodowanych przez słowa.

Warto streścić główne tezy autora „*Science and Sanity*”. Słowa — wbrew temu, co ludzie myślą lub co inni usiłują im wmówić — nie są tym, co oznaczają. Mapa — jak mówił Korzybski — to nie to samo, co terytorium. Mapa jest czymś bardzo użytecznym i trudno z niej rezygnować. Musi ona jednak spełniać określone warunki. Między nią a tym, co ona obrazuje, muszą zachodzić relacje podobieństwa, musi wystąpić odpowiedniość budowy. Ta odpowiedniość jednak, to nie tożsamość. Mapa jest zawsze uboższa, a słowa pod pewnym względem są nawet czymś uboższym od mapy. Mapa jest mianowicie systemem znaków ciągłych i przynajmniej w tej mierze odzwierciedla rzeczywistość, która ma właśnie ciągły charakter. Słowa tego charakteru nie mają.

Korzybski, chcąc pokazać właściwości języka, prezentował również swą teorię rzeczywistości (do opisu rzeczywistości język przecieć ma służyć). Ilość zjawisk zachodzących na poziomie mi-

kroskopowym, niedostrzegalnym przez zmysły, jest nieskończona. Nasze zmysły wyodrębniają dopiero z tej nieskończonej ilości zjawisk pewne przedmioty, które znów posiadają ogromną ilość cech. Do opisu rozlicznych zjawisk, przedmiotów i cech służy nam język o skończonej ilości słów. Temu, co chcemy opisywać, nadajemy nazwy, a ze znaczeniem nazw wiążemy już tylko niektóre cechy przedmiotów i zdarzeń. Wydaje nam się, że gdy nadamy nazwę, gdy opatrzylimy przedmiot etykietą, to przez to doszliśmy już do tego, czym rzeczywistość jest naprawdę. Słowa jednak, choć niezbędne do opisu, nie są przecież w stanie tego, co opisują, wyczerpać. Korzybski proponował, by mieć stale w pamięci fakt, że po każdej charakterystyce należałoby właściwie umieścić skrót „itd.”. Nawiązuje do tego trzyliterowy tytuł kwartalnika wydawanego przez badaczy skupionych wokół Korzybskiego i poświęconego specjalnie semantyce ogólnej, tytuł ten brzmi „ETC”.

Język zatem — to potężne narzędzie selekcji rzeczywistości. Ale jest on również narzędziem deformacji. Używamy wyrazów nieostrych wieloznacznych. Dzieje się wtedy tak, jak gdybyśmy dysponowali mapą, na której rysunek się zamazał (nieostrość), lub mapą, na której odbito kilka rysunków nałożonych jeden na drugi (wieloznaczność). Mieszmą bezpośredni obraz rzeczywistości (wiemy już, jak bardzo jest on uproszczony) z naszymi domniemaniami, dotyczącymi tej rzeczywistości. Zapominamy zdać sprawę z tego, czy to, co mówimy, odnosi się do wszystkich obiektów danego rodzaju, czy tylko do niektórych. Jeśli nawet mówimy o jakimś przedmiocie poszczególnym, to zapominamy o tym, że ulega on zmianom. Pomijanie tej zmienności narzucają nam kategorie naszego języka. Mówimy „Smith”, a powinniśmy mówić lub przynajmniej myśleć: „Smith w czasie t_1 ”, „Smith w czasie t_2 ”. Słowa, które są nazwami poszczególnych obiektów, powinny wedle Korzybskiego nosić specjalne indeksy, oznaczające czas, w którym danemu obiektowi przysługuje to, co o nim mówimy. Tak samo nazwy ogólne powinny nosić indeksy liczbowe: nie ma „Murzyna w ogóle”, jest tylko „Murzyn₁”, „Murzyn₂” itd. Niekoniecznie musimy tak pisać, ale powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że chociaż język często prowadzi nas do uznania tożsamości między różnymi przedmiotami, to w rzeczywistości, nie są one tożsame.

Ci, którzy posługują się językiem w celach perswazyjnych, mogą jego cechy wykorzystywać, mogą skłaniać nas do tego, byśmy zapomnieli, że nazwy to nie rzeczy, że żadna charakterystyka nie wyczerpuje tego, co ma opisać, że przedmiot nie jest jakiś w ogóle, lecz tylko w określonym czasie; mogą nas skłaniać do tego, byśmy widzieli nie przedmioty, lecz upostaciowania

kategorii; te ostatnie w dodatku bywają nieostre i wieloznaczne, a ponadto wydzielone w oparciu o emocje, nie zaś o cechy samej rzeczywistości.

Niektóre pomysły Korzybskiego można by poddać krytyce. Jego system, być może, jest rzeczywiście „nie-arystotelesowski”, choćby w tym znaczeniu, że mówi się tam również o tym, o czym Arystoteles nie pisał. Nie jest przekonujący między innymi postulat Korzybskiego — nie realizowany zresztą przez niego samego — domagający się, by zrezygnować z logiki dwuwartościowej. Czasem jednak Korzybski rozumie tę logikę jako bliską temu, co nazywa się myśleniem manichejskim — jako swoistą (dychotomiczną) logikę uczuć. Wtedy sprawa jest inna. Ale błędami i nieдомówieniami Korzybskiego nie będziemy się tu już zajmować. Ważne są dla nas te jego tezy i zalecenia, o których wyżej była mowa, a także i to, że w oparciu o jego pisma powstała cała szkoła publicystyczna, naukowa i praktyczno-terapeutyczna (elementy te, tak jak u Korzybskiego, są w niej zmieszane). Idee semantyki ogólnej spopularyzował głównie Stuart Chase w „Tyranii słów” (1938) i „Władzy słów” (1954). Stronę naukową tej dyscypliny rozwijał m.in. S. I. Hayakawa, autor książek o roli języka w myśleniu i w działaniu („Język w działaniu” 1941, „Język w myśleniu i działaniu” 1949), a także Anatol Rappaport, filozof i socjolog, a równocześnie autor studiów semantycznych, m.in. „Nauka i cele człowieka” (1950).

W „Krótkim słowniku filozoficznym” (pod redakcją M. Rozentala i P. Judina, wyd. IV. 1954) widnieje hasło „Filozofia semantyczna”. Jak stwierdza „Słownik”, „jej głównymi przedstawicielami są Richards, Ogden, Korzybski, Morris, Hayakawa, Carnap” (połączano w tym wycieceniu nazwiska przedstawicieli semantyki ogólnej, semiotyki i semantyki logicznej). Czytamy objaśnienie: „Filozofia semantyczna — modny subiektywno-idealistyczny prąd filozofii burżuazyjnej, szczególnie w ostatnich latach ceniony przez ideologów reakcyjnych w USA i Wielkiej Brytanii; charakterystyczna forma schyłkowej filozofii epoki imperializmu”. Jednakże według „Słownika”: „Nauka marksizmu-leninizmu o prawdziwej roli i miejscu języka w życiu społecznym uzbraja filozofów marksistów do walki przeciwko reakcyjnej filozofii semantycznej”. W sześć lat później Adam Schaff, polski zwolennik marksizmu-leninizmu, krytykował już „Krótki słownik filozoficzny” i komentując jeden z cytatów z Korzybskiego stwierdzał nawet w swej książce: „Na Boga, rozsądnie!” Nie będziemy już zajmować się tym, czy i kto z kolei za to skrytykował Schaffa (autora „Wstępu do semantyki” i pracy pt. „Język a poznanie”).

Nurt badań, o którym z kolei będziemy mówić, nastawiony

był nie oceniająco i terapeutycznie (co stanowiło zresztą tylko jeden z rodzajów zainteresowań semantyki ogólnej), lecz czysto analitycznie. Chodzi o empiryczne badania nad środkami masowego przekazu. Wedle znanej formuły Harolda Lasswella badania takie mogą stawiać sobie za cel dostarczenie odpowiedzi na następujące podstawowe pytania: kto (badanie dysponentów) mówi co (badanie treści) do kogo (badanie publiczności) i z jakim skutkiem (badanie oddziaływania).

Zasługą właśnie Lasswella było zapoczątkowanie analizy treści i zastosowanie w niej metod ilościowych. Procedura polega tu na tym, że najpierw wydziela się pewne jednostki analizy: mogą to być całe artykuły, zdania lub poszczególne słowa. Następnie wybiera się interesujące nas cechy tych jednostek, np. cechy zdań, i bada się częstość występowania tych cech. Czasem może interesować nas częstość występowania danego słowa, kiedy indziej np. częstość zdań wyrażających pozytywne lub negatywne nastawienie do danego przedmiotu, ilość artykułów lub wielkość miejsca, jakie poświęca się określonej tematyce. Możemy badać zmiany tych częstości w czasie, prowadzić porównania ilościowe między różnymi tekstami lub badać ilościowo współwystępowanie cech poszczególnych tekstów. Dajmy kilka przykładów. W roku 1927 Lasswell opublikował pracę poświęconą porównaniu propagandy brytyjskiej i niemieckiej z czasów pierwszej wojny światowej. Okazało się między innymi, że Brytyjczycy znacznie częściej niż Niemcy kładli nacisk na ideały humanitarne. Swego rodzaju kontynuacją tych badań Lasswella były badania White'a (1949), poświęcone porównaniu systemów wartości w przemówieniach wygłaszanych przez Hitlera i Roosevelta tuż przed drugą wojną światową. White stwierdził na przykład, że wśród wyrażeń emocjonalnych użytych przez Hitlera 35 % wiązało się z wartością siły, podczas gdy u Roosevelta do siły odwoływało się 15 % wyrażeń nacechowanych emocją. Po drugiej wojnie światowej Lasswell i jego współpracownicy wydali zbiór prac zatytułowany „Język polityki”. W książce tej analizowano ilościowo treść tekstów politycznych z czasów wojny, a także hasła pierwszomajowe w Związku Radzieckim w latach 1918-1934 oraz interpretacje nadawane przez III Międzynarodówkę zmianom swej polityki.

Podaliśmy przykłady badań, w których stosowano ilościową analizę treści. W pierwszej części prowadziliśmy jednak jedynie analizę jakościową. Pozostawaliśmy przy tym na ogół blisko tzw. powierzchni zjawisk językowych i nieczęsto sięgaliśmy w sferę języka, którą nazywa się niekiedy jego strukturą głęboką. Nie stosowaliśmy metody, która nakazuje zaobserwowanie wyrażenia interpretować przy pomocy ograniczonego — możliwie nie-

licznego — zbioru własnych kategorii badacza, przyjętych przezeń za niedefiniowalne. Jeśli dokonywaliśmy interpretacji, to znacznie swobodniejszych. Otwiera się tu droga dla dalszych badań, które w sumie, gdy idzie o same teksty, mogą być kontynuowane na dwa sposoby: w kierunku analizy głębszego poziomu języka lub w kierunku ilościowej analizy treści. Pozostaje także wyjście poza treść tekstów, badanie ich stosunku do opisywanej rzeczywistości i wnioskowanie na temat cech nadawców i odbiorców, w szczególności na temat skuteczności oddziaływania.

W związku z tą ostatnią sprawą przypomnijmy, że czwarty z wyróżnionych przez Lasswella rodzajów badań nad środkami masowego przekazu, to właśnie badanie skuteczności ich działania. Jak może warto powtórzyć za G. A. Millerem („Język i komunikacja”), środki masowego przekazu działają skutecznie, po pierwsze, gdy przynaglają do tego, co ktoś i tak już przedtem chciał zrobić, po drugie, tak jak to bywa w przypadku ogłoszeń, gdy usiłują tylko skierować w określoną stronę działania, które w tej czy innej formie i tak by zostało podjęte, po trzecie, gdy ich działanie jest uzupełniane w kontaktach osobistych i w bezpośrednich dyskusjach, oraz po czwarte, gdy wszystkie środki masowego oddziaływania są w całości kontrolowane przez dysponentów środków propagandy i w żadnym z nich nie przedstawia się argumentów przeciwnych.

Zwróćmy uwagę, że Miller zajmuje się tu przede wszystkim skutecznością nakłaniania do podjęcia konkretnych działań. Skuteczność propagandy, polegająca na tworzeniu u odbiorców swego rodzaju osadów myślowych, stereotypów czy zbitek pojęciowych — pozostaje poza obrębem jego rozważań, w każdym razie w pierwszych dwóch punktach powyższego wyliczenia. Rola punktu czwartego (kontrola środków oddziaływania) jest jednak w przypadku propagandy ideologicznej jak najbardziej istotna i przez niektóre systemy ustrojowe w pełni doceniana. O to, by kontakty bezpośrednie nie osłabiły skuteczności działania tej propagandy (punkt trzeci) również starano się zadbać.

Przejdźmy do językoznawstwa. Victor Klemperer, autor zbioru szkiców pod dziwnym może tytułem „LTI” (skrót ten znaczy „Lingua Tertii Imperii” — „Język Trzeciej Rzeszy”), był jednym z niewielu uczonych niemieckich, którzy próbowali na gorąco, w czasie gdy się dokonywały, uchwycić zmiany, które w mentalności ich narodu wprowadzano pod wodzą NSDAP — Niemieckiej Narodowo-Socjalistycznej Partii Robotniczej. Klemperer był romanistą i germanistą, napisał między innymi studium „Francja w oczach Niemców” i szereg prac o francuskiej literaturze oświecenia. Prowadzone przez niego zapiski zaczynają się w marcu 1933 — w czasie przełomu. Zmiany, które niósł ze sobą

nowy ład, interesowały go jako językoznawcę. Pisał, że tytuł jego tomu, „LTI”, można także ujmować metaforycznie: wszystko, co jest wyrazem danej epoki, jest w pewnym sensie jej mową. Trzecia Rzesza przemawiała jednolicie: przez przepych wznoszonych budowli, typ żołnierza, przez swe plakaty, autostrady i masowe groby. Ale szczególny wyraz znalazł nowy ustrój w języku w sensie ściślejszym. Klemperer zwracał uwagę na wątki, które ujawniała sobą mowa Trzeciej Rzeszy: wątek heroiczny z podkreśleniem fanatyzmu jako najwyższej cnoty; wątek walki, słownictwo jakby zaczerpnięte ze sprawozdań sportowych; ukazywał rozmaite formalne cechy nowego języka: jego ubóstwo, rolę skrótów i superlatywów, stosowanie ironicznego cudzośłowu jako środka polemiki. „Narodowy socjalizm nie docierał do ludzi poprzez argumenty czy hasła, odwołując się do świadomego myślenia i odczuwania. Niepostrzeżenie wdzierał się natomiast w ciało i krew mnóstwa ludzi za pośrednictwem poszczególnych słów, zwrotów, form językowych, wpajanych przez miliony powtórzeń, przejętych mechanicznie, całkiem nieświadomie”.

Problemy poruszane przez Klemperera, już po wojnie i po zniknięciu Imperium, podjęli inni autorzy — nawiązując, tak jak on, do tradycji filologicznej. Ostatnio ukazało się kilka prac syntetycznych. Dla nas może szczególnie ważne jest to, że o ówczesnym języku niemieckim pisali i piszą w Niemczech (i to zarówno Zachodnich, jak Wschodnich) autorzy niemieccy. Klemperer do końca życia mieszkał i działał w NRD. Jak pisał w „LTI”: „Na kursach wieczorowych drezdeńskiego uniwersytetu Ludowego i przy okazji spotkań organizowanych przez Związek Kulturalny i FDJ raz po raz mam dziś sposobność zaobserwować, jak młodzi ludzie [...] mimo wszystko nieświadomie wciąż jeszcze idą wpojonymi im dawniej drogami. Nie wiedzą nawet o tym: ale język minionej epoki wprowadza ich w błąd i wiedzie na bezdroża”.

3. JĘZYK I MYŚLENIE: GEORGE ORWELL

Mówiliśmy o tym, jak w rozmaitych działach nauk o człowieku i społeczeństwie usiłowano odnotować (a czasem także poddać analizie i krytyce) nowe zjawiska w sferze panowania języka nad człowiekiem i panowania jednych ludzi nad drugimi — odwołującego się do środków językowych. Wiele spraw — w tej i innych dziedzinach — bardzo wyraźnie dostrzegał angielski powieściopisarz i eseista. Jego właściwe nazwisko brzmiało Eric Blair. Jeszcze w latach trzydziestych przybrał pseudonim

literacki: George Orwell. Należał on do świadków naszej epoki, do tych, którzy umieli w niej zauważyć sygnały może dla wielu niemiłe, lecz wskazujące na zjawiska, które najprawdopodobniej rozwiną się w pełni i zapanują — jeśli nie zdobędziemy się na to, by im przeciwdziałać.

W cybernetyce — dyscyplinie rozwijającej się właśnie w tym czasie, w którym powstawały najważniejsze powieści Orwella — przywiązuje się, jak wiadomo, wagę do odróżniania energetycznego i informacyjnego aspektu badanych systemów. W ślad za cybernetyką — również na terenie socjologii wprowadzono podział podobny: próbowano odróżnić społeczną i kulturową stronę zjawisk na takiej oto podstawie: aspekt społeczny — to byłoby to wszystko, co wiąże się z procesami energetycznymi, z produkcją, wymianą i konsumpcją, czyli, jak mówią cybernetycy, z procesami zasilania; aspekt kulturowy zaś, to byłoby sprawy związane z krążeniem informacji. Przypominamy to, by na tym tle zdać sobie może lepiej sprawę ze specyfiki zainteresowań Orwella. Rozmaite przed-orwellowskie wizje przyszłości koncentrowały się na jej aspekcie energetycznym (dotyczy to zarówno Jules Verne'a, jak i sporej części utworów dzisiejszej Science Fiction). Wizje te traktowały więc co najwyżej o społeczeństwie (w powyżej określonym sensie), lecz nader rzadko o kulturze — pojmowanej jako sfera krążenia informacji. Orwella niektórzy krytykowali za to, że w swych przewidywaniach zbyt mało pokazał przyszłych wynalazków technicznych. Przecież jednak nie na tym mu zależało. Jego wizja przyszłości uwzględniała w znacznej mierze właśnie jej aspekt informacyjny: osobliwości kultury, wśród nich zaś — na doniosłym miejscu — osobliwości języka.

Napisaną w 1949 roku swą najszerzej znaną książkę, „1984”, Orwell uzupełnił specjalnym dodatkiem zatytułowanym „Zasady nowo-mowy” („The principles of Newspeak”). Zacytujmy niektóre fragmenty, ważne ze względu na interesujący nas temat.

„Słownik nowo-mowy stwarzał możliwość użycia bardzo dokładnych, a często i bardzo subtelnych wyrażen na określenie znaczeń wszystkiego, co członek Partii mógł swobodnie nazywać i określać. Równocześnie jednak konstrukcja słownika wykluczała zeń jakiegokolwiek pozapartyjne określenia oraz możliwość samodzielnego tworzenia nie sklasyfikowanych znaczeń [...]. Celem urzędowego języka Oceanii było nie poszerzenie światopoglądu, lecz przeciwnie, zwięzanie go do partyjnego minimum i cel ten osiągnano pośrednio przez zwięzanie do minimum zapasu słów na użytek obywateli”. Oto przykład stosowanych w tym celu środków: „Wszystkie wyrazy spokrewnione z pojęciem wolności i równości zawarto w jednym słowie: 'zbrodniomyśleć', podczas gdy wszystkie inne, znaczeniowo związane z pojęciem obiekty-

wizmu i relatywizmu — zepchnięto pod jedną nazwę: „staromyśleć”. Bardziej dokładne sformułowanie byłoby niebezpieczne”. Jedną z zasadniczych funkcji nowo-mowy była redukcja nieprawomyślności. „Nowo-mowa nastęrczała wielką trudność przy próbach zagłębienia się w herezję, ponieważ poza stwierdzeniem, że dana myśl wkraczała w dziedzinę herezji — nie istniały po prostu słowa konieczne dla bliższego jej określenia. Zamierzeniem Partii było posiadać mowę, która by była, szczególnie gdy chodzi o zagadnienia ideologiczne — jak najbardziej mechaniczna i niezależna od procesu myślenia”. W nowym języku nieprawomyślność stawała się właściwie nonsensem: „... wyrażanie sądów niezgodnych z polityką Partii było przy użyciu nowo-mowy niemal wykluczone. Istniała oczywiście możliwość klekienia prymitywnych wyrażeń, które brzmiały ordynarnie i miały odpychający podźwięk bluźnierstwa. Na przykład można było sformułować takie zdanie, jak 'Wielki Brat jest niedobry', ale było to zdanie pozbawione jakiegokolwiek sensu, bowiem dla ucha wtrenowanego w chwytnie ideologicznej treści nowo-mowy — zdanie takie stanowiło absurd i sprzeczność samo w sobie. Co więcej, nie było możliwości rozumowego rozwinięcia tego zdania lub obrony zawartej w nim tezy, ponieważ nie istniały słowa, których należałoby użyć”. Nowo-mowa była więc jednym z podstawowych środków pedagogiki społecznej. „Polityka Partii przewidywała, że ludzie wychowani od dzieci w nowo-mowie nie będą w stanie popełnić szeregu błędów czy dopuścić się wielu zbrodni — po prostu dlatego, że błędy te i zbrodnie będą dla nich bezimienne, a co za tym idzie, nie będzie ich można sobie wyobrazić. Stałe ograniczanie ilości słów i usztywnianie ich znaczeń z biegiem czasu paraliżowało działanie ludzkiej wyobraźni”.

Niełatwo było znaleźć odpowiedniość między nowo-mową a tym, co wyrażono kiedyś w staro-mowie. Orwell pisze: „Weźmy za przykład znany fragment z Deklaracji Niepodległości: 'Uważamy za oczywistą prawdę, że ludzie rodzą się równi. Przyznoszą ze sobą na świat pewne prawa, których nikt nie może im odebrać. Należą do nich: prawo do życia, prawo do wolności, prawo do szczęścia. Celem strzeżenia tych praw ludzie powołują do życia rządy, czerpiące władzę ze zgody rządzonych. Uważamy również za prawdę, że jeśli dana forma rządu staje się źródłem ucisku, ludzie są w prawie taki rząd zmienić lub obalić i stworzyć rząd nowy...' Tłumaczenie tego fragmentu na nowo-mowę przy jednoczesnym usiłowaniu zachowania sensu oryginału jest nie do pomyślenia. Tłumaczeniem przybliżonym będzie, jeśli powyższy fragment zamieni się jednym słowem: 'myślzbrodnia'. Tłumaczenie dokładne będzie wtedy, jeśli słowa Jeffersona zamienimy panegirytym na cześć rządów absolutnych”.

Powieść Orwella „1984”* nie była bynajmniej początkiem jego zainteresowań językoznawczych. Na przełomie lat 1943-1944 Orwell napisał — wydany nieco później — „Folwark zwierzęcy” („Animal Farm”). Znany z tej książki lapidarny slogan późniejszej fazy rewolucji: „Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre są równiejsze od innych” — jest już sformułowany jakby w języku z „Roku 1984”. Pisany tuż po wojnie esej Orwella „Polityka i angielszczyzna” (1946) również zawiera szereg uwag z dziedziny językoznawstwa (i językoznawstwa politycznego w szczególności). Orwell poddaje tam analizie pięć fragmentów rozmaitych współczesnych tekstów, o których powiada, że prócz błędów indywidualnych i brzydoty mają dwie cechy wspólne: ubóstwo wyobraźni i brak precyzji. Oto środki, z pomocą których teksty te zostały zbudowane: użycie wyświechtanych metafor, waty słownej nie wnoszącej nic do sensu zdania, słów pretensjonalnych i pozbawionych znaczenia. „Język polityki — a jest to prawdziwe z pewnymi zmianami dla wszystkich partii politycznych od konserwatystów do anarchistów — obliczony jest na to, by kłamstwo brzmiało wiarygodnie, by morderstwo uczynić godnym szacunku, a czystym frazesom nadać pozory rzetelności i solidarności”.

Zbierzmy główne punkty orwellowskiej teorii nowo-mowy, tak jak przedstawia się ją w „1984”. Nie wszystkie z tych punktów znalazły zresztą wyraz w poprzednio przytoczonych cytatach. Zaczniemy od cech formalnych.

1. Język jest zhierarchizowany. Składa się z trzech poziomów, którym odpowiadają trzy słowniki. Słownik „A” zawiera słowa codziennego użytku. Słownik „B” — słowa sztucznie stworzone dla celów politycznych. Słownik „C” — wyrazy techniczne. „Samo słowo 'nauka' nie miało odpowiednika w nowo-mowie, uważano bowiem, że wszelkie pojęcia dające się podciągnąć pod to słowo znajdują dostateczny wyraz w określeniu 'Anglosoc' (doktryna oficjalna — angielski socjalizm). Kontakt między trzema poziomami języka jest ograniczony. Istnieje tylko kilka wyrazów, które wchodzą w skład wszystkich trzech słowników jednocześnie.

2. Środki językowe są skąpe i ich zasób stale maleje. Dotyczy to zarówno samych słów jak i składni. Ograniczenie słownika polega na eliminacji wyrażeń, mogących budzić nieprawomyślne skojarzenia. Ograniczenie możliwości składniowych powoduje, że nieprawomyślność staje się nonsensem. (Wróćmy jeszcze do tej sprawy omawiając funkcje nowo-mowy).

* Instytut Literacki, Paryż, 1953.

3. Stosowanie skrótów, między innymi w celu eliminacji możliwych skojarzeń. Jak pisze Orwell, wyrażenie „Międzynarodówka Komunistyczna” może komuś kojarzyć się z hasłami braterstwa ludów, z barykadami i Komuną Paryską. Słowo „Komin-tern” jest natomiast jakby nazwą techniczną, nie daje ono pola wyobraźni, nie ma w nim niczego, co zatrzymywałoby myśl.

4. Manicheizm języka i myślenia: rzeczy pozytywne traktowane są i nazywane zbiorczo, rzeczy negatywne tak samo. Między jednymi a drugimi nie ma związków. Dobro i zło są izolowane, m.in. za pomocą środków językowych. Odpowiednie nazwy oddzielają te całości i nadając nazwy dba się o to, by odrębnie określane było to, co dobre, i odrębnie — to, co złe.

5. Rola ocen. Słownik „B”, jak pisze Orwell, nie zawierał słów ideologicznie obojętnych. Orwell przedstawia szczegółowo sprawę ważną właśnie dla formułowania ocen: stopniowanie przymiotników i przysłówków w gramatyce nowo-mowy. Przypomnijmy, że na rolę superlatywów w języku Trzeciej Rzeszy zwracał już uwagę Victor Klemperer.

6. Rola emocji. Orwell pisze: „Tylko ktoś o ugruntowanej wiedzy na tematy Anglo-Soc. będzie w stanie ocenić pełne ekspresji określenie 'brzuchocuć', które ma przywołać na myśl ślepe, przepojone entuzjazmem oddanie się i wewnętrzną zgodę — trudną do wyobrażenia w dzisiejszych czasach”. Owo „brzuchocuć”, zauważmy, przypomina termin innego prognosty, „bebechowość” St. I. Witkiewicza.

7. Docenianie nie tylko semantycznej, ale i brzmieniowej warstwy języka. Wykorzystywanie twardego brzmienia słów i zgoda na ich brzydotę.

8. Przejście do porządku nad tym, co ktoś mógłby postrze-gać jako sprzeczność. Łatwość tolerowania sprzeczności, to tyle, co zdolność dwójmyślenia. „Przez dwójmyślenie rozumiemy umiejętność wyznawania dwóch sprzecznych poglądów i równoczesne akceptowanie tak jednego jak drugiego”.

9. Przemianowywanie znaczeń. Oto nazwy czterech ministerstw, które stanowią rząd Oceanii: Ministerstwo Pokoju zajmuje się wojną, zadaniem Ministerstwa Prawdy jest produkcja kłamstw, Ministerstwo Miłości zajmuje się torturami, Ministerstwo Obfitości utrzymuje w kraju głód. Obozy koncentracyjne noszą nazwę „obozów radości”.

Przejdźmy do funkcji nowo-mowy, zestawmy skutki jej używania. Można je przyporządkować niektórym cechom wspomnianym wyżej.

10. Następuje ograniczenie myślenia, automatyzacja i mechanizacja odruchów. „Istniała nadzieja, że z czasem uda się

przekształcić mowę na rodzaj czynności fizycznej, wykonywanej przez struny głosowe bez współdziałania mózgu. Ten cel odbijał się wyraźnie w słowie nowo-mowy 'kaczokwak' oznaczającym 'kwakać jak kaczka'. [...] Gdy 'Times' nazywał kogoś z mówców Partii 'dwójplusdobry kaczokwakier' (przymiotnik jest tu stopniowany wedle reguł nowo-mowy), było to oficjalnym wyrażeniem najwyższej pochwały”.

11. Rzeczy nie nazwane znikają. Nie nazywając tego, co jest tabu, nowo-mowa powoduje jego nieistnienie. O czym się nie mówi, o tym się nie myśli. O czym się nie myśli, tego nie ma.

12. Niemożność nieprawomyślności. Pewnych rzeczy nie można nazwać i o pewnych sprawach nie można mówić. To, co można nazwać, zależy od słownika. To, co można powiedzieć, zależy częściowo od słownika, a częściowo od składni. Nawet gdy dysponuje się nazwami rzeczy, o których miałyby się ewentualnie mówić, to gramatyka języka i w szczególności jego składnia ogranicza to, co może być w nim powiedziane. Szczególna składnia nowo-mowy wprowadzała nowy typ reguł sensu: reguły emocjonalno-oceniające (jakby w uzupełnieniu do tych reguł sensu, o których kiedyś pisał polski logik i filozof Kazimierz Ajdukiewicz). Zdanie: „Wielki Brat jest niedobry” nie jest nawet nieprawdziwe, ono jest nieprawidłowo zbudowane: bezsensowne. Orwell, jak już mówiliśmy, odkrył, że na gruncie reguł nowego języka nieprawomyślność jest nonsensem.

Język, który Orwell opisywał, był jednak tylko narzędziem, służył do tego, by z jego pomocą mówić. Zestawmy jeszcze teraz po krótko, przynajmniej część tego, co w tym języku było mówione, przejdźmy do jego strony treściowej.

Trzy slogany Partii brzmiały jak następuje: „Wojna jest pokojem”, „Wolność jest niewolnictwem”, „Niewiedza jest siłą”.

Ważna była tylko Partia, ale prawdziwa Partia, to Partia Wewnętrzna. Uosobieniem Partii był Wielki Brat. Na jego ogromnych portretach były napisy: „Wielki Brat śledzi cię”.

Jakby w opozycji do Wielkiego Brata (jeśli samo takie zestawienie nie jest bluźnierstwem) istniał wróg osobowy, kozioł ofiarny, Emanuel Goldstein. „... reprezentował pierwszą zdradę, grzech pierworodny wobec czystości Partii. Wszystkie następne zbrodnie, zdrady, sabotaże, herezje i odchylenia od linii politycznej popłynęły jak ze źródła z jego zgubnego przykładu”. Nawiasem mówiąc, już w „Folwarku zwierzęcym” występował Snowball — skazany na banicję — którego wkrótce uczyniono odpowiedzialnym za wszystkie niepowodzenia w Folwarku. Zwierzęta podejrzane o nieprawomyślność były denuncjowane jako emisa-

riusze Snowballa. Jeszcze wcześniej była oczywiście historia. I znalazła kontynuacje — również wtedy, gdy Orwell już nie żył.

Podkreślmy rolę agresji. „Programy Dwoch Minut Nienawiści zmieniały się z dnia na dzień, ale Goldstein był zawsze ich głównym bohaterem [...]. Był on przedmiotem nienawiści dużo bardziej stałym niż Eurazja czy Wschodnio-Azja, jako że stan wojny z jednym z tych mocarstw równał się stanowi pokoju z drugim. [...] Z tele-ekranu płynął potok obelg na Wielkiego Brata i oszczerczych zarzutów pod adresem Partii. Goldstein domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją. Gardłował na rzecz wolności słowa, wolności prasy, wolności zgromadzeń i wolności myśli. [...] Równocześnie, aby rozwiązać jakiekolwiek wątpliwości, jakiego rodzaju rzeczywistość kryje się poza potokiem słów Goldsteina, na ekranie, poza jego głową, maszerowały niekończące się kolumny wojsk Eurazji. [...] Audycja 'Nienawiści' nie trwała jeszcze pełnych trzydziestu sekund, a już połowa obecnych na sali zaczęła wydawać z siebie wściekłe wrzaski. [...] 'Nienawiść' osiągnęła szczyt. [...] Ale w tej samej chwili westchnienie ulgi powitało pojawiającą się na ekranie [...] pełną siły i tajemniczego spokoju twarz Wielkiego Brata". Sprawa Dwoch Minut Nienawiści i rola agresji jest znana chyba aż nadto dobrze. Mówiliśmy o tym w pierwszej części. Zwróćmy uwagę, że autor „Roku 1984”, jeszcze przed Mc Luhanem i marcowymi speakerami warszawskiej telewizji, docenił rolę audiowizualnych środków przekazu.

Wreszcie — wymagane cechy odbiorców. Było to przede wszystkim posłuszeństwo i zarazem gotowość do zmiany zachowań. Orwell opisuje mówcę, który w trakcie przemówienia zdolny jest bez zmużenia oka przestawić znak swych potępień i najwyższych pochwał, a to w związku z nagłą zmianą sojuszków Oceanii. Wymagało to tych umiejętności, o których Stefan Thémerson pisał w „Wykładzie profesora Mmaa”: dyspozycji HMV czyli „His Master's Voice”, a po polsku — dyspozycji „takjest-panieporuczniku”.

Prognoza — czy diagnoza — Orwella znalazła zwolennika, który umiał trafnie rozpoznać jej wartość. Polski pisarz, Tomasz Staliński, wiele fragmentów swych „Cieni w pieczarze” (Instytut Literacki, 1971) poświęcił roli słowa w nowym systemie; niejednokrotnie przy tym powoływał się na ustalenia Orwella. „W polskiej nowej mowie Roman (bohater powieści, pisarz, który sam jest badaczem nowego języka) odnajdywał bezbłędnie wszystkie cechy tamtej, orwellowskiej: zastępowała fakty słowami i rytmicznymi zestawami słów, pieczołowicie dbając o to, ażeby były one dźwięcznie jednorodne i nie miały nic wspólnego ze złożoną, mało typową, powikłaną w przestrzeni, czasie i po-

jęciach polską rzeczywistością”. Staliński wyjaśnia zaczerpnięty z platońskiej metafory tytuł swej powieści o złudzeniach: „Cienie w jaskini, cienie bytów niewidocznych, cienie zjawisk, brane za same zjawiska...”. I pisze o intencjach tych, którzy posługują się słowem: „Słowo kształtuje treść myślową, a nie odwrotnie — oto nowa, oślepiąco jasna i zaskakująco prosta koncepcja...”. Czy coś z przekazywanych w nowo-mowie treści zostanie utrwalone w świadomości społecznej? „Tak czy owak, czarnoksiężskie teksty przeznaczone były dla jakiegoś, abstrakcyjnego choćby, ludu [...]. A może lud nigdy sobie nie uświadomi, że się go poniza, skoro nikt w całym zamkniętym kraju nigdy nie pozna innych poglądów, skoro powtarzany i powielany zostanie tylko ten jeden jedyny schemat i nikt nie będzie miał obowiązku ani ochoty konfrontowania go z rzeczywistością obecną, a tym bardziej dawną, planowo już zapomnianą? Czy wszyscy muszą kłamać? Kto nie zna prawdy, ten nie kłamie, zaś nowy język zakłęb i abstrakcji wchodzi w krew”.

Zdaniem Stalińskiego Marks przewidział źle, ale pod pewnym względem dobrze: pisma Marksa choćby nieczytane — wpłynęły na historię. Orwell przewidywał dobrze ale pod pewnym względem źle: raczej nie słuchano go i na to, co się dzieje, nie miał wpływu.

W opisywanej przez Orwella Oceanii nowo-mowę wprowadzono powoli. Na razie, w roku 1984, nowo-mowa sąsiadowała jeszcze ze staro-mową. Nowo-mowa miała w sposób wyłączny zapanować dopiero w roku 2050. Zacytujmy raz jeszcze autora „Roku 1984”: „Nawet literatura Partii ulegnie zmianom. Nie będzie mógł istnieć slogan 'wolność jest niewolnictwem' — gdy pojęcie wolności będzie unicestwione i zapomniane. Klimat myślowy ulegnie zupełnej przemianie. Nie będzie w ogóle procesu myślenia w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Prawomyślność bowiem jest równoznaczna z niemyśleniem, z brakiem potrzeby myślenia. Prawomyślność — to bezświadomość”. Radziecki historyk, Andriej Amalrik, umieścił rok 1984 w tytule swej znanej rozprawy politycznej*. Studium językoznawcze, które obecnie prowadzimy, być może pozwoli zbadać postępy na drodze do roku 2050.

4. JĘZYK I DZIAŁANIE: MÓWI MOSKWA

Warto czytać — lub choćby czasem przejrzeć — tak zwany „Krótki kurs”. Pełny tytuł tego opracowania brzmi: „Historia

* Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?, Instytut Literacki, Paryż, 1970.

Wszeczwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Krótki kurs. Pod redakcją Komisji KC WKP(b). Zaaprobowane przez KC WKP(b). 1938". Liczne wydania „Krótkiego kursu” we wszystkich językach świata miały wielomilionowe nakłady i książka ta, stanowiąca przedmiot nieustannych szkoleń, kształtowała mowę i świadomość działaczy ruchu komunistycznego, sprawujących władzę do dzisiaj. Mogliby oni powiedzieć: „My z niej wszyscy”. Schematy zawarte w „Krótkim kursie” spowodowały powstanie lub utrwalenie się odruchów warunkowych w korze mózgowej kilku kolejnych pokoleń przedstawicieli ruchu komunistycznego. To, co poza „Krótki kurs” wykracza, może się zdarzyć — i będzie wtedy dla nich odkryciem; schematy, które są w „Krótkim kursie” zawarte, są dla nich oczywistością, punktem startowym i wzorem reagowania. Ostatnio na rolę „Krótkiego kursu” zwróciła uwagę Paulina Preiss, która w swej „Biurokracji totalnej” (1969)** pisała, że był to „elementarz władzy”, podręcznik nowej — autonomicznej, monopolistycznej i wszechogarniającej biurokracji (przymiotniki te tworzą zresztą raczej model czy ideał tej biurokracji, a nie opis stanu faktycznego — ale to już sprawa odrębna, skądinąd warta osobnego omówienia).

Mamy zatem podręcznik w dziedzinie mowy, myślenia i działania. Jeśli tak mówimy, to nie chcemy jednak przez to powiedzieć, że wyłącznie tam tkwią korzenie zjawiska zwanego stalinizmem (jest to trudne choćby ze względów chronologicznych). Ale nie sądzimy też, że źródła stalinizmu tkwią tylko w ideologii komunistycznej lub, szerzej rzecz ujmując, w ideologii lewicowego ekstremizmu, ani że należy ich szukać jedynie w ideologii i problemach rosyjskich. Wyrażając to jeszcze ogólniej: nie uważamy, by ideologia, język, świadomość, które są niewątpliwie ważnym świadectwem czasu, stanowiły tym samym jedyny klucz do zrozumienia wszystkiego. Jednoczynnikowe interpretacje świata nie cieszą się naszym uznaniem. Niemniej, jak głosi „Krótki kurs” we wstępie: „Studiowanie historii WKP(b) wzmacnia pewność, że wielka sprawa partii Lenina-Stalina zwycięży, że komunizm zwycięży na całym świecie”.

Zobaczymy, jakie wydarzenia odnotowano w poszczególnych rozdziałach tego podręcznika. To ujęcie wydarzeń musieli dobrze znać jego adepti. Oto początki historii porewolucyjnej: Najazd jaśniepanów polskich na Kraj Radziecki. Krach planu polskiego. Rozgromienie Wrangla. Koniec interwencji. (VIII 4).

Rozdział VIII 5 stawia przed czytelnikiem problem: Jak i dłaczego Kraj Radziecki pokonał zjednoczone siły angielsko-francusko-japońsko-polskiej interwencji i burżuazyjno-obszarni-

czo-białogwardyjskiej kontrrewolucji w Rosji? Dowiadujemy się tam m.in., że w szeregach Armii Czerwonej walczyli bohaterowie samorodki. Orasz, że jak mówił Lenin: „Bez komisarza wojskowego nie mielibyśmy Armii Czerwonej”.

W dalszym ciągu nastąpiły m.in. następujące fakty: Klęska opozycji. Przejście do nowej polityki ekonomicznej (nep) (IX 2), Klęska trockistów (IX 4), Powstanie antypartyjnego bloku trockistowsko-zinowjewowskiego. Antypartyjne wystąpienia bloku. Klęska bloku (X 1). Nienadążanie rolnictwa. Nastawienie na kolektywizację gospodarki rolnej. Rozgromienie bloku trockistowsko-zinowjewowskiego (X 2).

Rozdział XI nosi tytuł: Partia bolszewików w okresie walki o kolektywizację rolnictwa. Oto odnotowane tam wydarzenia: Przejście od polityki ograniczania żywności kułackich do polityki likwidacji kułactwa jako klasy (XI 2). Ofensywa na całym froncie przeciw elementom kapitalistycznym (XI 2). Zwycięstwo socjalizmu na całym froncie (XI 3). Rozdział ten informuje także o ciemnej stronie obrazu. Następuje kolejno: Wyrodzenie się bucharinowców w dwulicowców politycznych. Wyrodzenie się trockistowskich dwulicowców w białogwardyjską bandę morderców i szpiegów. Nikczemne zamordowanie S. M. Kirowa (XI 4).

Kończący książkę rozdział XII dotyczy partii bolszewików w walce o zakończenie budownictwa socjalistycznego, zawiera też dane o wprowadzeniu nowej konstytucji. Po omówieniu sytuacji międzynarodowej przechodzi się do następujących wydarzeń: Wzrost dobrobytu ludowego. Wzrost kultury ludowej. Siła rewolucji radzieckiej (XII 2). Likwidacja resztek bucharinowsko-trockistowskich szpiegów, szkodników i zdrajców ojczyzny (XII 4). Nastawienie partii na szeroką demokrację wewnątrzpartyjną (XII 4).

Zdawano sprawę z kolejnych zjazdów partii i kolejnych sukcesów. Toczo no walkę na całym froncie. Ale hydra trockizmu odradzała się nieustannie. Po klęsce trockistów powstał antypartyjny blok trockistowsko-zinowjewowski. Potem nastąpiła klęska bloku, a jeszcze później rozgromienie tego bloku. Z kolei trockistowscy dwulicowcy wyrodzili się w białogwardyjską bandę morderców i szpiegów, po czym nastąpiła likwidacja resztek bucharinowsko-trockistowskich szpiegów, szkodników i zdrajców ojczyzny. Oczywiście nie na tym koniec. W tym miejscu po prostu kończy się książka. Jest rok 1937. Warto chyba cytować dłuższy fragment z ostatniego rozdziału. Jego prosty tok wykładu przywodzi na myśl — kiedyś częściej cytowane — prace bezpośrednio podpisane przez Józefa Stalina. Słuchajmy. Mówi Moskwa. Orwell będzie pisał swą powieść dopiero dziesięć lat później.

** Instytut Literacki, Paryż, 1969.

„1937 rok ujawnił nowe dane o zbrodniarzach z bandy bucharinowsko-trockistowskiej [...]. Procesy sądowe ujawniły, że zbrodniarze trockistowsko-bucharinowscy, wykonując wolę swych rozkazodawców — burżuazyjnych szpiegowskich wywiadów państw obcych, mieli na celu rozbicie partii i Państwa Radzieckiego, podkopanie zdolności obronnej kraju, ułatwienie zbrojnej interwencji państw obcych, przygotowanie porażki Armii Czerwonej, rozbiór ZSRR, oddanie Japończykom radzieckiego Kraju Nadmorskiego, oddanie Polakom Białorusi Radzieckiej, oddanie Niemcom Ukrainy Radzieckiej, zniweczenie zdobyczy robotników i kołchoźników, przywrócenie niewoli kapitalistycznej w ZSRR.

Te karty białogwardyjskie, których się można by porównać chyba tylko z siłą nędznego robaka, uważały siebie — rzecz godna śmiechu — za gospodarzy kraju i wyobrażały sobie, że rzeczywiście mogą rozdawać i sprzedawać Ukrainę, Białoruś, Kraj Nadmorski.

Te karty białogwardyjskie zapomniały, że gospodarzem Kraju Radzieckiego jest naród radziecki, a panowie rykowowie, zinowjewowie, kamieniewowie (ortografia oryginału — J.N.) są tylko czasowo na służbie państwa, które w każdej chwili może ich wyrzucić ze swych kancelarii jak nikomu nie potrzebne śmiecie.

Ci nędzni służalcy faszystów zapomnieli, że wystarczy, by naród radziecki poruszył palcem, żeby nie zostało po nich ani śladu.

Sąd radziecki skazał bucharinowsko-trockistowskich wyrzutek społeczeństwa na rozstrzelanie.

Komisariat Ludowy Spraw Wewnętrznych wyrok wykonał.

Naród radziecki powitał z uznaniem rozgromienie bandy bucharinowsko-trockistowskiej i przeszedł do spraw bieżących”.

Panowie rykowowie, zinowjewowie, kamieniewowie (zwróciliśmy uwagę na małe litery, wystąpiła też liczba mnoga), to pierwowzór bankrutów politycznych. Państwo — czytamy w „Krótkim kursie” — może ich w każdej chwili wyrzucić, jak nikomu niepotrzebne śmiecie. Ci komuniści byli w istocie reakcyjni. Były to karty białogwardyjskie, niesłychanie szkodliwe i nieszkodliwe zarazem. Mogły one i jednocześnie nie mogły dokonać rozbioru ZSRR. Skazano ich słusznie.

Tyle „Krótki kurs”. Wcześniej miał głos prokurator, akademik Andriej Wyszynski. W dniach 19-24 sierpnia 1936 toczył się proces „trockistowsko-zinowjewowskiego centrum terrorystycznego”. Oskarżano szesnaście osób z Zinowjewem i Kamieniewem na czele. Wyszynski kończył przemówienie: „Żądam rozstrzelania tych wściekłych psów — wszystkich co do jednego!” (zapamiętajmy animalistyczną metaforykę, powróci ona jeszcze w

kilku cytatach). Sąd Najwyższy ZSRR przychylił się do wniosku oskarżenia. Wyrok wykonano następnego dnia, 25 sierpnia.

Ostatni z procesów, o których „Krótki Kurs” informuje, proces odłamu „bandy bucharinowsko-trockistowskiej”, mianowicie „antyradzieckiego bloku prawicowo-trockistowskiego” (Bucharin, Rykow, Jagoda, Krestinski, Rozenholc i inni — razem dwudziestu jeden oskarżonych) toczył się w dniach od 2 do 13 marca 1938 roku. Wyszynski mówił wtedy:

„Nie ma wprost słów dla opisanie w całej pełni potworności zbrodni, popełnionych przez oskarżonych. A zresztą, czy tu jeszcze w ogóle są potrzebne jakiegokolwiek słowa? Nie, towarzysze sędziowie, słowa nie są potrzebne. Wszystkie słowa już zostały wypowiedziane, wszystko zostało zanalizowane do najdrobniejszych szczegółów.

Cały kraj, od dziecka do starca, oczekuje i żąda tylko jednego: zdrajców i szpiegów, którzy zapredali wrogom naszą ojczyznę, rozstrzelać jak wściekłe psy!

Cały nasz naród domaga się, by unicestwić te przeklęte żmije!

Przeminają lata. Groby tych znienawidzonych zdrajców zarosną chwastem i zielskiem, okryte wieczną pogardą uczciwych ludzi radzieckich, całego narodu radzieckiego.

A nad nami, nad naszym szczęśliwym krajem będzie nadal jasno i radośnie świecić słońce. My, nasz naród, będziemy nadal kroczyć drogą oczyszczoną z resztek plugastwa i brudu, kroczyć z naszym ukochanym wodzem i nauczycielem, wielkim Stalinem, na czele, wciąż naprzód, do komunizmu!”

W stosunku do tych oskarżonych, których skazano na karę śmierci (w tym procesie dotyczyło to osiemnastu osób) wyrok wykonano 15 marca, w dwa dni po ogłoszeniu. Zostało spełnione to, czego, jak twierdził prokurator, żądał cały kraj. Typ mowy, która się z tym wiązała, rozpatrywaliśmy poprzednio. Wszystkie słowa już zostały wypowiedziane — powtórzmy raz jeszcze sformułowanie Wyszynskiego.



Oczywiście, nie tylko w Polsce toczono są kampanie propagandowe. Nie tylko w Związku Radzieckim słowo — w sposób, o którym mówił Wyszynski — stawało się ciałem. W *Polityce* z 20. 10. 1971 ukazał się artykuł pod tytułem „Rozdeptać zatrute żaby”. Rzecz traktuje o Gwinei, państwie, w którym istnieje tylko jedna partia, mająca w nazwie nieco inny przymiotnik, niż zwykłe w takich wypadkach słowa „socjalistyczna”, „robotnicza” lub „komunistyczna”. Jest to mianowicie Demokratyczna Partia Gwinei. 24 stycznia 1971 na konakryjskim sta-

dionie ogłoszono wyrok na wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Oto, co mówił przewodniczący komisji śledczej:

„Dziś zaczyna się nowy etap rewolucji. Nie ma już miejsca na żadne rozwiązania pośrednie... Naród powinien rozdeptać za trute żaby, skorumpowane elementy towarzyszące imperializmowi przy jego grobowcu. Śledztwo dotyczące działania V kolumny w Gwinei nie zostało jeszcze zakończone. Ale zostanie ona na pewno wytępiona do końca. Macie wrogów w swoich rękach. Zniszczcie to robactwo! Śmierć zdrajcom!”

W tym samym artykule pisano o innym gwinejskim procesie:

„Jest to 'proces-rzeka', który zapewne przejdzie do historii jako pierwszy proces sądowy, w którym zastosowano środki masowego przekazu dla wymiaru sprawiedliwości w Afryce: toczy się on bowiem przed mikrofonami rozgłośni 'Głos Rewolucji', a sędziami są członkowie DPG. Odrzucono 'prawniczy formalizm burżuazyjny', dając priorytet 'sprawiedliwości rewolucyjnej'”. „Proces konakryjski toczy się w atmosferze 'rewolucyjnej przemocy'. Piętnuje się po nazwiskach [...] kameleonów, elokwentnych mówców, symulantów, demagogów, marksistów w dzień, lecz w nocy sługusów imperializmu'. Wzywa się: 'Bądźcie towarzysze zjednoczeni, czujni! Denuncjуйте malwersantów, wszystkich skorumpowanych: tych, których widzicie, że chodzą o północy do jakiejś ambasady: tych, którzy od kogoś przyjmują i biorą lub otrzymują podarunki. Denuncjуйте wszystkich!'”.

Cytaty z Orwella nie są już nam potrzebne. Jeden z przywódców socjalizmu w krajach trzeciego świata, prezydent Sékou Touré, dowódca naczelny Gwinejskich Sił Ludowych i Rewolucyjnych, powiedział: „Zginę na pewno od kuli, ale nie dam się odgrodzić od mego ludu...”.

We współczesnym świecie zachodzi wymiana doświadczeń. Z procesami różnicowania współwystępuje (a często nad nimi dominuje) upodobnianie się wzorów ustrojowych, stylów wypowiedzi lub stylów polityki. Jak widzieliśmy, w roku 1971 w Gwinei pogłębiły się wpływy kontynentu euroazjatyckiego. A jednocześnie — by wrócić do zasadniczego tematu naszych rozważań — w marcu 1968 polski model socjalizmu (w tym zakresie, który nas tu interesował) zbliżył się do modelu afrykańskiego. Dzięki wzorom wspólnym dla obu modeli pozycja Polski u brzegów Afryki uległa umocnieniu.

Jan NOWICKI

Książki

Nikczemna, smutna planeta

(TRZY KSIĄŻKI STANISŁAWA REMBEKA)

1. Rembek Stanisław Edmund. Urodził się w Łodzi w 1901, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, pracował jako urzędnik, robotnik, nauczyciel. We wrześniu 1939 walczył w obronie Warszawy. Po skończonej wojnie pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w roku 1947 zamieszkał w Piotrkowie i zarabiał na życie prywatnymi lekcjami. W 1955 wrócił do Warszawy.

Napisał sześć książek, wszystkie o tytułach żołnierskich. Otrzymał dwie nagrody: przed wojną miasta Kalisza, po wojnie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Recenzowany najczęściej w prasie katolickiej, wydawany przez PAX.

Debiutował w roku 1922 *Ekspedycją karną* — książką dla młodzieży. *W polu* — z podtytułem „opowieść” — ukazała się w roku 1937; *Wyrok na Franciszka Kłosa* — w dwa lata po wojnie, w roku 1956 *Ballada o wzgardliwym wisielcu i dwie gawędy o powstaniu styczniowym*. Tytuły niektórych recenzji: „Realizm prawdziwy”, „Powieść o polskiej wojnie”, „Wojna au relenti”, „Pijacka plotka o okupacji”, „Zmarnowany talent”².

Rembek domaga się od Boga, a raczej od ducha natury i dziejów, kary za krzywdę biednych. Czymże jest więc dla niego Historia i jej człowiek — żołnierz? Wszelki żołnierz: rekrut, powstaniec, robotnik na barykadach... Oto on: sierżant Górny, Ładny, milkliwy, o „... błękitnych rozstargnionych oczach rozbudzonego w pogodny ranek dziecka”. Wysokie brązowe buty starannie wyczyszczone. Trochę jak sierżant Grisza, a trochę jak Niewiadomski — Wittlina. Grywa ze słuchu na skrzypcach i Rembek bezskutecznie zapewnia o jego nijakości. „Przezroczyście”

1. Jedyne powojenne wznowienie: Instytut Literacki, Paryż, 1958, str. 309.
2. *Słownik współczesnych pisarzy polskich*, t. 3.

żołnierza jest mu potrzebna do tezy — na poły religijnej a na poły klasowej — o odwecie Natury-Historii za krzywdę „szarego człowieka”.

Wołyń, wojna polsko-bolszewicka... Zanim zaczyna się właściwa opowieść, ginie jej ideowy bohater wysłany na patrol wraz z sześcioma innymi. Nie sam ginie; do kompanii powraca tylko czterech żołnierzy, a mistyczną rangę dość zwykłej w wojnie śmierci nadaje sierżant Dereń. Odnajduje ciało Górnego, grozi żołnierzom zemstą.

Wina, krzywda i kara. Oto trójca w historyczno-psychologicznej dialektyce Rembeka. Gdzie szukać winy: w wojnie jako takiej, w nagłym wybuchu sierżanta, który zaraża defetyzmem żołnierzy czy też w ludziach, którzy otaczali ofiarę, przeciw na równi z nią narażeni na krzywdę i śmierć? „To tylko dla mnie jest pewne, że dziejów ludzkości nie tworzy nigdy rozum i że nie wiadomo, czy to nie tacy Dereń właśnie powołani są do rządu dusz i do wskazywania dróg postępu... Kapral Górny zdawał się być w oddziale nic nie znaczącą jednostką, a jednak jego strata wstrząsnęła całą budową kompanii. Zapewne tak samo przedstawia się rola narodów w strukturze całej ludzkości...” — definiuje to jeden z oficerów.

W *polu* powstało w nurcie literatury faktu, w stylistyce tak zwanej nowej rzeczowości, nowego realizmu. Obiektywna, bez ambicji demaskatorskich opowieść Rembeka przypomina nie „Dzień rekruta” Zbigniewa Uniłowskiego, lecz Adolfa Rudnickiego — „Żołnierzy”. Ale w tej opowieści nowy realizm kłóci się ze sztywną, zbyt okrągło wypowiedaną tezą. Narracja jest nierówna, stylistycznie niejednorodna. Czysto i silnie brzmi w niej tylko rzeczywistość bitwy i okopów, dla pisarza jakby mniej ważna. Rembek jest człowiekiem sprawiedliwym, obdarzonym wyobraźnią moralną. Ale sztuce jego dyskursu brak intelektualnego polotu, a tezom — konsekwencji. „Szary człowiek”, którego krzywda obciąża całą ludzkość, to ślepe narzędzie działających w nim sił mistycznych. Medium Sprawiedliwości Kosmicznej. Przykłady z tomu o powstaniu styczniowym nabiorą pod tym względem bardziej marksistowskiego odcienia.

Faktycznie, po śmierci kaprała, kompanię opuszcza szczęście. Przeświadczenie Derenia, że „...przedtem wszystko wyglądało inaczej” udziela się żołnierzom; przestają ufać dowódcom, zaczyna się dezercja. Do innych pułków albo do bolszewików. A jednak spełniona przepowiednia Derenia to tylko klamra ideowo-kompozycyjna tej książki. Rembek napisał opowieść, której bohaterem nie jest ani sierżant ani kapral, ani nawet owa ławina przypadków sumująca się w rozum, czy raczej antyrozum dialektyczny. Bohaterem książki Rembeka jest wojna. Każda. Także i ta, autorowi znana z doświadczenia.

W tym dramacie urwanym w momencie tragicznym główną rolę przejmuje porucznik Paprościński, kompanijny *outsider*. Człowiek żałosny, pretensjonalny, rozdygotany w środku, opatowany na zewnątrz. Sparaliżowany przerostem małej duszy. Po

pierwszej wojnie, emigrant we Francji i Szwajcarii, trafem uzyskał awans oficerski. Na początku książki — tylko pozer nekany wyrzutami sumienia, pod koniec — patetyczny. Po rozbitciu kompanii biegnie wśród wycia pocisków, zwierząt i jęku padających żołnierzy. Jest to bieg śmierci; z otwartymi w krzyku ustami; pierwszy raz w życiu bez strachu i bez pozy. Najbardziej dynamiczna i zwarta część tej książki.

Paprościński biegnie, na przemian modląc się i bluźniąc, nucąc Griega i Księżniczkę Czardasza, to zdając się na instykt, to wybierając rozum. Godząc się ze śmiercią lub wybuchając histeryczną radością na myśl, że może przeżyje. Pomimo, że to jego monolog wewnętrzny, do autora należy modlitwa, którą żołnierz wykrzykuje bardziej ziemi niż niebu: „...przyjdź królestwo twoje harmonii, miłości i pokoju do chaosu rozbieżnych dążeń i niedołęstwa naszych władków, do tego piekła, gdzie wszystko co żyje, pożera się wzajemnie, gdzie jedynym grobem każdego stworzenia czy nawet narodu jest zawsze żołądek silniejszego i bardziej brutalnego... Ukaż nam nasze winy i błędy, oświeć nasze zbłąkane umysły i wyrwij z naszych serc pychę panów świata... Ratuj nas od nas samych... Zlituj się nad naszą nędzą, głupotą i złością...”

W *polu* to najrzetelniejsza opowieść o tej najbardziej załganej z polskich wojen. Książka niespodziewana — przez siłę dramatyczną i brak tendencyjności. Nie ma w niej Baryki, ani tego, co siedząc na polskiej armatce, podczytywał Lenina. Żołnierze siódmej kompanii, robotnicy, urzędnicy, biedni chłopcy walczą z bolszewikami, ponieważ jest to wróg-żołnierz. Z ich wspólnych z oficerami (!) rozmów Polska wyłania się swojska: młodzieutka a już szpetna. Ani matka, ani macocha. Taka sobie, byle jaka... Akcja tej wojny, tej książki, na przekór jej misternej, naddanej kompozycji, toczy się chaotycznie, prawdziwie. Dywizja, do której należy kompania, raz wygrywa, raz przegrywa, najczęściej się cofa. Żołnierze są zmęczeni, wystraszeni, w rzadkich chwilach doznają upojenia. Upaja czynność strzelania, nie — zadawanie śmierci.

Trwa wielki odwrót Polaków; żołnierze palą plecaki, niszczą kuchnie polowe. Jest *W polu* taki fragment, który zawiera najgłębszą choć nie jedyną prawdę tej wojny, każdej wojny. Śmiertelnie znużeni Rosjanie biegną obok śmiertelnie znużonych Polaków, nawołując ich do poddania: „Paprościński widział tuż obok siebie ich amarantowe ze zmęczenia i świecące od potu twarze, otwarte męczeńsko usta i cienkie, szare ubiory polowe. Trzymali w omdlałych rękach długie karabiny polowe o białych kołbach, ale żaden z nich nie strzelał. Tak samo zresztą jak Rudajewski i Paprościński... Dla strzału przecie trzeba było się zatrzymać lub zwolnić kroku...”

Resztki oddziału docierają nad Wilię. Po drugiej stronie rzeki stoi zbita masa zwyciężających Rosjan. *W polu* nie kończy się odparciem bolszewików, ani cudem nad Wisłą, lecz straszliwym pogromem-ucieczką. Nad ostatnim z umierających oficerów po-

chyła się sierżant Dereń: „— A co, warto było tak zmarnować Górnego?”

3. Wojna jest teatrem! — tak myśli Dereń, majacząc w ataku malarii. Wojna jest grzesznym żywiołem! — tak myśli chyba Rembek, mozolnie szukając w niej moralnego i dziejowego sensu. Historia Górnego kończy się morałem fikcyjnym. Historia Kłosa — dwuznacznym. O Franku opowiada niepozorny narrator, jeden z mieszkańców miasteczka. My z Brodni — mówi o sobie. *Wyrok na Franciszka Kłosa*³ stanowi rzadkość w naszej literaturze wojennej. Książka Rembeka przypomina, na dobrą sprawę, tylko „Pamiętnik antybohatera” Kornela Filipowicza.

Kłosem rządzi strach. Najpierw przed Niemcami, potem przed zemstą podziemia, wreszcie przed żoną i Bogiem. Strach — źródło dobra i zła.

Kłós dobra od zła nie odróżnia. Odróżnia silniejszych od słabszych. Raz silniejszy jest Niemiec, raz Bóg. Pod wpływem strachu Kłós zaczyna pić, pod wpływem alkoholu — zabijać. Pod wpływem strachu przestaje pić i zabijać. Ale kiedy miasteczko już zapomni mu popełnionych zbrodni, strach spowoduje, że Kłós, znów znacznie strzelać. Złe trafia; w Polaków przebranych za Niemców.

Był zaś synem nie złodzieja i kurwy, lecz dewotki i prowincjonalnego „socjała”. Uczył się dobrze, wódki nie brał do ust. Ożenił się i — przeklinany przez ojca — zaczął pracować w policji. Ale Rembek zaczyna swą książkę *ad rem*: Kłós otrzymał wyrok podziemia. Raz już zabił; bardziej z pijaństwa i poczucia subordynacji, niż ślepej zawziętości.

Książka Rembeka to historia śmiertelnego zagrożenia, które choć dotyczy wszystkich, nie jest szczelne; niszcząc innych można się poczuć bezpieczniej. Jest to książka o osaczeniu, bo jeśli życie Polaków było piekłem podczas tej wojny, to życie kolaborantów było piekłem podwójnym. O strachu przed zemstą swoich i przed kaprysem Niemców. A także o dodatkowym smalcu i zakrwiwanym bimbrze.

W miasteczku Brodnia, jakich w Polsce nie brak, takich jak Kłós było bardzo wielu. Ale w potocznej opinii ich wina jest znacznie mniejsza. Są to z góry napiętnowani: pół-Polacy, Słazacy, Polacy z niemieckim nazwiskiem, Niemcy z nazwiskami polskimi. Renegata różni więc od nich — i obciąża — tylko „czysta polskość”. Prawda, brak mu kryteriów moralnych, poczucia sprawiedliwości. Ale to cecha, która rodzi się w prześladowanych, a nie w tych, których przypadek z ogółu skrzywdzonych wyróżnił.

Z góry uprzedzam: książka Rembeka nie jest oskarżeniem ani ludzkiej ani polskiej natury. Nie jest także subtelnym psychologicznym studium z rzędu tych, w których zbrodniarz nigdy nie urasta do rangi kanalii. Rembek nie porównuje Polaków

3. Biblioteka Prozaików Polskich. Wyd. E. Kuthana, Warszawa 1947.

z Niemcami. Opowiada historię; jedną z wielu możliwych. Jego milkliwy narrator zastanawia się nad istotą okrucieństwa. Na swój niewyszukany sposób, stylem płasko-pocziwym tym bardziej dwuznacznie dla patriotycznych uszy: „Nieraz zastanawiałem się podczas ostatniej wojny nad tym, dlaczego tak wielu ludzi znajduje przyjemność w znęcaniu się nad bliźnimi i w ich zabijaniu. Doszedłem do wniosku, że nie można tego tłumaczyć samym tylko sadyzmem... W każdym bądź razie każde morderstwo musi wymagać od mordującego olbrzymiego wysiłku woli i nie byle jakiego napięcia uczuć. Bo niewątpliwie wszyscy żandarmi niemieccy byli ludźmi o instynktach zbrodniczych inaczej przecież nie zostaliby żandarmami. Wszyscy oni byli zawsze gotowi bić, kopać, znęcać się i zabijać każdego, kogo im wskazano... A jednak, jeśli chodziło o masowe mordowanie bezbronných, jak to było właśnie z Żydami, to tylko nieliczne jednostki zgłaszały się do tej roboty. Jeśli nie było wśród nich Polaków, to należy to przypisać potędze naszej opinii publicznej, która wykreślała ze społeczeństwa każdego, kto w jakikolwiek sposób współpracował z Niemcami. Polak o instynktach zbrodniczych miał u nas jedną tylko drogę: zostać folksdojczem.

Kłós nie jest sadystą, nie upaja go zabijanie. Kiedy na własne życzenie morduje całą, rzekomo żydowską rodzinę, jest to próba zaśluzenia się Niemcom i strach przed wyrokiem podziemia. Podobnie później będzie wystugiwał się Bogu. Od Niemców otrzyma nagrodę: wymarzony tytuł folksdojczca. I tu dopiero mać mu się rozum. Kłosa ogarnia paranoja na opak; czuje się szczęśliwy, całkowicie bezpieczny.

Szczęśliwy — wraca z radosną nowiną do domu. Żona ucieka od niego. Szczęśliwy — udaje się na dworzec, ażeby jechać po żonę, która od niego uciekła. Przepenia go życzliwość do ludzi, po raz pierwszy od wielu miesięcy; uśmiecha się, zagaduje. Zagaduje nawet do tych dwóch, którzy pierwsi do niego podchodzą.

Wśród zebranych na cmentarzu znajduje się przypadkowo ów niepozorny narrator historii. Dokonała się sprawiedliwość. Ale czy sam by zabił? Matka Kłosa obchodzi otwartą tłumę: „Patrzyliśmy na tę scenę bez najlżejszego szmeru czy poruszenia. W dalszym ciągu żaden z nas nie odskonił głowy. Wszystkie twarze były stężałe, wszystkie serca zamknięte. Napełniały je przecież najstraszniejsze nieszczęścia, jakie pycha i złość szatańska zdołały rozplenić na naszej nikczemnej i smutnej planecie”.

Ale jak temu szatanowi na imię?

4. Trzy opowiadania: *Ballada o wzgardliwym wisielcu, Przekazana sztafeta* (z podtytułem „zdarzenie prawdziwe”) i *Igła wojewody*⁴. Książka dla młodzieży, ułożona w trzy lekcje. Lekcja pierwsza: — nie zdradzaj samego siebie! Historia o prokuratorze wojennym, pułkowniku Kamińskim, patriocie. Kamiński, jak

4. *Ballada o wzgardliwym wisielcu i dwie gawędy o powstaniu styczniowym*, Warszawa PAX, 1956, str. 391.

cała ówczesna Warszawa, współdział z rządem powstańczym. Jak cała ówczesna Warszawa kolaboruje z zaborcą. W mieście panuje terror: rosyjski i powstańczy. Obydwa rządy, zaborczy i narodowy, żądają od prokuratora, ażeby niejakiego Chodlewskiego uznać winnym zabójstwa.

Patriotyczne frakcje zwalczają się znanymi metodami: oszczerstwem, prowokacją, szantażem. Kamiński jest wrogiem terroru i politycznej gry. Nie wierzy w święte sprawy, dla których zabija się niewinnych. Rembek także. I rolę literatury pojmuje następująco: konsekwencje postaw bohaterów mają uczyć trafnego wyboru. Za zły wybór czeka potępienie i kara.

Powstanie trwa od miesięcy, towarzystwo w Warszawie w przegrywane bitwy nie wierzy. Tu, na przyjęciach, naczelnik powstania udaje kuzynka gospodarza i popija z rosyjską elitą. Damy starają się o uwolnienie młodzieńczego Prusa, lokajowi płacze się język: to tytułuje gości „jaśnie państwo”, to znów „obywatele”. Prokurator opowiada, że poznał niegdyś w Anglii dziennikarza, którego wołano Murzyn, a który nazywał się Marks. Przy okazji wykłada towarzystwu zasady „socjalistowskiego” systemu. Powstanie, prawdziwą sztukę sezonu, grywa się poza stolicą.

Prokurator jednak dostarcza na rozprawę fałszywego dowodu oskarżenia. Chodlewski pod wpływem tortur przyznaje się do winy. Kamiński sprzeniewierzył się sobie i pisarz karze go chorobą sumienia: bezsennością, brakiem chęci do życia. Samobójstwem z przypadku...

Rembek stoi po stronie biednych, którzy chcą odmienić swój los. Jest to pisarz ze stylistycznej tradycji Sienkiewicza, lecz weredyzmu i troski Żeromskiego. Pozytywista o romantycznych ciągotach, marksista wierzący w Boga, a co więcej w sprawiedliwość dziejową. Polubiłam go za uczciwą naiwność i umiejętność opisu, jak kosynerzy posługiwali się w bitwach swą bronią. Polubiłam Rembeka — choć najdalszy jest mojej wierze i literackim gustom — za troskę o człowieka i lament nad Historią. Za wyważony patriotyzm. Za to, że większość Żydów w jego opowiadaniach służy powstańcom, nie — Rosji. Ballada i dwie gawędy beletryzują Historię; są pełnym wykładem polityki, myśli filozoficzno-społecznej XIX wieku i kalendarium stycziowego powstania. Są także bajką, w miarę okrutną, która źle się kończy. Westernem pełnym przygód, na koniach i w przebraniu. I są obrazem kraju: z jego biedą, nadziejami, bohaterstwem.

W pierwszym opowiadaniu Chodlewski, w drugim Żyd-kurier powstarczy, w trzecim Kozak-dezertter do armii powstańczej przejmują kolejno rolę „szarego człowieka”, który musi zginąć, bez wiary, że jego śmierć zmieni porządek świata. Ale Pani Sprawiedliwość Dziejowa, która każdą krzywdę i śmierć pomści inną śmiercią i krzywdą — bo takie jest, jeśli nie przeświadczenie, to tłumiona obawa Rembeka — przypomina o sobie w ostatnich

słowach generała Jeremina, który niegdyś, jako młodzieńki kornet, tłumił polski bunt:

„Powstanie więc trwało. Na Podlasiu i Litwie trzymało się wciąż dzięki zdziczałym i zajadłym chłopom, prowadzonym przez swoich sfanatyzowanych proboszczów. Zaś czterdzieści lat później synowie tych samych fernali i robotników z hut i kopalń zaczęli trzaskać całymi seriami z kul z nowoczesnych pistoletów do policjantów i żandarmów. Istotnie trudno pokonać masy, które dążą do polepszenia warunków swego bytu. Miał tedy słuszność pułkownik Markowski: nie ustanie nigdy na świecie wieczna walka między i poniżenia z uciskiem i przesytem. Takie jest prawo ludzkiego władania”.

Daj Boże!

Janina KATZ

Uwagi duńskiego ekonomisty

W zeszłym roku ukazała się w Danii ciekawa praca naukowa¹. Sądzę, że podjęty w niej temat może zainteresować naukowców polskich, szczególnie tych, którzy pracują na polu badań ekonomicznych.

Jorn Henrik Petersen młody duński ekonomista zajmuje się problematyką ekonomiczną, która występuje w krajach wschodnio-europejskich. Jak sam tytuł sugeruje praca traktuje o aspektach ekonomicznych mieszczących się wewnątrz systemu ekonomicznego kierowanego odgórnie. Podejmowano już wielokrotnie próby zbadania i oceniania tego swoistego fenomenu ekonomicznego, starano się wniknąć w jego mechanizm i sposób działania. Problemy i pytania nasuwają się automatycznie nawet laikowi, jeśli zastanowi się nad permanentnymi trudnościami gospodarczymi, z którymi się stale boryka Wschodnia Europa. Czemu system socjalistyczny nie jest w stanie stworzyć odpowiedniej bazy materialnej, która mogłaby, „jak nie dzisiaj to przynajmniej jutro”, podnieść poziom życia obywatela — konsumenta?

Ekonomista duński podchodzi do tych zagadnień w sposób zbliżony do niektórych krytyk, jakie ukazały się również w krajach wschodnio-europejskich. Stara się on możliwie jak najbardziej obiektywnie zbadać naczelną mit ekonomiczny panujący we Wschodniej Europie. Mit ten wynika z przeświadczenia, że wszystkie niepowodzenia ekonomiki socjalistycznej mają swoje źródło w złym zarządzaniu gospodarką.

1. Jorn Henrik Petersen, *Aspekter af den økonomiske problematik i en centralldirigeret, økonomi*. 1971.

Często spotyka się na Wschodzie Europy opinie — głoszą je sami przywódcy partyjni — że brak odpowiedniego modelu dla skutecznego i efektywnego zarządzania gospodarką socjalistyczną.

Petersen wskazuje na różnorodne koncepcje gospodarki socjalistycznej jakie występowały w ostatnim okresie zwłaszcza w Polsce, obejmuje jednak i inne kraje socjalistyczne.

Od teoretycznych modeli Langego i Drewnowskiego biegnie długa droga przemian ekonomicznych, które niczego w znaczeniu praktycznym nie osiągnęły.

Gospodarka socjalistyczna posiadając wybitnych teoretyków gubi się wewnątrz takich nierozwiązanych spraw jak: umiejętność stosowania centralnego planowania, zagadnienia cen czy inwestycji. Autor pokazuje również nowatorskie tendencje jakie wystąpiły w Związku Sowieckim w czasach chruszczowowskich.

Znane nazwisko sowieckiego ekonomisty Liebermana jest tutaj najlepszą ilustracją krótkiego okresu oryginalnych teoretycznych rozwiązań gospodarczych w Rosji Sowieckiej.

Przy porównaniu Liebermana z Langem i Drewnowskim stwierdza się duże podobieństwo ich koncepcji ekonomicznych. I tu i tam przyczyny zewnętrzne, niezależnie od warunków ekonomicznych, wpływają na całość gospodarki, degradując jakąkolwiek sensowną teorię ekonomiczną.

Koncepcje Langego i Drewnowskiego, chociaż różniące się między sobą dążyły do stworzenia pewnych alternatywnych modeli gospodarczych, w myśl których byłoby możliwym postępowanie się centralnym planowaniem ale w sposób wolny od jednostronnego planowania jako celu samego dla siebie. W kilkanaście lat później to samo zagadnienie podjął Lieberman, nie osiągając też oczywiście żadnych konkretnych wyników.

Omówienie tych koncepcji w pracy Petersena, chociaż nie jest wolne od usterek, należy do jej najlepszych części.

Petersen wskazuje również na dużą ilość szkół matematycznych jakie nawet w sowieckiej ekonomice znalazły miejsce. Starają się one poprzez odpowiednie wyliczenia matematyczne stworzyć model gospodarki będący wreszcie w stanie osiągnąć postęp w procesie produkcji. Dziwną bowiem koleją losu dotychczasowy rozwój centralnego dyrygowania gospodarką czym bardziej usprawniony i ulepszony tym „łatwiej” ponosił same klęski. Uderza w tej pracy ta niewspółmierność wysiłku w kierunku reform przy równoczesnym powtarzaniu się sytuacji kryzysowych w gospodarce socjalistycznej.

W krótkiej informacji — nie mającej charakteru recenzji — niesposób wejść dokładnie w szczegóły ciekawej pracy. Warto jednak zanotować jej treściwy przegląd planowania ekonomicznego we Wschodniej Europie.

Centralne planowanie ujawnia się poprzez chaos i ciągłe poszukiwania rozwiązań tworzących jakiś autokratyczny mechanizm życia gospodarczego, biurokratyzując go całkowicie i zabijając w nim wszelkie znaczenie ekonomii.

Odnoszę wrażenie, że autor skupiając się przede wszystkim na genezie samych teorii, programów i modeli ekonomicznych doskonale określił dzisiejsze szanse tak pojętej gospodarki socjalistycznej. Warto również podkreślić zależność metodologiczną tej pracy (uwaga samego autora) od wielu prac napisanych na podobny temat przez prof. J. Zielińskiego, Polaka, pracującego dzisiaj na Zachodzie, na uniwersytecie w Glasgow.

Książka Petersena potwierdza ogólny stan ekonomii i gospodarki socjalistycznej, dobrze znany nam często z własnych doświadczeń, będąc równocześnie ważnym przyczynkiem badawczym; ponadto praca została napisana z pozycji całkowicie neutralnych politycznie, co jest jej dużą zaletą.

Aleksander ZABRZESKI

Subskrypcja

BIBLIOTEKA INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM
IM. GEN. SIKORSKIEGO W SZKOCJI

Ogłasza subskrypcję na:

TEKĘ JĘZYKOWĄ

śp. dr. Stanisława Westfala, znanego polonisty, wykładowcy na uniwersytecie w Lund i Glasgow, zmarłego przedwcześnie w roku 1959.

Teka Językowa jest zbiorem artykułów ogłoszonych w pismach emigracyjnych na przestrzeni lat 1946-1957. Artykuły te powstały w oparciu o umiłowanie mowy ojczystej, gruntowne przygotowanie naukowe i zdolności popularyzacyjne, jakimi Autor był obdarzony. Powstaniu ich przyświecała myśl natchnienia rodaków własnym entuzjazmem i wolą do kultywowania języka polskiego w jego nieskażonej formie.

Książkę w obecnej postaci przygotował do druku dr Józef Trypućko, profesor slawistyki na uniwersytecie w Uppsali (Szwecja).

Przedpłatę przyjmuje:

Biblioteka Instytutu, 42, Cecil Street, Glasgow, W.2., Gt. Britain.

Termin zamknięcia subskrypcji: 31 grudnia 1972 roku.

Cena egzemplarza w subskrypcji: £.2.50; cena po wydrukowaniu: £.3.50.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-5-72

Zmarł w Krakowie, w wieku 84 lat b. ambasador Tadeusz Jackowski. W krakowskim „Wydawnictwie Literackim” ukazał się ostatnio pierwszy tom jego „Pamiętników”. Tom drugi jest w przygotowaniu.

1-8-72

Naczelnny dyrektor czeskosłowackiego przemysłu bawełnianego, M. Hajek, oświadczył że o ile w roku 1962 w czeskosłowackim przemyśle włókienniczym pracowało 630 polskich robotnic, to obecnie liczba ich wynosi 8.000. ■ W Pradze została podpisana umowa między rządem PRL a rządem czeskosłowackim w sprawie zatrudnienia obywateli polskich w przedsiębiorstwach czeskosłowackich.

3-8-72

Dekret nr 572 Rady Ministrów Związku Sowieckiego wprowadził nowe opłaty dla osób, które zamierzają emigrować ze Związku Sowieckiego. Już dotychczasowe opłaty były niezmiernie wysokie, mianowicie wiza wyjazdowa kosztowała F. 2.000, rezygnacja z obywatelstwa sowieckiego — F. 2.500. Nowe opłaty dotyczą studiów, mianowicie opłaty za studia humanistyczne wynoszą F. 12.500, za studia techniczne — F. 38.500, studia medyczne — F. 92.000 doktorat — F. 97.000. Dekret wchodzi w życie z dniem 14. 8. br. i odnosi się również do tych, którzy otrzymali już wizę wyjazdową, ale jeszcze nie opuścili terytorium Związku Sowieckiego. Opłaty te dotyczą w pierwszym rzędzie emigracji Żydów do Izraela.

4-8-72

Radio Hvezda w Czechosłowacji zaprzecza pogłoskom jakoby Czechosłowacja udzielała pomocy terrorystom chorwackim, walczącym z reżymem Tito.

8-8-72

Samuel Beckett stał się kolejnym celem ataków czeskosłowackiej propagandy. „Jego dzieła przyczyniły się do rozkładu, dodając otuchy czeskim reżyjonistom” — stwierdza rozgłosnia praska.

15-8-72

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych PRL uprościło wydawanie przepustek do strefy turystycznej Czechosłowacji. Przepustkę otrzymuje się po okazaniu dowodu osobistego z wpisem uprawniającym do przekroczenia granicy. Na przepustce nakleja się znaczek skarbowy za 20 zł.

20-8-72

Na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczął się czterotygodniowy XVII-y międzynarodowy kurs dla slawistów. Bierze w nim udział 150 osób z 23-ch krajów: profesorowie, wykładowcy, lektorzy oraz studenci. Najliczniejsze grupy slawistów przybyły ze Związku Sowieckiego — 21 osób, z Francji i NRD — po 17. ■ W Warszawie odbyło się pożegnalne spotkanie z rządu towarzystwa „Polonia” z uczestnikami wakacyjnego kursu kultury i języka polskiego dla młodzieży polonijnej. Kurs ten, trzeci z kolei, był zorganizowany przez Uniwersytet Jagielloński, nowojorską Fundację Kościuszkowską oraz towarzystwo „Polonia”. Uczestniczyło w nim 200 osób — studentów z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Szwajcarii.

■ 37-miu intelektualistów sowieckich wysłało petycję do czeskosłowackiego zgromadzenia federalnego domagającą się uwolnienia i rehabilitacji ofiar ostatnich procesów politycznych w Pradze.

23-8-72

Zmarł w Warszawie, w wieku 76 lat, Bolesław Wścieklica, absolwent Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, ekonomista, dziennikarz, tłumacz.

25-8-72

W Rydze została otwarta wielka polska wystawa przemysłowa, zorganizowana przez Polską Izbę Handlu Zagranicznego. Jest to (po kwietniowej analogicznej wystawie) największa polska impreza w ZSSR w rb.

26-8-72

W XX Igrzyskach Olimpijskich w Monachium bierze udział 299 zawodników z PRL plus 10 rezerwowych. ■ Warszawski dziennik popołudniowy *Kurier Polski* ukazała się jako *Kurier polski i polonijny*. To specjalne, ośmiostronicowe wydanie jest poświęcone Polonii zagranicznej.

27-8-72

W Warszawie udostępniono zwiedzającym pierwsze kolonie domków jednorodzinnych. Do końca bieżącej pięcioletki zostanie wybudowanych 5.000 domków. Koszt domku — 250-400 tysięcy złotych. Kredyt bankowy wynosi 60 % wartości domku, wykończenie na własną rękę. ■ Związek Sowiecki zakupił w Stanach Zjednoczonych traktory za cenę 40 milionów dolarów. ■ W grudniu br. ukaze się „Dziennik” inż. Adama Czerniakowa, prezesa rady starszych w warszawskim getcie. ■ Pracownikom warszawskiej poczty udostępniono zakup „Trabantów”-combi na wyjątkowo dogodnych warunkach. Prywatne samochody używane będą do przewozu przesyłek. Właścicielom płaci się 2,40 zł. za każdy przejechany kilometr. Po pracy zdejmuje się tabliczkę „Łączność” i jeździ się na własny rachunek. Koszty konserwacji i napraw obciążają właściciela. ■ Spożycie alkoholu w pierwszym półroczu br. w PRL — według oceny Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług wzrosło w porównaniu z pierwszym półroczem ub. roku o 13 %. Wzrost spożycia alkoholu jest szybszy od wzrostu realnych płac.

29-8-72

W Warszawie zmarł, w wieku lat 64, Jan Kreczmar, wybitny aktor i pedagog. ■ Ks. arcybp Bolesław Kominek odbył swój ingres do katedry we Wrocławiu. Ingres ten jest uroczystą demonstracją objęcia kierownictwa pasterskiego w pełnym kanonicznym tego słowa znaczeniu nad Kościołem archidiecezji wrocławskiej.

1-9-72

W ciągu sierpnia br. z inicjatywy polskiego komitetu UNESCO zostały zorganizowane w Polsce trzy wakacyjne obozy UNESCO. Wzięło w nich udział około 400 osób (nauczyciele i młodzież) z Anglii, Francji i Związku Sowieckiego.

3-9-72

W NRD zostały otwarte jesienne targi lipskie. Polskę reprezentuje w br. 26 przedsiębiorstw Handlu Zagranicznego. ■ Pianistka Halina Czerny-Stefańska wyjechała do Wielkiej Brytanii. Wystąpi ona z recitałem chopinowskim w londyńskim Festival Hall i będzie uczestniczyć w jury IV-go międzynarodowego konkursu pianistycznego w Leeds. Następnie wystąpi z cyklem koncertów w Hanowerze.

4-9-72

W Wilnie rozpoczęła się dekada książki polskiej, która odbywa się w wileńskiej księgarni „Przyjaźń”. Dekada połączona jest z całym szeregiem imprez wydawniczych i literackich, m.in. odbędzie się wieczór literacki w Druśnikach. ■ Państwowa Komisja Cen PRL podaje informacje o podwyżce ceny detalicznej na włóczki o 26 %, na tkaniny jedwabne o 20 %, na dywany i chodniki o 16 %. Jednocześnie wprowadzono sezonową podwyżkę cen skupu i cen detalicznych jaj. Obniżono natomiast przeciętnie o 26 % ceny detaliczne koszul i bluzek stilonowych. ■ W latach powojennych wydano na Litwie milion egzemplarzy książek pisarzy polskich.

5-9-72

W Warszawie rozpoczęła się międzynarodowa konferencja conradowska, zorganizowana z okazji 50-ciolecia śmierci J. Conrada-Korzeniowskiego. Konferencja, której patronuje komitet neofilologicznych PAN trwa do 12 września. ■ Gen. Bryg. J. Cieślak zastępca dowódcy Wojsk Ochrony Powietrznej PRL, udzielił wywiadu Agencji Robotniczej, podczas której powiedział m.in.: „Dysponujemy obecnie zestawami artyleryjskimi przystosowanymi do skutecznego niszczenia samolotów i innych celów powietrznych, lecących na wysokościach niemal od samej ziemi aż po stratosferę... mamy „mądre rakiety”. Potrafią one nie tylko odszukać i zniszczyć szybko przemieszczający się cel, ale także odróżnić samolot swój od przeciwnika”. ■ Po egzaminach na wyższe uczelnie w PRL pozostało 3.673 wolnych miejsc głównie na WSN, WSP, i w niektórych szkołach rolniczych i technicznych. ■ Odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR, na którym rozpatrywano zadania w dziedzinie rozszerzenia i umocnienia współpracy ideologicznej PZPR z bratnimi partiami komunistycznymi. Ponadto rozpatrzono zadania w dziedzinie oszczędności surowców i materiałów w gospodarce narodowej. Oto niektóre fakty podane przez prasę krajową: maszyny i urządzenia produkowane przez polski przemysł są średnio około 30 % cięższe niż analogiczne wyroby w innych krajach europejskich. Zużycie paliwa na produkcję energii elektrycznej jest w Polsce o 20 % wyższe niż w uprzemysłowionych krajach świata. Zużycie koksu do produkcji surowki jest wyższe około 30 %. ■ Na cmentarzu powązkowskim w Warszawie pochowano zwłoki wybitnego malarza polskiego Konstantego Brandla, zmarłego w 1970 roku w Paryżu. Całość spuścizny po K. Brandlu ofiarowana została przez spadkobierców artyście muzeom polskim. ■ W Zurichu odbyła się impreza p.n. „Dzień gospodarki polskiej” zorganizowana przez Polską Izbę Handlu Zagranicznego przy współpracy organizacji szwajcarskich. ■ Jan Zakrzewski b. korespondent Radia Polskiego w Paryżu został mianowany korespondentem Radia przy ONZ w New Yorku.

6-9-72

W Czechosłowacji rozpoczęły się ćwiczenia wojskowe krajów Paktu Warszawskiego „Tarcza-72”. Manewry rozpoczęto od propagandowych mityngów z ludnością. ■ W Mińsku otwarto wystawę polskiej książki. Wystawiono na niej około 500 tytułów. Podobne wystawy, połączone ze sprzedażą, zostały otwarte w Brześciu i Grodnie. ■ W Pradze, z inicjatywy towarzysza im. Fryderyka Chopina w Warszawie, została otwarta wystawa poświęcona twórczości i życiu Fryderyka Chopina. ■ W chwili obecnej 60 samolotów PZL 101 „Gawron”, „AN-2” wykonuje zabiegi agrolotnicze w Egipcie, Sudanie i Etiopii. PRL specjalizuje się w tego rodzaju usługach i przewiduje się że ten eksport wzrośnie w latach 1972-75 o około 15-25 % rocznie.

7-9-72

W Raciborzu rozpoczęło się międzynarodowe sympozjum poświęcone sprawie budowy kanału Odra-Dunaj. ■ PRL wydzierżawiła Anglii m/s Rokita i m/s Boruta, jednostki PZM. Motorowce te są statkami przystosowanymi do przewozu żywych zwierząt, głównie bydła i koni. Statki kursować będą między portami Irlandii i Anglii, oraz Zachodniej Europy. ■ J. Cyraniewicz, b. premier i przewodniczący Rady Państwa PRL, został mianowany posłem PRL w Szwajcarii. ■ W międzynarodowych targach jesiennych w Wiedniu bierze również udział PRL wystawiając ogólny dorobek gospodarczy. ■ PRL bierze udział w międzynarodowych jesiennych targach w Zagrzebiu. Polska wystawia wyroby 27-miu przedsiębiorstw i central handlu zagranicznego. ■ Sąd konkursowy *Miesięcznika Literackiego* przyznał nagrody za 1972 rok: Tadeuszowi Drewnowskiemu za książkę „Ucieczka z kamiennego świata” (PIW); Władysławowi Markiewiczowi za „Socjologia a służba społeczna” (Wyd. Poznańskie); Józefowi Szczublewskiemu za „Żywy Osterwy” (PIW).

8-9-72

W Warszawie rozpoczęło się międzynarodowe sympozjum, poświęcone problematyce humanistycznych i społecznych wartości literatur słowiańskich. Sympozjum zostało zorganizowane przez Instytut Badań Literackich PAN oraz komitet UNESCO. W sesji biorą udział naukowcy z 18-tu krajów.

9-9-72

W Słupsku rozpoczął się VI-ty festiwal pianistyki polskiej.

10-9-72

W Poznaniu zostały otwarte XXX Targi Krajowe pt. „Jesień 1972”. ■ W Związku Sowieckim oraz w armiach Paktu Warszawskiego obchodzone uroczystości „Dzień radzieckiego czołgisty”. M.in. prasa PRL podaje, że pierwszy sowiecki czołg był skonstruowany w roku 1920 i nosił nazwę „Bojownik o wolność tow. Lenina”. ■ W ciągu pierwszych 8 miesięcy 1972 roku przejęcia graniczne między PRL a NRD przekroczyło 11 milionów osób, w tym ponad 6 milionów obywateli PRL.

11-9-72

Skandal w ZBOWiD'zie: paryski tygodnik *L'Express* podaje, że na zachodnim rynku filatelistycznym pojawiły się karty i koperty wysyłane z niemieckich obozów koncentracyjnych w latach 1942-1944. Za karty te płaci się w Paryżu od 300 do 650 franków. Przesyłane są z Polski. Specjaliści obliczają, że takich kopert pojawiło się dotąd ponad 5.000. Jak się okazuje karty te są zbierane przez urzędników ZBOWiD'u dla archiwum ZBOWiD'u i wywożone masowo do Wiednia. Kontakt ZBOWiD'u z Wiedniem jest bardzo żywy, gdyż mieści się tam Międzynarodowa Federacja Członków Ruchu Oporu. *L'Express* podaje wzmiankę o tej aferze pt. „Le gang des charognards” („Gang hien”).

15-9-72

W Warszawie rozpoczęły się prace przy budowie Wisłotrady, 20-tokilometrowej, sześciopasowej arterii szybkiego ruchu, łączącej Młociny z Wilanowem. Budowa ma być zakończona do 1975 roku. ■ Z okazji 50-lecia ZSSR na scenach polskich odbędzie się od września do grudnia br. ponad 30 premier sztuk autorów sowieckich. ■ Andrej Amalrik, skazany w 1970 roku na trzy lata obostrzonych łagrów za opublikowanie na zachodzie książki „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984” został nagle przeniesiony z obozu w Magadanie do więzienia Lefortowo w Moskwie. Amal-

rik w ub. roku przechodził zapalenie mózgu. ■ Sprawcy wysadzenia auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu zostali skazani przez Sąd Wojewódzki: Jerzy Kowalczyk na karę śmierci, Ryszard Kowalczyk na 25 lat więzienia.

16-9-72

W Warszawie rozpoczął się XVI międzynarodowy festiwal muzyki współczesnej „Warszawska Jesień”. Program festiwalu obejmuje w sumie 18 imprez. Wykonanych zostanie 84 kompozycji, w tym 20 polskich. W czasie „Jesieni Warszawskiej” miały być odegrane przez Belgijską Orkiestrę Symfoniczną utwory młodych kompozytorów sowieckich Denisowa i Stoinimskiego (krewny Antoniego Stoinimskiego). Na skutek interwencji władz sowieckich utwory te usunięto z programu a na ich miejsce polecono wstawić utwory prezesa Związku Kompozytorów Sowieckich, Chrennikowa. Wiceminister Kultury i Sztuki PRL, Aleksander Syczewski, na interwencję polskich muzykologów odpowiedział, że miała to być próba stworzenia nowej „afery Sołżenicyna”, a gdy dowiedział się, że kompozycje muzyków sowieckich znane są w Polsce z nagrań magnetofonowych określił to jako przestępstwo. ■ Przekłady z literatury polskiej: w Norwegii ma się ukazać antologia polskich opowiadań współczesnych, zawierające prace 13 autorów, m.in. Borowskiego, Kruczkowskiego, Iwaszkiewicza, Putramenta i Zukrowskiego. We Francji Denoël ma wydać „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego” M. Białoszewskiego; w Anglii ukazą się „Kłopoty z panią Walewską” Mariana Brandysa; w Japonii „Wybrańcy Bogów” Leopolda Infelda; w NRD „Bołtyn” Putramenta, „Opowiadania” Machejka i „Mury Jerycha” Tadeusza Brezy.

Sprostowanie. W *Kulturze* Nr 298/9 (lipiec-sierpień 1972) w „Wydarzeniach miesiąca”, przy podaniu składu nowego Zarządu Pen-Clubu w Warszawie podano mylnie imię wiceprezesa: jest nim *Juliusz Żuławski* (a nie *Jerzy*).

ZACHÓD — EMIGRACJA

4-8-72

Związek Pisarzy Polskich na Uchodźstwie w Londynie ogłosił rezultaty konkursu na powieść o emigracji, ogłoszonego w 1971 roku przez Polskie Kompanie Wartownicze i Techniczne w Niemczech. Na konkurs wpłynęło 11 prac: z Europy, ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Ameryki Południowej i Australii. Pierwszej nagrody nie przyznano; drugą nagrodę, wysokości £. stg. 100 otrzymała praca „Maniana” Mieczysława Lurczyńskiego; trzecią nagrodę w wysokości £. stg. 65 praca Czesława Dobka „Zegar z orłem”, czwartą — w wysokości £. stg. 50 praca „Droga do wolności” Józefa Grota z Mannheim. Honorowe wyróżnienie otrzymała praca Genowefy Kotyńskiej z Australii pt. „Poza gniazdem”. ■ W Buenos Aires teatr San Martin wystawił sztukę W. Gombrowicza „Iwona księżniczka burgunda” w reżyserii Jorge Lavelli. ■ Pragniemy sprostować wiadomość podaną w numerze styczeń-luty z b. roku, gdzie donosiliśmy o likwidacji ACN. Komitet Free Europe cofnął pomoc finansową dla ACN z dniem 31. 12. 1971, natomiast organizacja funkcjonuje nadal w oparciu o własne możliwości finansowe. ■ Przewodniczący Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy, dr Valiunas, wraz z posłem litewskim w Waszyngtonie przeprowadzili kilkogodzinną rozmowę w Departamencie Stanu i uzyskali zapewnienie, że rząd USA nie uznaje, i nie uzna inkorporacji Litwy do Związku Sowieckiego. ■ W związku ze samospaleniami kowieńskimi do pierwszych dni lipca w pra-

sie włoskiej ukazało się 250 artykułów i notatek; również w Brazylii odzew był bardzo żywy.

23-8-72

Zmarł w Sztokholmie, w wieku lat 105, konsul Alf D. Pomian, nestor kolonii polskiej w Skandynawii. Urodził się w Sztokholmie jako syn jednego z kierowników powstania 1863 roku na Litwie — Józefa Pomiana Hajdukiewicza. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został mianowany konsulem polskim w Sztokholmie, następnie był konsulem w Hamburgu, konsulem generalnym w Berlinie, potem w Libawie, a po przejściu na emeryturę był w poselstwie RP w Sztokholmie attaché prasowym. Bardzo czynny na polu społecznym, zaledwie trzy lata temu ze względu na stan zdrowia był zmuszony wycofać się z życia społecznego.

25-8-72

Władze połączonych Skarbów Narodowych w Londynie ukonstytuowały się następująco: prezesem Głównej Komisji Skarbu Narodowego został p. Mikołaj Dolanowski. Do prezydium Głównej Komisji Skarbu Narodowego wybrano L. Ciołkoszową, S. Soboniewskiego, Z. Szadkowskiego, B. Wendorffa, F. Wilka i J. Zaleskiego. Dyrektorem biura Głównej Komisji został płk K. Iranek-Osmecki. ■ Emigracyjna prasa ukraińska podaje szczegóły sprawozdania Fundacji im. Szewczenki. Fundacja posiada w roku bieżącym 442.658,01 dolarów. W roku 1971 dary na Fundację wyniosły 40.819,39 dolarów. Z dokonanych inwestycji kapitał w roku 1971 powiększył się o 7%. Koszta administracyjne wyniosły 5.979,59 dolarów. Fundacja im. Szewczenki zalicza się w tej chwili do jednej z największych fundacji na terenie Kanady.

3-9-72

W Aalter (Belgia) odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika ku czci poległych żołnierzy I Dywizji Pancerniej, wzniesionego z inicjatywy mieszkańców. Aalter w czasie ostatniej wojny był po dwudniowej bitwie uwolniony przez Dywizję Pancerną w 1944 roku. Na uroczystość odsłonięcia przybył b. dowódca I Dywizji, gen. St. Maczek, wraz z gen. Grudzińskim oraz 50-cioosobową delegacją żołnierzy tej Dywizji.

4-9-72

Zmarł w Los Angeles Tadeusz Wyszogrodzki, b. dziennikarz, urzędnik MSZ R.P., wykładowca w Wojskowej Szkole Języków w Monterey, Kalifornia, ostatnio pracownik Central Public Library.

9-9-72

W Klubie Kulturalnym im. Heleny Modrzejewskiej w Hollywood odbyło się zebranie dyskusyjne na temat filozofii chrześcijańskiej i hinduskiej. Dyskutowali: prof. Franciszka Tuszyńska i Jarosław Gierczar.

10-9-72

Telewizja zachodnio-niemiecka zainaugurowała „Tydzień polski”. Będą nadawane koncerty muzyki polskiej, sztuki teatralne, filmy, występ „Mazowsza” oraz szereg dyskusji na tematy polsko-niemieckie. ■ Członek Biura Politycznego KC PZPR p. Babiuch bawił w Paryżu na zaproszenie KC francuskiej partii komunistycznej.

12-9-72

Polska na igrzyskach olimpijskich zdobyła 22 medale: 7 złotych, 5 srebrnych i 10 brązowych, zajmując w ogólnej klasyfikacji 7-me miejsce po Związku Sowieckim, Stanach Zjednoczonych, NRD, Japonii, NRF i Australii.

■ Zawodnicy i turyści z PRL na Olimpiadę w Monachium byli zaopatrzeni w broszurę Edwarda Męclewskiego informującą o Niemczech Zachodnich oraz o ośrodkach dywersyjnych znajdujących się w Monachium. Broszura ta, utrzymana w stylu mozarowskim, wywołała wielkie poruszenie w prasie zachodnio-niemieckiej.

14-9-72

Według informacji dziennikarza sowieckiego W. Louisa (który jest rzecznikiem prasowym KGB) doradca prez. Nixona, Kissinger, ustalił w rokowaniach w Moskwie z Breżniewem wytyczne układu handlowego między USA a Związkiem Sowieckim. Układ ma przewidywać wzajemną wymianę w wysokości 5 miliardów dolarów. Według W. Louisa została również posunięta sprawa zobowiązań ZSSR wobec USA z okresu wojny. Stany obliczają te należności (z wyłączeniem sprzętu wojennego) na 2,6 miliarda dolarów. Roszczenia te zostały zredukowane do 800 milionów. Sowiety byłyby rzekomo skłonne zapłacić 300 milionów dolarów. Spłaty mają być rozłożone na 30 lat.

15-9-72

W Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie została otwarta wystawa nowych obrazów olejnych Haliny Sukiennickiej. ■ W Paryżu został podpisany traktat handlowy między Związkiem Sowieckim a Hiszpanią. Traktat przewiduje że oba kraje będą zakupywać swoje produkty w 1973 roku w wysokości 40 milionów dolarów. ■ Cudzoziemcy szukający pracy we Francji będą korzystali z lepszej ochrony. Nowa procedura wydawania kart pobytowych i kart pracy (umowy o pracę i warunki mieszkaniowe), która ma być ustalona przez rząd, stanowi bezsprzecznie socjalny postęp. Zarządzenia te jednak — jeśli się nie będzie uważać — mogą mieć skutek odwrotny — stawiając licznym emigrantów w trudnej sytuacji i ustalając rodzaj dyskryminacji, która na płaszczyźnie ekonomicznej wyrządzi tym razem szkodę i imigrantom i Francuzom. ■ NRF i Polska zdecydowały ustalić stosunki dyplomatyczne. Wiadomość ta została podana w Bonn w czasie drugiego dnia wizyty w NRF p. Stefana Olszowskiego, polskiego ministra Spraw Zagranicznych. Nazwiska pierwszych ambasadorów nie zostały jeszcze ustalone. Ważniejsze i drażliwe sprawy jak dalsze wyjazdy obywateli polskich pochodzenia niemieckiego do NRF, odszkodowania, sprawy gospod. zostały odłożone do uzgodnienia w terminie późniejszym. Na stanowisku PRL ciężu niewątpliwie nacisk NRD i Czechosłowacji. ■ Stany Zjednoczone zawarły z Pekinem układ odnośnie sprzedaży Chinom 500.000 ton zboża. Analogiczny układ dopiero co został zawarty pomiędzy francuskim przedsiębiorstwem Louis Dreyfus a China National Cereals. Dotąd Chiny zaopatrywały się w zboża w Australii i Kanadzie.

KRONIKA KANADYJSKA

Głośnym echem odbiło się w całej Kanadzie samobójstwo 34-letniej Polki, Alicji Wiercioch, która otrzymała nakaz opuszczenia Kanady. Znajdowała się wprawdzie w Kanadzie od 1968 roku, ale nie uzyskała statusu imigrantki. W błędnym przeświadczeniu iż nie ma odwołania otruła się.

Samobójstwo to spowodowało radykalną rewizję przepisów wykonawczych urzędów imigracyjnych oraz ogłoszenie częściowej amnestii dla wszystkich, którzy przybyli jako turyści a wnieśli podanie o stały pobyt. Min. Bruce MacKasey zlecił ponadto załatwić w terminie przyspieszonym wszystkie wnioski o tych nielegalnych imigrantów, których sprawy nie zostały jeszcze załatwione. Zaangażowano 200 urzędników dla rozpatrzenia tych wniosków. Minister dodał, iż przepis zakazujący pracy turystom, którzy wnieśli podanie o stały pobyt został, jako niezyciowy, zrewidowany. Przyj-

mowanie pracy przez turystę, bez wyraźnej zgody urzędu imigracyjnego, uniemożliwiło mu później uzyskanie prawa stałego pobytu.

Zmiany te nie będą jednak miały żadnego wpływu na praktykę urzędów imigracyjnych za granicą, gdyż ustawa imigracyjna nie została zmieniona. Wydano jedynie nowe przepisy wykonawcze dla krajowych urzędów i dotyczą one spraw zaległych. Nowelizacja ustawy imigracyjnej, względnie wniesienie nowego projektu, ma nastąpić w niedalekiej przyszłości.

◆
Estończycy, jedna z najmniejszych grup etnicznych w Kanadzie, zorganizowali najbardziej imponującą imprezę. W okresie od 8 do 16 lipca włącznie odbył się w Toronto Światowy Festiwal Estoński, na który przybyli przedstawiciele organizacji estońskich z całego świata, w tym nawet z Australii.

W ramach tego Festiwalu odbył się zjazd delegatów Światowego Kongresu Estońskiego. Omawiano położenie Estonii pod okupacją sowiecką. Piętnując politykę sowiecką w okupowanym kraju uchwalono rezolucje, domagające się przywrócenia wolności i niepodległości. Wyrażono uznanie państwu, które nie uznało aneksji Estonii i pozostałych państw bałtyckich, przestrzegając jednocześnie Zachód przed iluzjami w odniesieniu do ZSSR.

◆
Prof. Lorentz, podczas swojego pobytu w Toronto, Ottawie i Montrealu w lipcu br. omawiał projekt urządzenia wielkiej wystawy w 1973 roku i miejscowych muzeach p.n. „Skarby z Polski”.

(Prof. Lorentz przyjechał do Kanady głównie dla ożywienia zbiórki pieniędzy na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie i był pilotowany przez T. Glistę, prezesa Związku Polaków w Kanadzie, prof. Bromkego, ks. Józefa Caługę, przewodniczącego Konferencji Księża Polskich, T. Brzezińskiego i in. Szkoła, że emigracyjnym entuzjastom odbudowy Zamku nie przyszło na myśl, że w pierwszym rzędzie obowiązkiem emigracji jest zabezpieczenie dorobku kulturalnego i historycznego samej emigracji i poparcie POSKu w Londynie, który walczy z wielkimi trudnościami finansowymi przy realizacji swych ambitnych planów. Przyglądając listę członków i fundatorów POSKu nie znajdujemy na niej ani działaczy emigracyjnych i polonijnych, ani księży, ani inicjatorów zbiorów na odbudowę Zamku, czy mecenasów i artystów. Za pomoc w budowie POSKu nie można się co prawda spodziewać odznaczeń PRL, ale jak dotąd nie grozi to odmową wizy do Polski czy represjami. Zapomina się łatwo o tym, że Zamek powinien być odbudowany z budżetu państwowego, tak jak to było zrobione z szeregiem innych zabytków historycznych w Polsce, a nie z karoły społecznej. W każdym razie należy mieć nadzieję, że Zamek będzie odbudowany mniej tandetnie niż Wilantów, o którego stanie alarmuje prasa krajowa. — *Redakcja*).

◆
Pod koniec maja nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora tygodnika *Głos Polski*. Zenon Wyrzykowski który prowadził to pismo od 1957 roku ustąpił na tle różnych nieporozumień, a pismo objął wytrawny publicysta Zygmunt Rusinek.

◆
17 września odbyła się w Montrealu uroczysta Akademia dla uczczenia pamięci śp. Prezydenta Augusta Zaleskiego, urządzona z inicjatywy Związku Ziemi Wschodnich R.P., koło Montreal.

Listy do Redakcji

Monachium, 28 sierpnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem zdumiona, z jaką bezceremonialnością pan Józef Łobodowski przywłaszcza sobie wyniki cudzej pracy. Kilka stronice swego artykułu o „Likwidatorach Unii” (*Kultura*, lipiec/sierpień 1972) zapelniał wiadomościami przepisanyymi żywcem z mej książki o 18-letniej martyrologii lwowskiego metropolity Józefa Slipego i o sprawie jego wyzwolenia przez Stolicę Apostolską. Nazwiska i daty, miejscowości i fakty, nawet moje komentarze do zdarzeń i cytowane przeze mnie dokumenty oraz głosy prasy międzynarodowej cytowane w mej książce — wszystkie te materiały przepisał bez żadnego skrupułów. Można przebaczyć tego rodzaju praktyki małym dziennikarskim kleptomantom, pracującym w pośpiechu i anonimowo, ale co myśleć o poecie tej miary co Józef Łobodowski, kiedy on na łamach czasopisma tego poziomu co *Kultura* posługuje się w swej twórczości publicystycznej takimi metodami?

Druza przykra sprawa, która rzuca cień na artykuł pana Łobodowskiego, to grube nieścisłości w opisie sprawy wyzwolenia z katorgi kardynała Slipego. Oto kilka przykładów. Pan Łobodowski z niezrozumiałych przyczyn zlekceważył wybitną rolę amerykańskiego publicysty Normana Cousinsa, który był emisariuszem Jana XXIII do Chruszczowa. Natomiast przyczepił go do memoriału biskupów ukraińskich z jesieni 1962 roku, z którym on nie miał nic wspólnego. Zagmatwawszy i poplątawszy dowiedzione fakty pan Łobodowski wysuwa absurdalną tezę, że inicjatywa uwolnienia metropolity Slipego wyszła od Chruszczowa, przy czym powołuje się na tygodnik *II Borghese*, który nigdy nie podobnego nie twierdził.

Pan Łobodowski potępia wschodnią politykę Watykanu. Prawdopodobnie zapomniał, że właśnie tej polityce, polityce dialogu, zainicjowanej przez Jana XXIII, metropolita Slipej zawdzięcza swą wolność i życie. Za pontyfikatu Piusa XII pozytywna reakcja rządu Związku Sowieckiego na prośbę Papieża — była nie do pomyslenia.

Pan Łobodowski sądzi, że Stolica Apostolska sprzymierzyła się z Moskwą, aby zniszczyć Unię. Wyraża też absurdalne przypuszczenie, że Rzym marzy o nawróceniu Rosji na katolicyzm. Biskupów rosyjskiej prawosławnej Cerkwi uważa za „wybitnych agentów KGB”, za „przebiegłych agentów policyjnych, poprzehieranych w szaty biskupie”. Stanowisko takie jest nie tylko niedopuszczalnym uproszczeniem, wskazuje ono również na zupełny brak zrozumienia trudnej i skomplikowanej sytuacji Kościołów chrześcijańskich w krajach pod komunistycznym reżymem. Wszelkie dyskusje z takim stanowiskiem są bezcelowe. Można tylko ubolewać, że *Kultura* drukuje tego rodzaju twierdzenia, obliczone na smak szowinistycznej ulicy.

Łączę wyrazy szacunku,

Milena RUDNICKA

Do Redaktora *Kultury*.

Ja także jestem zdumiony listem p. Mileny Rudnickiej (zachowuję podaną przez nią pisownię imienia i nazwiska). Oskarża mnie ona o bezceremonialne korzystanie z jej książki, ha, właściwie o kradzież, bo cóż innego ma sugerować zwrot o „kleptomanach”? P. Rudnickiej wydaje się, że wszystkie dane, zawarte w jej pracy o kardynale Slipeju, stanowią jej własność autorską. Po uwolnieniu kardynała pisała o tej sprawie cała prasa międzynarodowa, a najszerzej, oczywiście, ukraińska. Wiele faktów, nazwisk i dat poznałem na długo, zanim p. Rudnicka wydała swoją książkę. Jeżeli w jakimś stopniu z niej korzystałem, to jedynie i wyłącznie z rozdziałów czysto kompilacyjnych. P. Rudnicka ma, jak widać, bardzo oryginalne pojęcie o prawach autorskich. Uważa, że skoro zacytowała jakiegoś dziennikarza wcześniej od innych, to cytaty te już stanowią jej osobistą własność. Pocucie śmieszności nie towarzyszyło jej przy pisaniu tego nieszczęsnego listu ani na chwilę.

Poza tym p. Rudnicka raczyła sfałszować treść mego artykułu. Oto odpowiednio cytaty. „Pan Łobodowski z niewiadomych powodów zlekceważył wybitną rolę amerykańskiego publicysty, Normana Cousinsa...” U mnie: „Norman Cousins... odegrał pewną rolę przy zwolnieniu Slipeja...” (str. 199). A gdybym Cousinsa w ogóle pominął, to co? „Pan Łobodowski wysuwa absurdalną tezę, że inicjatywa zwolnienia metropolity Slipego wyszła od Chruszczowa...” Nigdy i nigdzie takiej tezy nie wysunąłem; niech p. Rudnicka wskaże wyraźnie, gdzie, na której stronie to wyczytała.

Nie zapomniałem, komu i czemu „metropolita Slipej zawdzięcza swoją wolność i życie”. Razem z innymi cieszyłem się swego czasu, że mu los zaoszczędził dojścia do kresu męczeństwa. Ale co to ma wspólnego z ogólną oceną wschodniej polityki Watykanu? Twierdzenie że „Watykan marzy o nawróceniu Rosji na katolicyzm”, p. Rudnicka uważa za „absurdalne”. Nigdy nic o tym nie słyszała i nie czytała. Nie będę się nad tym długo rozwodził. Ograniczę się do przytoczenia słów, wypowiedzianych kiedy przez Jana XXIII do jego sekretarza: „Poświęciłem Bogu całego siebie dla wielkiego przedsięwzięcia nawrócenia Rosji na wiarę katolicką”. Jednak p. Rudnicka wie lepiej, w dewocyjnym zachwyceniu stoi na kolanach, wymachuje kadzielnicą i wszystko, co zrobi Watykan, wydaje się jej bez zarzutu.

P. Rudnicka uważa za „niedopuszczalne uproszczenie” moje twierdzenie o spenetrowaniu cerkwi prawosławnej w Sowietach przez KGB. Tyle na ten temat pisano w emigracyjnej prasie polskiej, rosyjskiej, ukraińskiej, ale co to p. Rudnicką obchodzi! Dla niej to tylko „niedopuszczalne uproszczenie”! Co przecież w jej artykule najbardziej zadziwia, to przeskok nad głównym tematem mego artykułu, wyraźnie określonym w tytule — nad likwidacją Unii, co odbyło się przy zupełnym braku reakcji ze strony Rzymu. Jak na Ukrainę i wierną, należącą do Kościoła Unijnego, to całkiem niezłe. A może coś się w jej osobistym statusie zmieniło?

Ze zwrotem, sugerującym, że mój artykuł był „obliczony na smak szowinistycznej ulicy”, dyskutować nie zamierzam. Niech się nim zajmą bezpośrednio zainteresowani. Przykro mi, że osoba, mająca za sobą blisko pół wieku działalności publicystycznej i politycznej, mogła zdobyć się na ten list, tak bardzo niepoczytany w treści i tak nieprzystojny w formie.

Józef ŁOBODOWSKI
(Madryt, chwilowo Londyn)

Szanowny Panie Redaktorze!

Na chwałę Redakcji Pańskiego pisma zaliczyć należy fakt, że zamiast listów pochwalnych, przypominających wypowiedzi w stylu bractwa wzajemnej adoracji, ukazują się pod koniec każdego zeszytu głosy czytelników mających swe zastrzeżenia i uwagi krytyczne, zwykle rzeczowe, a tylko od czasu do czasu uderzające w strunę osobistą.

W tym duchu zgłaszam swoje uwagi w kilku różnych sprawach.

1. Nasielski kreśląc w raczej pesymistycznych kolorach położenie i przyszłość Polonii Australijskiej pominął zupełnie sprawy religijne teje Polonii, jakby ich nie było. A przecież zasługuje na jakąś wzmiankę choćby zespół budynków w Marayong koło Sydney: Dom Dziecka, kościół, nie mówiąc już o planowanym dopiero domu dla podeszłych wiekiem. Coś podobnego w Melbourne, Adelaide, Perth i Brisbane. Ograniczam się tu do *namacalnych* dowodów żywotności polskiego katolicyzmu tej Polonii, zostawiając na boku ważniejsze od nich *imponderabilia*. Czy to wszystko zostanie w rękach polskich czy polonijnych, to inna sprawa, — fakt że dorobek, i to piękny, jest i powinien znaleźć miejsce w rejestrach.

2. Nie czytałem i nie wiem czy przeczytam omawianą w numerze 6/297 książkę „*l'Alternative*”, której autorem jest wyrzucony z francuskiej partii komunistycznej Roger Garaudy. Spotkałem tu jednak omówienie tej książki w jednym z amerykańskich pism katolickich. I co się pokazuje: Garaudy, choć nadal daleki od chrześcijaństwa, dostrzega pozytywne walory zawarte w Ewangelii. Garaudy przyznaje się, że po wielu latach życia w przekonaniach ateistycznych „odkrył w sobie chrześcijanina, którym prawdopodobnie nigdy być nie przestał”. Wspomina nawet o Ukrzyżowaniu i Zmartwychwstaniu, może nie w sensie dogmatyki chrześcijańskiej, ale jako symbol (czy coś podobnego) zwycięstwa uciśnionych. Czy w omówieniu tej książki nie wypadało bodaj jednym zdaniem wspomnieć o tym religijnym aspekcie nowej orientacji autora?

Czytałem kilka lat temu w *Times Literary Supplement* (Londyn) omówienie jakiejś książki na tematy polskie i uderzyło mnie w nim zdanie autora tej recenzji: „Dziwne to, że w grubej książce o życiu w Polsce autor nie wspominał ani słowem o katolicyzmie, jakby go w ogóle nie było!” (Cytuję z pamięci). Czyżby religia nie była godna uwagi jako faktyczne zjawisko w życiu ludzkim nawet gdyby ktoś nie doceniał jego znaczenia społecznego?

3. Jak się znawcom polszczyzny podoba wyrażenie „po szeregu latach”? Użył go jeden z autorów w numerze 6/297 (str. 86 piąty wiersz od dołu). Być może, że mój profesor języka polskiego w klasycznym gimnazjum tarnowskim był suchym formalistą, w każdym razie miał zdaje się słuszną skreślając studentom słowo „szereg” jako zbyt techniczne w takich właśnie wyrażeniach jak „szereg lat” lub „szereg pieśni”, zgadzał się tylko na bardziej naoczne „szeregi drzew” lub „książek”. Ale „po szeregu latach”? Dlaczego nie „lat”?

Zwalczali też nasi poloniści nagromadzenie drugich przypadków czyli „genetywów”. Roi się teraz od tego w prasie polonijnej, zwłaszcza w tytułach artykułów: „uczczenie pamięci stulecia Moniuszki” i tym podobne okropności. Trafia się to czasem, choć nie tak często, autorom piszącym dla *Kultury*.

A użycie strony biernej? Śmieją się tu z jakiegoś polsko-amerykańskiego księdza, który zapowiedział że „spowiedzi BĘDĄ SŁUCHANE po nabożeń-

stwie”. Ież podobnych wyrażonek „MOŻE BYĆ ZAUWAŻONYCH” na wielu stronicach *Kultury*! Dość już krzywdy ponosi polszczyzna od nawału słów grecko-łacińsko-angielskich i wszelkiej podobnej mieszanki, żeby ją jeszcze wykoszlawiać dziwną budową zdań. *Caveant scriptores ne quid lingua Polonorum detrimenti capiat*.

Z wyrazami szacunku,

X. W. SOJKA
Eric, Pa.

Monachium, 30 lipca 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do spóźnionych, lecz najserdeczniejszych, życzeń na jubileusz *Kultury* dołączam powinszowanie z powodu nowego nabytku, który się nazywa Janina Katz. Cieszymy się wszystkim, co rokuje kontynuację. Wiek p. Katz (23 lata), jej oczytanie, wykształcenie, inteligencja, giętkość jej zdań, poddających się bez oporu myślom, a także jej postronność, gwarantująca bezstronność, predystynują ją na rzetelnego krytyka literackiego. Więc nie chodzi tu nawet o kontynuację, ale o wypełnienie dokuczliwego braku. Niezależnej bowiem krytyki literackiej literatura emigracyjna nie ma. Przygodne recenzje pisane przez przygodnych krytyków w drodze wyjątku (albo po znajomości, czy z motywów politycznego zaangażowania) nie są w stanie zastąpić normalnej, regularnej, wolnej od uprzedzeń, krytyki literackiej. Ież to książek wydanych przez *Kulturę* nie doczekało się recenzji na łamach *Kultury*? A z innych wydawnictw?

Działą wprawdzie na emigracji kilku starych i wytrawnych krytyków literackich, ale ci, z dbałości o swój prestiż (mój Boże!) ograniczają swe zainteresowania do literatury obcej, względnie krajowej, dając w ten sposób do zrozumienia, że literatura emigracyjna to wobec nich — drób. Za co prawdopodobnie pójda do piekła.

Trzeba więc na tę Janinę Katz chuchać i dmuchać, i pilnować, żeby była stałą rubryką na następne 25 lat, ale chyba dbać także o to, by się nie znarowiła. Różnica między czytelnikiem a krytykiem polega na tym, że pierwszy może poprzestać na „podoba mi się” lub nie, gdy drugi musi dbać o motywację.

Wydaje mi się, że krytyka literacka powinna przestrzegać zawsze dwóch reguł: Mierzyć dzieło według dobrze odczytanych zamierzeń autora. Klasyfikować utwór, albo samą jego koncepcję, na podstawie jasno przedstawionych kryteriów. Przeciw pierwszej regule zgrzeszyła Janina Katz w recenzji o książce Jadwigi Maurer. Przeciw drugiej — w recenzji „Moich uniwersytetów” Janiny Kowalskiej.

„Liga Ocalałych” to zdaniem recenzentki „książka antyliteracka w najprostszym tego słowa znaczeniu”, „złe skomponowana”, ale zarazem „bardzo wierzitelna autobiografia”, „spisana z racji Historii, nie z poczucia własnej wyjątkowości”.

To w środku recenzyjnego artykułu. A w zakończeniu:

„Zdaje się, że w pewnym momencie zrozumiałam i uszanowałam nieład kompozycyjny tej książki”.

Od tego momentu trzeba było zacząć. Przekreślić, co się napisało przed nim, jeszcze raz książkę przeczytać, i zrewidować osąd. Wówczas okazałoby się niechybnie, że „Liga Ocalałych” to żadna autobiografia (niezależnie od tego czy i w jakim stopniu zgodna z życiorysem autorki), że wierzitelność narratorki jest wątpliwa wtedy, kiedy zapewnia, że chodzi tu jedynie o „kronikę”, bo to jest częsty literacki chwyt, a autorce niewątpliwie chodziło o wiele innych rzeczy, m.in. także o wyodrębnienie z kolektywnej wyjątko-

wości (niedobitków masowej zagłady) wyjątkowości indywidualnej tych wszystkich Heńków i Benków, wyjątkowości, której p. Katz nie zauważyła.

W „Moich uniwersytetach” Janiny Kowalskiej zafrapował mnie jej talent opisowy, i z niecierpliwością czekam na „Pogranicze”, utwór — sądząc z drukowanych wyjątków — już całkowicie krajobrazowy, bo nawet ludzie, co w nim występują, są jak ruchome elementy przyrody, cudaczne stworki przywiane przez wojnę tam, gdzie ich nikt nie śląd. Być może, w dalszej karierze literackiej Janiny Kowalskiej to krajobrazowe traktowanie ludzi będzie obciążeniem, ale to do rzeczy nie należy, na razie opis krajobrazu jest, moim zdaniem, mocną przewagą jej pisarstwa. Zdaniem p. Katz inaczej:

„Poza pamiętnikiem w pierwszej części książki gęsto jest od krajobrazów* (Odnosił wyjaśnia: „Zachwyty nad naturą”). Nie robię z tego pisarce zarzutów. „Moje uniwersytety” są wspomnieniem i nie pretendują do miana literatury pięknej. Ich pretensjonalna poetyczność nie wynika z pretensjonalności autorki. W wieku, w którym oglądała to, co pozostało jej pod powiekami, tak się zapewne o przyrodzie myśli i tak się ją przeżywa”

Odczytałam ponownie wszystkie krajobrazy w „Moich Uniwersytetach” i nie natrafiłam na żaden, jaki by pasował do „poetycznej pretensjonalności”. Oczywiście nie jestem wyrocznią, ale p. Katz także nie, więc wyrokując, powinna przytoczyć parę przykładów, aby czytelnik mógł poznać miarę jej literackich wymagań. Z przytoczonej tu uwagi zdaje się zresztą wynikać, że p. Katz w ogóle traktuje krajobrazy za niegodne zainteresowań literackich. Dlaczego? Czy z nawyków pensjonarskich, kiedy się te rzeczy opuszcza w pogoni za fabułą? Czy dlatego, że „tak się dziś nie pisze”?

Najserdeczniej pozdrawiam,

Barbara TOPORSKA

P. Eliezer Pomerantz, Izrael. Zarzuca książce A. Cchiuka „Wizytaw Izraelu” powierzchowność, brak obiektywizmu i nieścisłość (Redakcja).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Legal: 4^e Trimestre 1972.

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata | |
|--|--------------|---------------|---------------|
| | | 1/2-roczna | roczna |
| AFRYKA POLUDNIOWA: Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg | R. 1,— | R. 5,85 | R. 10,45 |
| ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 | F. 7,50 | F. 45,00 | P. 82,00 |
| AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000 | \$ A 1,50 | \$ A. 8,00 | \$ A. 15,00 |
| AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 | — | Sch.A. 200,00 | Sch.A. 380,00 |
| BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Casny, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23 | F.B. 75,00 | P. B. 400,00 | F. B. 750,00 |
| BRAZYLIA: Janina Pomian-Platkowska, rua Gulara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523 | \$ US 1,50 | \$ US. 8,00 | \$ US 15,00 |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 7,50 | P. 40,00 | P. 75,00 |
| HOLANDIA: Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 | Fl. h. 5,00 | Fl. h. 28,00 | F. h. 54,00 |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdziński, 24 Facar Str., St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 | \$ Can. 1,50 | \$ Can. 8,00 | \$ Can. 15,00 |
| NIEMCY: St. Mikicluk, 8 München 45, Geblonzerstr 7/1 .. | DM. 5,50 | DM. 30,00 | DM. 55,00 |
| NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss | F. 7,50 | F. 45,00 | P. 82,00 |
| SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 | P. S. 6,00 | F. S. 35,00 | P. S. 65,00 |
| SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 | K. S. 7,50 | K. S. 40,00 | K. S. 75,00 |
| U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossatynski, 1601 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich. 48234; Polish Book Store, BOX 11410, Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; | \$ US 1,50 | \$ US. 8,00 | \$ US 15,00 |
| W. BRYTANIA: P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. | £ 0,60 | £ 3,50 | £ 6,00 |
| WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 | L. It. 900 | L. It. 4600 | L. It. 9000 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 82; półroczna F. 45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

BIBLIOTEKA «KULTURY»

**TOM 221 — SERIA „DOKUMENTY”
(ZESZYT 39-ty)**

SĄD ORZEKŁ...

Tom zawiera autentyczne dokumenty dotyczące najgłośniejszych procesów politycznych w PRL: PROCES HANNY REWSKIEJ; DRUGI PROCES K. MODZELEWSKIEGO i J. KURONIA; PROCES „TATERNIKÓW”; PROCES ORGANIZACJI „RUCH” Z 1971 R.; POSTĘPOWANIE REWIZYJNE W SPRAWIE J. KARPINSKIEGO i M. SZPAKOWSKIEJ; PROCES PISKI O TRAKTAT RYSKI, jak również szereg opracowań i komentarzy.

Str. 320.

Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)



TOM 220 — TOMASZ STALIŃSKI

ROMANS ZIMOWY

Trzecia powieść krajowego autora.

Str. 208.

Cena F. 24 (dol. 6,00; £.2.00)



TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY



Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704.

Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £.5,25)

Cena 7,50 F